ZIEMKIEWICZ PRZESTRZEGA

Miesięcznice i kontrmiesięcznice smoleńskie to droga donikąd

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 29/231 17–23 LIPCA 2017

Prezydent Duda mówi PiS: Weto

WILLIAM I KATE – KULISY WIZYTY KSIĄŻĘCEJ PARY

Wałęsa wolał Kiszczaka od Jaruzelskiego

SZYDŁOWIE
POLSKA RODZINA

Syn premier Szydło odprawił mszę św. na Jasnej Górze. Wściekłość po stronie lewicy

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 108 tys. egzemplarzy

1390f19820

Każdego dnia towarzyszymy ludziom w drodze do różnych celów.
Angażujemy się w działania na rzecz poprawy bezpieczeństwa i komfortu podróżowania. Wspieramy ratowników GOPR, dostarczając wysokiej jakości paliwo - niezawodne w ekstremalnych warunkach.

ORLEN Najbliżej

orlen.pl

eprasa.pl 1390f19820

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Z mieszanymi uczuciami

To się nazywa przyspieszenie – pomyślałem, przypatrując się tempu, z jakim PiS zmienia polski wymiar sprawiedliwości. Ledwo w środę Sejm przyjął ustawę o sądach powszechnych, a już pojawił się projekt zmian w Sądzie Najwyższym. Reformatorskiej pasji politykom, a szczególnie ministrowi sprawiedliwości Zbigniewowi Ziobrze, nie sposób odmówić. Jednak szybkość nie musi zawsze oznaczać wysokiej jakości, dlatego pomysły Ministerstwa Sprawiedliwości przyjąłem z mieszanymi uczuciami.

Ich zwolennicy mają za sobą poważne argumenty. Po pierwsze, polski wymiar sprawiedliwości, jak wynika z badań CBOS, cieszy się zaufaniem jednej trzeciej społeczeństwa. To wyjątkowo mało. Zawdzięcza to własnym błędom i słabościom. Od dawna wiadomo choćby, że zmorą jest przewlekłość postępowania. Statystycznie częste są przypadki uchylania lub całkowitej zmiany orzeczeń pierwszej instancji w następnych. Do tego dochodzą też głośne przypadki bezkarności sędziów, chronionych skutecznie przez własną korporację. Te wady polskiego sądownictwa, można mniemać, powinny skłonić znacznie wcześniej samych sędziów do przygotowania zmian. Tak się nie stało.

Do tego doszły postępujące upolitycznienie i ideologizacja polskich sądów. Dobrym przykładem tej drugiej była choćby uchwała Sądu Najwyższego z lutego 2016 r., na mocy której uznano, że w rozumieniu prawa karnego partner lub partnerka tej samej płci jest osobą najbliższą. Mimo że polskie prawo nie uznaje związków homoseksualnych, Sąd Najwyższy faktycznie wprowadził je tylnymi drzwiami. Jeszcze bardziej widoczne jest upolitycznienie sędziów, czego doskonałymi przykładami są przypadki Igora Tulei i Wojciecha Łączewskiego. Jeśli pamięta się, że to w znacznej mierze za sprawą sędziów, ich nonszalancji, braku dociekliwości i lenistwa możliwe były dwie największe afery ostatnich lat – afera Amber Gold i afera reprywatyzacyjna w Warszawie – trudno nie przyznać racji Jarosławowi Kaczyńskiemu, który w niedawnym wywiadzie dla Onetu stwierdził, że „sądy to jedna z twierdz postkomunizmu. Szerzy się tam lewactwo i podległość w stosunku do sił zewnętrznych wobec Polski". Chociaż ocena ta jest niesprawiedliwa wobec wszystkich, to opisuje dominującą tendencję.

Z tego jednak nie wynika, że nowe przepisy są właściwe. Trudno przyjąć choćby to, żeby ustawa mogła wygasić mandaty sędziów zasiadających w Krajowej Radzie Sądownictwa, skoro długość ich kadencji określa wyraźnie konstytucja. Spore wątpliwości można mieć też co do pomysłu, by tak znaczącą rolę przy konstrukcji nowej KRS miał minister sprawiedliwości i jednocześnie przecież prokurator generalny. Skoro połączono te funkcje, moim zdaniem słusznie, to należy zadbać o to, by prokurator generalny nie mógł mieć wpływu na postępowanie sędziów. Tymczasem zyskał on prawo powoływania prezesów sądów powszechnych, a nadto, jeśli projekt ustawy o Sądzie Najwyższym przejdzie w obecnej formie, prawo do decydowania o tym, kto pozostanie w Sądzie Najwyższym.

Powstaje proste pytanie: Czy sytuacja, w której prokurator generalny, oskarżyciel w imieniu państwa, ma tak duży wpływ na obsadę stanowisk sędziowskich i karierę sędziów, od których wymaga się bezstronności, nie ogranicza podstawowego prawa obywatela do obrony? W każdej sytuacji, w której dojdzie do konfliktu między obywatelem a państwem, niebezpieczną przewagę może zyskać to drugie. O ile dotychczas problemami były kastowość i wyobcowanie sędziów, korzystających z nieproporcjonalnych przywilejów, to teraz grozi nam błąd przeciwny: ich podporządkowanie władzy wykonawczej, szczególnie ministerstwu.

Tak głęboko idące zmiany wymagałyby czasu i poważnej dyskusji. Tyle że w panującej w Polsce atmosferze trudno na to liczyć. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 1390f19820

TEMAT TYGODNIA

16 MACIEJ PIECZYŃSKI
TYPOWA POLSKA RODZINA
Szydłowie, czyli siła spokoju

KRAJ

22 KAMILA BARANOWSKA
DROGA DO RIO
Prezydent wetuje ustawę PiS

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WOJNA FANTOMÓW

28 PIOTR SEMKA
NIEUDANY CASTING

30 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM SZCZERSKIM
SOJUSZE NAJLEPIEJ BUDOWAĆ NA KONTRAKTACH

34 MAREK JAN CHODAKIEWICZ
CO DALEJ Z TRÓJMORZEM

36 ROZMOWA Z GEN. BRYG. WIESŁAWEM KUKUŁĄ
GOTOWI NA KONFLIKT W „SZAREJ STREFIE"

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
PRZEKRĘT NA UCZUCIACH

41 ŁUKASZ ZBORALSKI
GORĄCY WSTYD

KULTURA

44 WOJCIECH ENGELKING
NOWE ŻYCIE PARTYZANTA
Polityczne manifesty najsłynniejszego grafficiarza

46 ROZMOWA Z KACPREM NOWAKIEM PS. STEVE NASH
DJ-E W FILHARMONII

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 PROF. ANDRZEJ NOWAK
MY CHCEMY BOGA – AMERICAN WAY
Gdzie w kulturze masowej jest dziś Bóg?

58 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
WSZYSCY JESTEŚMY CHARLIEM GARDEM

60 ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM NEUMANNEM
NIE WIERZĘ W POLSKIEGO MACRONA

HISTORIA

64 GRZEGORZ MAJCHRZAK
PREZYDENT „MNIEJSZE ZŁO"
Jak gen. Jaruzelski został prezydentem

67 ADAM ZUBEK
GNIEW RZEK

ŚWIAT

72 JACEK PRZYBYLSKI
OFENSYWA BRYTYJSKIEGO WDZIĘKU
Dyplomacja po królewsku

76 ROZMOWA Z MICHAELEM DUKAKISEM
JEST GORZEJ, NIŻ MYŚLAŁEM

78 ŁUKASZ WARZECHA
HODOWANIE EKSTREMISTÓW

80 SZEWACH WEISS
CZYTANIE DEMOKRACJI PO NOWEMU

EKONOMIA

82 TOMASZ WRÓBLEWSKI
UE KONTRA AFRYKA
Europejska bajka o solidarności

ŻYCIE I NAUKA

86 KATARZYNA PINKOSZ
ZMIANY W SŁUŻBIE ZDROWIA

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK
BUNT BEŻOWEJ GARSONKI
Moda na szczycie

WAKACJE Z „DO RZECZY"

90 PIOTR SEMKA
NIDA NA LITWIE
Śladami Tomasza Manna

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (52), ZALEWSKI, WOLSKI (63), ZYCHOWICZ, KOPER (70), GABRYEL, RYBIŃSKI (85), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 1390f19820

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu różni adresaci korespondencji. Od weteranów Solidarności przez Rodziny Smoleńskie aż do autorów i redaktorów tygodnika. Wszystkie nadsyłane przez Państwa listy uważnie czytamy i dziękujemy także za te z krytycznymi uwagami. Tradycyjnie zapraszamy na naszą stronę: www.dorzeczy.pl, gdzie można znaleźć bieżące informacje oraz polityczne komentarze naszych autorów.

List otwarty

do Andrzeja Gwiazdy, Zofii Romaszewskiej, Kornela Morawieckiego, Krzysztofa Wyszkowskiego, Andrzeja Rozpłochowskiego, Adama Borowskiego...

Od chwili, gdy PRL został przekształcony w III RP, trwa świadome i konsekwentne podtapianie Solidarności w szambie. Robią to również niektórzy nasi koledzy. Istnieje więc pilna potrzeba podjęcia bardziej aktywnych, szerokich i skoordynowanych działań w obronie dobrego imienia Solidarności.

Chwała Wam za to, co w tej sprawie robicie. Wielu rozsianych po Polsce działaczy Solidarności niższego szczebla stara się robić to samo co Wy. Niestety, działając w rozproszeniu, nie jesteśmy (wszyscy) wystarczająco skuteczni.

Zwracam się więc do Was z prośbą i apelem o podjęcie działań, których celem będzie lepsza integracja i organizacja naszego środowiska.

W przeciwnym wypadku powstanie sytuacja podobna do „polskich obozów śmierci". Prawda się bowiem sama nie obroni i już niedługo Solidarność będzie uznawana (w Polsce i na świecie) za organizację esbeckich kapusiów i szemranych biznesmenów, których celem i marzeniem było pocałować w rękę Cimoszewicza.

Jerzy Jacek Pilchowski,
były wiceprzewodniczący wałbrzyskiego MKZ i członek Prezydium Zarządu Regionu Dolny Śląsk

Miesięcznice smoleńskie

Może spróbujecie wpłynąć na Rodziny Smoleńskie, by ograniczyły się do comiesięcznych modlitw w kościele, bez wychodzenia przed Pałac Prezydencki, ponieważ to, co się tam dzieje, eskalacja „sprzeciwu", zmienia wszystko powoli w kabaret. Powoduje to dalsze PONIŻANIE pamięci już i tak dość obrażanych zmarłych. Prowokowanie opozycji nie jest im ani nam naprawdę potrzebne.

Irena Formanek, Praha

„Makaronizmy współczesne"

Jednym z pierwszych tekstów, jaki przeczytałem w numerze 28/2017 Waszego pisma, był list czytelnika, Henryka Pułaczewskiego, zatytułowany „Makaronizmy współczesne". Publikację tego listu zinterpretowałem jako przyznanie się do raczej nagannej praktyki „wzbogacania" języka polskiego zbędnymi anglicyzmami i zapowiedź odstąpienia od niej. Jednak kilkadziesiąt stron dalej, w trakcie lektury artykułu pana redaktora Piotra Semki, zrozumiałem, że to nie tyle redakcja bije się we własne piersi, ile wskazuje palcem tych, którzy z własnego wyboru nie chcą włączyć się w dziejowy i, rozumiem, nieunikniony proces przemian języka polskiego. Pan redaktor, ciekawie przybliżając postać Marii Teresy i jej współczesne znaczenie, był bowiem łaskaw wspomnieć na str. 65 o sile „leadershipu" cesarzowej; słowo „przywództwo" widać tu nie pasuje. Jaki jest jednak cel takich „korekt"? Czy chodzi o to, aby było bardziej aktualnie i światowo?

prof. dr hab. Waldemar Kowalski,
Wydział Humanistyczny,
Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach

Od autora:

Terminu „leadership" użyłem ironicznie. Że żart ów nie został właściwie odczytany – biję się w piersi. ***Piotr Semka***

Marzenie Dobosz

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy"

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści: **Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić** *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje
Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem:
Zofia Magdziak (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Anna Kaczmarz/Dziennik Polski/Polska Press/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro: **Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY:
Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży)reklama@dorzeczy.pl; tel. + 48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS:
Anna Pawłowska-Pojawa (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA: **Adam Borzęcki** (kolportaż); **Karolina Olchowik** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 108 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 1390f19820

Wzywał do zamachów w Polsce

FOT. ZUMA/FORUM

Wojciech Wybranowski

Mieszkaniec Katowic kontaktował się w sieci z islamskimi terrorystami. Szukał ludzi, którzy mogą dokonać zamachu. Wpadł w ręce ABW

O zatrzymaniu Dawida D., mieszkańca Katowic, który zdaniem śledczych utrzymywał kontakty z bojownikami Państwa Islamskiego, Prokuratura Krajowa oficjalnie poinformowała pod koniec ubiegłego tygodnia. To Polak, który nigdy nie przebywał na terenie żadnego z państw Bliskiego Wschodu, a kontakt z bojownikami ISIS nawiązał przez Internet. Mężczyzna usłyszał już zarzuty i złożył wyjaśnienia. Prokuratura twierdzi, że przyznał się do zarzucanych mu czynów. Grozi mu pięć lat pozbawienia wolności. „Chodzi o rozpowszechnianie w sieci materiałów, które mogłyby ułatwić przeprowadzenie ataku terrorystycznego na terenie Polski. Śledztwo w tej sprawie zostało wszczęte 22 czerwca, a kilka dni później (28 czerwca) funkcjonariusze katowickiej delegatury ABW zatrzymali Dawida D. Prokurator przedstawił mężczyźnie zarzut rozpowszechniania treści mogących ułatwić popełnienie przestępstwa o charakterze terrorystycznym" – napisano w oficjalnym komunikacie prokuratury.

Jak dowiedział się tygodnik „Do Rzeczy", mężczyzna był na celowniku Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego od kilku miesięcy. – W trakcie działań operacyjnych ustalono, że jeden z mieszkańców Śląska za pomocą Internetu, w tym również popularnych komunikatorów, nawiązał kontakt z bojownikami ISIS. Został przez nich „pozytywnie zweryfikowany". Przez ten czas otrzymywał od nich i rozpowszechniał materiały związane z szerzeniem radykalnej wizji islamu i przygotowaniem zamachu terrorystycznego w Polsce – mówi jeden z naszych informatorów z kręgu osób odpowiedzialnych za nadzór nad służbami.

Jak twierdzą nasze źródła, ABW przez ten czas monitorowała działalność Dawida D. i jego kontakty z ISIS. Ustalono, że mężczyzna nie tylko rozpowszechniał w sieci apele o dokonanie zamachu terrorystycznego, lecz także próbował poprzez Internet stworzyć strukturę, która takiego działania mogłaby się podjąć. Na stronach i portalach internetowych dotyczących islamu miał szukać osób, które określały się jako zwolennicy radykalnej odmiany tego wyznania i deklarowali sympatię dla fundamentalistycznych ruchów islamskich.

Decyzja o jego zatrzymaniu zapadła krótko przed przyjazdem do Polski prezydenta USA Donalda Trumpa. Zdaniem naszych informatorów na razie nie ma dowodów, by Dawid D. spotkał się kiedykolwiek osobiście z bojownikami ISIS. Został tymczasowo aresztowany na trzy miesiące.

Dawid D. nie jest jedynym Polakiem, który rozpoczął współpracę z terrorystami z Państwa Islamskiego. Jednym z bardziej znanych jest Adrian Al-N., używający także pseudonimu Abu Bakr Al Sham. To syn Polki i Palestyńczyka, urodzony w Niemczech. Brał udział w szkoleniu wojskowym i w walkach w Syrii. Wzywał do zabijania chrześcijan. W 2015 r. został zatrzymany w Jordanii, odsiaduje tam czteroletni wyrok.

W marcu tego roku, w samobójczym zamachu w Syrii, prawdopodobnie zginął 25-letni Jakub Jakus vel Bismillah ir-Rahman ir-Rahim, bojownik ISIS pochodzący spod Sandomierza, który radykalnym islamem zainteresował się m.in. po wizytach w lubelskim meczecie. ©℗

eprasa.pl 1390f19820

Tyrmand, Makowski i płonący świat

Brexit, kryzys Unii Europejskiej, zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich w USA, przesunięcie sympatii politycznych w prawo – świat zmienił się na przestrzeni ostatnich kilkunastu miesięcy. Czy płonie – jak może sugerować tytuł książki Matthew Tyrmanda i Marcina Makowskiego? Dla politycznego establishmentu i analityków, którzy do niedawna wspomniane wydarzenia rozpatrywali w kategoriach science fiction, to może wyglądać jak pożar.

Kto śledzi rozmowy Matthew Tyrmanda i Marcina Makowskiego na łamach „Do Rzeczy", ten wie, że syn Leopolda Tyrmanda nie jest komentatorem, który wpisuje się w główny nurt, często idzie pod prąd.

Na podstawie rozmów Matthew Tyrmanda i Marcina Makowskiego powstała książka „Patrzeć, jak świat płonie. Rok Trumpa, brexitu i dobrej zmiany". W środę 19 lipca o godz. 18 w księgarni Book Book przy ul. Hożej 29/31 w Warszawie odbędzie się spotkanie autorskie z autorami. Wieczór poprowadzi Jakub Kukla z Polskiego Radia 24. **(raw)** ©℗

NEKROLOG

Z żalem przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP.

Lecha Morawskiego

Profesora Nauk Prawnych
cenionego specjalisty z teorii i filozofii prawa,
autora znaczących publikacji z zakresu dowodów prawniczych,
teorii argumentacji, niepozytywistycznych koncepcji prawa
i wykładni prawa
członka Trybunału Stanu,
sędziego Trybunału Konstytucyjnego

wyrazy głębokiego współczucia

RODZINIE i BLISKIM

składa

Minister Sprawiedliwości Prokurator Generalny
Zbigniew Ziobro

NEKROLOG

Z głębokim żalem przyjąłem wiadomość
o nagłej śmierci

ŚP.

prof. Lecha Morawskiego

sędziego Trybunału Konstytucyjnego,

b. członka Trybunału Stanu,

wybitnego prawnika,
profesora nauk prawnych,

cenionego znawcy teorii prawa
i filozofii prawa,

szanowanego nauczyciela
akademickiego.

Odszedł Człowiek niezwykle szlachetny,
uczciwy i prawy.

Będzie nam brakowało Jego przenikliwości
i prawniczej wiedzy,

którą z zaangażowaniem służył Polsce.

Łączę się w bólu i poczuciu wielkiej straty
z Rodziną i Bliskimi Zmarłego

Wieczny odpoczynek racz Mu dać Panie…

Marszałek Sejmu
Marek Kuchciński

eprasa.pl 1390f19820

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Felieton za 20 groszy

Historia to dzieje ciągłego ścierania się kolejnych środowisk ludzi oraz tworzenia się elit i kolejnych kontrelit. I albo dialog z poprzednikami udaje się nawiązać, albo zaczyna się dialog głuchych. Widać to na przykładzie sporu między obozem „twardych" zwolenników PiS a obozem „wątpiących".

„Twardzi" to ludzie, którzy uważają, że szczęśliwy dla obozu PiS wynik wyborczy trzeba wykorzystać do przeprowadzenia jak najgłębszych zmian w państwie. Z tego punktu widzenia rozmaite kiksy władzy czy kwestie sporne są szczegółami wobec historycznej szansy na zerwanie z III RP. „Wątpiący" dzielą się na krytyków unikających afiliacji politycznej i tych, którzy widzą nadzieje na przyszłość w Pawle Kukizie, partii Wolność i ugrupowaniach narodowych.

Zwolennikom PiS w przypadku każdego głosowania kukizowców, a także republikanów wbrew wnioskom partii rządzącej łatwo przychodzi wyrokować: kukizowcy zrzucili maski, od początku mieli sztamę z PO i Nowoczesną. Obrońcy Kukiza z kolei na każdy jego kolejny polityczny zygzak mają jedną odpowiedź – to wynik arogancji PiS. I łatwo przychodzi im zamieniać wszystko w groteskę.

Wzajemne animozje między PiS a „wątpiącymi" trwają już dwa lata. I zaczynają mi przypominać to, co pamiętam z kryzysów małżeństw wielu moich znajomych. Początkowo były to drobne różnice zdań, urazy, poczucia zawodu. Z czasem zmieniały się w zimną niechęć, skłonność do szybkiego demonizowania byłego partnera. Zestaw niemiłych wspomnień uniemożliwiający jakikolwiek dialog.

Te same tony odnajduję dziś w rozmowach z politykami z obu obozów. Politycy z partii Jarosława Kaczyńskiego oburzają się, że „wątpiący" nie rozumieją, pod jakim ciągłym atakiem opozycji znajduje się PiS, i pytają, czy krytycy nie rozumieją, że obecnie jest jedyny moment na jakiekolwiek zmiany. Kukizowcy opowiadają mi z kolei, jak ich projekty są odrzucane w Sejmie bez żadnej merytorycznej dyskusji i jak PiS oczekuje od nich popierania każdej rządowej propozycji, nawet gdy ma ona sporo wad. Każda ze stron ma swoje urazy, które odkładają się systematycznie od wielu miesięcy.

Może się zdarzyć, że PiS – zaaferowany swoim ambitnym programem reform – nie zauważy, że może zrazić do siebie dużą część młodszej generacji. Nie dlatego, że lansuje jakąś ideologię obcą tym młodym ludziom. Dlatego że nie ma cierpliwości, by zauważać wątpliwości „wątpiących" i na nie reagować.

Przypomniała mi się rozmowa z politykiem z rządu Tadeusza Mazowieckiego. Dopiero po latach zrozumiał, jak jego środowisko zgubiło gdzieś pokolenie NZS z lat 1986–1990.

„Tak bardzo byliśmy przejęci naszą misją zmieniania Polski u boku pana Tadeusza, że nie zauważyliśmy na czas, iż wyrosło nowe pokolenie, z którym wobec nawału ważnych zadań nikt nie miał czasu porozmawiać. Nikt nie miał czasu wsłuchać się w ich uwagi, w ich zastrzeżenia do tego, co robimy i jak to robimy. A potem w połowie lat 90. nagle odkryliśmy, że mamy przeciw całą generację młodych".

Polecam te słowa politykom z czołówki PiS. Od wielkiego bowiem zawsze wymaga się więcej. ©℗

FOT. SIPA/EAST NEWS

TRUMP W PARYŻU WITANY JAK CESARZ

Tydzień po wizycie w Warszawie Donald Trump wraz z pierwszą damą Melanią przylecieli z wizytą do Paryża. Prezydent Francji Emmanuel Macron przyjmował go z wyjątkowymi honorami, próbując zaimponować przywódcy USA. W piątek prezydent Trump przyglądał się zaś tradycyjnej wojskowej defiladzie na Polach Elizejskich z okazji rocznicy zdobycia Bastylii. Pierwszy raz od ponad 20 lat wzięli w niej udział amerykańscy żołnierze. Był to hołd dla Ameryki, która 100 lat temu przystąpiła do I wojny światowej. *(jap)* ©℗

eprasa.pl 1390f19820

II EDYCJA KONKURSU,

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

100 %
polski produkt

ZGŁOŚ PRODUKT NA
POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PATRONAT HONOROWY: MINISTERSTWO ROZWOJU

PARTNERZY: ORLEN, Enea, PHN, ALIOR BANK, asseco, Paged COLLECTION, pesa Bydgoszcz SA, URSUS, CEDROB

PARTNER MERYTORYCZNY: pwc

ORGANIZATOR: PMPG POLSKIE MEDIA SA, DO RZECZY

eprasa.pl 1390119820

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Syndrom „Bolka”

Są różne sposoby, żeby wyjść na idiotę, ale najpewniejszy to być obrońcą Lecha Wałęsy. Problem nawet nie w tym, że tak jak prezes Ochódzki z „Misia” Wałęsa „w życiu słowa prawdy nie powiedział”. Problem, że kłamie tak głupio, że już nawet nie budzi to gniewu, a tylko politowanie i pusty śmiech. Jak wielokrotnie powtarzał, nigdy nie był konfidentem SB, nigdy nic nie podpisał. Jak również powtarzał – w tych kontaktach, których nie było, a które przecież prowadzić musiał, bo był przywódcą, bezpiekę rozegrał i oszukał. Te wszystkie dokumenty z szafy Kiszczaka to oczywiście fałszywki. A dlaczego są pisane jego ręką? Bo on sobie pisał pamiętniki, takie notatki miał, które mu wykradli i wsadzili w akta, że niby donosy. Jednak przedstawi ekspertów grafologów, którzy udowodnią, że to pisała esbecka maszyna, bo „Bolek” to była taka maszyna. A ten podpis, co jest nie jego, to od niego wyłudzili, bo jeden oficer SB zgubił pieniądze, które miał na kupienie samochodu, no i on, tak z dobrego serca, mu się zgodził podpisać, ale to miało zostać między nimi.

Jeszcze w lipcu 1980 r. Wałęsa był działaczem z tylnego szeregu, a przed wejściem do WZZ – po prostu nikim

Człowiek, kreowany na bohatera, autorytet i przywódcę, wije się od lat jak przyłapane na podrobieniu zwolnienia dziecko, potykając się o własne kłamstwa i codziennie sam sobie zaprzeczając. Jednak w ubiegłym tygodniu, występując po raz kolejny u Moniki Olejnik (u której, mówiąc nawiasem, kiedyś twierdził, że oczywiście, był agentem, bo jako przywódca „musiał grać”), pobił nawet własne wyśrubowane rekordy. On nie był agentem SB, tylko esbekami rządził, bo jeśli chciał pieniędzy, to mu przynosili, a jeśli chciał mieszkanie, to mu dali, a właściwie, jak natychmiast zmienił wersję, nie chciał, tylko siłą mu to mieszkanie dali, żeby go wyrwać z hotelu robotniczego, gdzie był przywódcą… Poza wszystkim bardzo śmieszne jest to bezustanne powtarzanie, że był przywódcą. Otóż jeszcze w lipcu 1980 r. Wałęsa był działaczem z tylnego szeregu, a przed wejściem do WZZ – po prostu nikim. „Urojenia przywódcze” – syndrom, który psychiatria może kiedyś opisze jako „syndrom »Bolka«”.

Jak orszak Wałęsy, w którym nie brak ludzi wykształconych, utytułowanych, o wysokiej pozycji, potrafi to wszystko przełykać i z kamienną twarzą powtarzać bzdury o „legendzie Solidarności” – naprawdę nie wiem. ©℗

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O wyzwolonej Italii

Włosi jeszcze rozglądają się niepewnie wokół, jeszcze mówią szeptem i nasłuchują, czy do drzwi nie puka żandarmeria poprawności politycznej, ale zdają sobie sprawę, że jak kraj długi i szeroki, z hukiem runęły dogmaty religii uchodźczej i jej apostołom już można bezkarnie wytykać zakłamanie albo niedowład organu intelektualnego.

„Nadmiar migrantów szkodzi wszystkim. Mamy moralny obowiązek ratowania tych ludzi na morzu, ale nie mamy obowiązku gościć ich u siebie. Trzeba im pomagać, ale u nich w domu. Zahamowanie migracji to nie rasizm, a zdrowy rozsądek” – tako rzecze wódz lewicy Matteo Renzi, dotychczas kapłan kultu uchodźcy. Marco Minniti, lewicowy szef włoskiego MSW, stwierdził, że niekontrolowana migracja to woda na młyn islamskiego terroryzmu, i wypalił: „Unijna akcja ratunkowa »Tryton« to niekontrolowany przerzut ludzi z Afryki do Italii, na którym miliardy zarabiają gangi przemytników. Nie pozwolimy, by inercja Unii pogrążyła nasz kraj”. I zawyrokował, że uchodźców ekonomicznych trzeba jak najszybciej wyekspediować do domu.

Mamy do czynienia z przewrotem kopernikańskim. Jeszcze dwa tygodnie temu wyrażanie takich idei było przejawem rasizmu i dowodem odrażającego moralnego upadku. Italia nagle i niespodziewanie stała się krajem wolnym od uchodźczego szaleństwa i zideologizowanych rojeń społecznych. Marsz ku wolności był długi, a wolność przyszła nagle.

Podobnie zaskakującą historię można chyba wyczytać tylko z kartek, które krasnoarmiejec Wania wysyłał z wojny do domu. Listopad 1943 r.: „Kijów wolny – Wania”. Lipiec 1944 r.: „Lwów wolny – Wania”. Kwiecień 1945 r.: „Wiedeń wolny – Wania”. Maj 1945 r.: „Wania wolny – Paryż”. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 1390f19820

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Weto dobre i weto lepsze

Andrzej Duda wie, że jego czas na zbudowanie własnego środowiska politycznego się kurczy. Wie, że aby tego dokonać, musi wyraźniej niż dotychczas zaznaczyć swoją niezależność, zwłaszcza że wciąż ciążą mu poczynania z pierwszego okresu prezydentury – w szczególności nieszczęsne zaprzysiężenie sędziów Trybunału Konstytucyjnego w środku nocy.

Wybór ustawy o regionalnych izbach obrachunkowych na pierwsze prezydenckie weto jest zarazem dobry i niedobry.

Dobry, bo prezydent rozumie znaczenie tej regulacji. Wie, że poprzez RIO rząd może zyskać ogromny wpływ na praktycznie każdą władzę samorządową, i wie, że wobec centralizacyjnych tendencji PiS mogłoby to być zbyt wiele.

Niedobry, bo z czysto wizerunkowego punktu widzenia niemal nic prezydentowi nie daje – 99 proc. wyborców nie ma pojęcia, co to są RIO, jaka jest ich rola, co mogą i dlaczego właściwie prezydent chce tę ustawę zawetować. I nikt im tego przejrzyście nie wytłumaczy, bo to zagadnienia dla koneserów polityki. Wrażenie będzie takie, że prezydent wybrał sobie jakiś mało istotny problem tylko po to, żeby zaznaczyć, iż czasem się nie zgadza. Niektórzy umiarkowani wyborcy mogą nawet uznać, że to teatrzyk, i skutek dla Andrzeja Dudy będzie odwrotny od zamierzonego.

Gdyby prezydent chciał naprawdę zacząć budować rys niezależności, to wkrótce będzie miał znacznie lepszą okazję: jeśli nie polegnie w parlamencie (a raczej nie polegnie), to trafi do niego ustawa o utworzeniu Funduszu Dróg Samorządowych, a tak naprawdę – o nowym podatku nałożonym na paliwo. To regulacja, którą każdy rozumie i każdy odczuje – w portfelu. Sposób, w jaki uzasadniała ją partia rządząca, był skrajnie demagogiczny. Nie było wyliczeń ani projektów remontów dróg. Prezydent bez problemu może wskazać, dlaczego stawia weto. A wówczas wyborcy będą pamiętać, że to dzięki Andrzejowi Dudzie mają w portfelach 10 zł więcej przy każdym tankowaniu.

Że to politycznie trochę ryzykowne? Że może wywołać zgrzytanie zębów przy Nowogrodzkiej? Trudno. Prezydent powinien mieć inną perspektywę niż partia, z której się wywodzi. ©℗

ROK WIĘZIENIA ZA KAŻDY UKRADZIONY MILION

Osiem lat i dwa miesiące więzienia oraz 200 tys. zł grzywny. Taki wyrok usłyszał w piątek w Sądzie Okręgowym w Łodzi fałszywy konwojent Krzysztof W., sprawca dokonanego przed dwoma laty „skoku stulecia". Mężczyzna ukradł z banku w Swarzędzu aż 8 mln zł. Jego kompani, którzy pomagali w tej zuchwałej kradzieży, usłyszeli wyroki od sześciu do siedmiu lat pozbawienia wolności. – Przestępstwo było zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach, od początku do końca. Nie ma jednak przestępstw doskonałych – mówił sędzia, ogłaszając wyroki. Sąd zobowiązał skazanych do solidarnego naprawienia szkody na rzecz banku. Ukradzionych milionów do dzisiaj nie udało się jednak odnaleźć. *(jap)* ©℗

REKLAMA

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 27 sierpnia 2017 r.

1.

~~39,90 zł~~ 27,50 zł

2.

~~39,90 zł~~ 28,50 zł

3.

~~39,90 zł~~ 27,90 zł

4.

~~59,90 zł~~ 39,50 zł

5.

~~49,90 zł~~ 34,90 zł

ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl
12 431 25 78

eprasa.pl 1390f19820

BIEDNY JAK CELEBRYTA

Monika Richardson-Zamachowska do niedawna opowiadała w wywiadach, jak to im się ze Zbyszkiem ciężko żyje. Ciężko, bo duże alimenty trzeba płacić, bo dobrych propozycji zawodowych nie ma tyle, ile by się chciało, i generalnie trzeba oszczędzać. Nie wiadomo do końca, czy mówiła serio, czy chodziło o ocieplenie wizerunku pary, która nie miała i wciąż nie ma najlepszej prasy. Niedawno Monika udzieliła kolejnego wywiadu, w którym przyznała, że mimo ciężkiego losu nie zamierza rezygnować ze swoich marzeń, także tych luksusowych. Ona i Zbyszek marzą o podróży do Japonii, a skoro marzą, to zamierzają to marzenie zrealizować. – Zbyszek i ja mamy jedno ogromne pragnienie, chcemy zwiedzić Japonię. Na razie plan jest taki, żeby wyjechać z okazji męża 60. urodzin, które będzie obchodził 17 lipca – wyznała Zamachowska. Okazało się jednak, że 60. urodziny znany aktor będzie obchodził dopiero za cztery lata, w 2021 r., więc Monika ma trochę czasu na uzbieranie potrzebnej na wyjazd kwoty. Z pomocą od razu przyszedł „Super Express", który wyliczył, że na podróż do Japonii trzeba przeznaczyć co najmniej 42 tys. zł, i poradził celebrytce, by przez najbliższe cztery lata odkładała codziennie po 28 zł. Co za upadek! Żeby celebryta musiał cztery lata odkładać na jakąś głupią podróż? Toż to się w głowie nie mieści. W głowie żadnego celebryty.

NONKONFORMISTKA PEŁNĄ GĘBĄ

Aktorka Maja Ostaszewska narzeka po raz nie wiadomo już który, że z racji swojego politycznego zaangażowania po stronie opozycji (aktywny udział w demonstracjach KOD, czarnych marszach, liczne wypowiedzi o upadającej demokracji etc.) ciągle nie może uporać się z hejtem, który na nią spada. Nie jest jedyna, bo to przecież jej koleżanka po fachu Magdalena Cielecka opowiadała, że czuje się „jak żydowskie dziecko w tramwaju w czasie okupacji" (naprawdę użyła takiego porównania). Maja jednak dzielnie stoi na stanowisku, że hejt jej niestraszny. – Dostaję groźby. Miałam silną fację hejtu. Myślę, że w czasach, kiedy mamy kryzys wartości, to bardzo ważne, żeby osoby publiczne zabierały głos. Należy zawsze stawać w obronie wartości, tak jestem wychowana, w to wierzę i będę temu wierna, bez względu na to, czy to się komuś podoba, czy nie – deklaruje. A tym, którzy nie potępiają PiS, zarzuca... konformizm. – Nie chcę nikogo oceniać, kto się nie wypowiada, pewnie jest to podyktowane lękiem, wygodą. Dla mnie najbardziej smutny jest oportunizm. Bardziej rozumiem lęk. Pewnie motywacje są jednak różne – podkreśla. Wiadomo, postawa Ostaszewskiej to najwyższy przejaw nonkonformizmu, jaki można sobie wyobrazić. Co bowiem przyniósł Ostaszewskiej? Okładki w tygodnikach, zaproszenia do programów telewizyjnych, obecność na czołówkach portali internetowych, nowe role, popularność. Same straty!

FOT. RADOSŁAW NAWROCKI/FORUM

FOT. PAWEŁ GROMADA

MARYLA I DYKTATORZY

À propos nonkonformizmu. Pamiętacie, jak niedawno cała plejada gwiazd zadeklarowała jedna po drugiej, że nie weźmie w tym roku udziału w festiwalu w Opolu – bo cenzura, bo PiS, bo reżimowa telewizja, bo Kurski. Swój jubileuszowy występ odwołała wtedy także Maryla Rodowicz. Zrobiła się afera na pół Polski, polityczna, bo w sprawę wtrącił się prezydent Opola i w ogóle zamieszanie było tak duże, że mało kto cokolwiek z tego rozumiał. Wygrała narracja, że szlachetne i odważne gwiazdy nie chcą występować w reżimowej, PiS-owskiej telewizji. Narracji tej nie zakłócił nawet fakt, że chwilę wcześniej te same gwiazdy śpiewały w tej okropnej telewizji kolędy, występowały w niezliczonych programach rozrywkowych i telewizjach śniadaniowych. Jak wiadomo, fakty w takich sytuacjach są najmniej istotne. I nagle, jak grom z jasnego nieba, gruchnęła w minionym tygodniu wieść, że Maryla Rodowicz jednak wystąpi w Opolu. A wraz z nią cała plejada gwiazd, które się wcześniej wycofały. – Potwierdzam, że koncert się odbędzie i wszyscy zaproszeni przeze mnie artyści pojawią się 15 września na scenie – powiedziała wokalistka w rozmowie z portalem Pudelek. Zatrzęsła się cała pierwsza linia frontu walki z PiS. Maryla z bohaterki w ciągu paru minut stała się wrogiem numerem jeden. Najbardziej oburzony był chyba Jakub Wojewódzki, który zamieścił na Facebooku stare zdjęcie Maryli z jej podróży na Kubę, gdzie pozuje z Fidelem Castro, i podpisał je: „Lata lecą, a słabość do groteskowych dyktatorów trwa". Dziwne, że nikt jeszcze nie wrzucił zdjęcia Maryli z Wojewódzkim, gdy gościła u niego w programie. Podpis można zostawić bez zmian. ©℗

eprasa.pl 1390f19820

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, iż judeoosoby są oburzone, iż Donald Trump nie odwiedził pomnika Bohaterów Getta, zrobiliśmy krótkie rozeznanie, kto jeszcze ma prawo (nie towar!!!) czuć się oburzonym na amerykańskiego fashystę:

– środowiska LGBTQWERTYX, iż Trump nie powiedział ani słowa na temat ich dyskryminowania w tym kraju ani nie odwiedził podczas pobytu żadnego modnego klubu dla heterosceptyków;

– rowerzyści, iż ich zawsze coś oburza, a ten Trump to nawet nie powiedział, iż miasto ma być przestrzenią przyjazną rowerom, nie skrytykował ruchu samochodowego, nie zawołał, iż stosowanie się do przepisów ruchu drogowego jest opcjonalne, nie spoko;

– partia Razem, która przebrała się za skrzyżow... tzn. za hybrydę, sorry towarzysze, hiszpańskiej inkwizycji z abażurem i zupełnie nikt o to nie zadbał – a członkinie Razema tyle się tego naszyły, przyjmując na chwilę tradycyjną rolę waginoosoby przy przędzy i kołowrotku xD;

– Ryszard Petru, iż Trump pozbawiony unijno-europejskiej wrażliwości nie znalazł czasu, iżby omówić z nim rolę opozycji w tym kraju.

I tylko pan Putin się cieszy, iż Trump poświęcił mu uwagę w przemówieniu. Widać chyba w czyje objęcia nas wpycha Ameryka?

Nie wiemy, kogo Agata Duda tak na dobrą sprawę obraziła i jaki jest nasz do tego stosunek

Mamy problem z Agatą Dudą. No bo z jednej strony możemy czuć się zadowoleni, iż nie uścisnęła wyciąganej do niej ręki Donalda Trumpa. Z drugiej jednak strony, podając jako pierwszej rękę Melanii Trump, mogła kierować się kryteriami płciowymi, a to już nie jest spoko.

Nie wiemy więc, kogo Agata Duda tak na dobrą sprawę obraziła i jaki jest nasz do tego stosunek. Z jednej bowiem strony możemy mieć do czynienia z aktywną dyskryminacją przez czynność wobec Melanii, z drugiej strony – jeśli dżender Donalda Trumpa tego dnia nie był maskulinistyczny, to mogła obrazić i jego, ale przez zaniechanie.

Tak czy siak umówmy się: mamy tu siarę w chooy przed Europą. Gdyby prezydentem tego kraju był jakiś miły heterosceptyk, to mielibyśmy wówczas pierwszego dama i problemu by nie było.

Wogóle to mało brakowało, a sami byśmy musieli pojechać do Warszawy na spotkanie z Trumpem, skandować jego nazwisko i machać entuzjastycznie amerykańskimi flagami w tłumie podekscytowanych januszów i grażyn.

Otósh Nowy z Tarnowa ogłosił nam dzień wcześniej, iż każde korpo ma przysłać kontyngent do pełnienia funkcji reprezentacyjnych. Of kors frendziary dostały polecenie ubrania się adekwatnego do płci biologicznej, iżby wyglądać tradycyjnie, a my i pozostali frendzi mieliśmy dźwigać flagi na dębowych drzewcach, iż Nowy z sobie znanych przyczyn uznał, iż jako reprezentacji płci męskiej biologicznie jesteśmy z przyrodzenia zapewne silniejsi fizycznie.

Na szczęście, zanim złamaliśmy się pod ciężarem amerykańskiego sztandaru, kolega-gej przytomnie zauważył, iż jeśli wszyscy pojedziemy, to nie będzie kto miał wyrabiać targetów, a Q3 ledwo co się zaczął rozkręcać. A kto zrobi podsumowanie H1 i zbriefuje key pointy? Nowy się zasmucił i uznał, iż pojedzie sam ze swoją Grażynką. A my dzięki temu mogliśmy cały dzień robić śmieszne memy w czasie pracy xD ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 1390f19820

dwaj panowie g

My w sprawie „Paliwa Plus", czyli 20 groszy od litry benzyny. Nie taki to nowy projekt. Leżał sobie w szufladach rok – twierdzi wiewiórka, która maczała w nim łapki i ogonek. Już dawno temu miał być uchwalony jako bat na niedobrych samorządowców. Dobrzy mieli dostać nowe drogi, a niedobrzy (kontestujący Dobrą Zmianę) – figę z makiem. Co odbiłoby się, rzecz jasna, na wynikach wyborczych niedobrych samorządowców jesienią roku 2018.

Niestety, Dobra Zmiana wzięła się za projekt zbyt późno i są obawy, że zanim przyjdzie czas przecinania wstęg, będzie już po ptokach, znaczy po wyborach samorządowych, i śmietankę spiją wrogowie Dobrej Zmiany. Stąd pospieszne przeganianie „Paliwa Plus" przez Sejm. Podejrzewamy jednak, że nawet marszałek Kuchta nie da rady cofnąć czasu. Chociaż… Gdyby kazał mu Kaczafi…

Stało się. Prezydent Andrzej Sebastian się wściekł. I zawetował dobrej zmianie ustawę o regionalnym czymś tam, czymś tam, z czego wynika, że coś tam, coś tam i wtedy bęc! – PiS! Decyzję o wecie podjął w okolicznościach odpowiednich do rangi tego epokowego wydarzenia – na skuterach wodnych w Juracie.

Za karę nikt z Dobrej Zmiany nie zapytał Andrzeja Sebastiana, co sądzi o pomyśle rozwalenia Sądu Najwyższego. Będzie zatem zabawnie, bo dzięki temu znów będzie miał okazję, żeby się wściec. Słyszeliśmy, że będzie ustawę o SN czytał szczególnie wnikliwie. Czekamy z niecierpliwością. Kupiliśmy już popcorn i kolorowe napoje gazowane.

Jest nowa teoria spiskowa i tym razem to Kaczor Dyktator się wściekł. Teoria mówi, że „Paliwo Plus" też nie cieszy się sympatią Andrzeja Sebastiana, który miał w związku z tym nakręcić młodego PiS-owca o nikomu nieznanym nazwisku, żeby w Sejmie krzyczał, że hańba, że nie wolno podnosić podatków. Czego to ludzie nie gadają!

Apropos jesieni. Już w czerwcu miał być nowy rzecznik prezydenta Andrzeja Sebastiana. I będzie, ale dopiero od września. Jak ustaliliśmy, osoba jest już wybrana. Na razie osoba zamyka inne życiowe projekty, by oddać się całkowicie duszą i ciałem Andrzejowi Sebastianowi. Osoba jest w wieku zbliżonym do Krzyśka Łapińskiego. Aha, i jeszcze jedno: osoba jest mężczyzną.

Wzruszyła nas opowieść o Srebrnym Lisie Dyplomacji tak zdewastowanym krytyką ze strony Kaczora Dyktatora, że chciał się podawać do dymisji. To znaczy wzruszyło nas, że dzielił się tym dramatem z osobami postronnymi za pomocą SMS-ów. Byliśmy przekonani, że po historii z SMS-ami ujawnionymi przez eksambasadora Schnepfa Waszczu już nigdy nie

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

epraso.pl 1390f19820

zaryzykuje napisania do kogokolwiek. Byliśmy w błędzie. Odwaga Waszcza nie zna granic.

Wracając do prezydenta Andrzeja Sebastiana. Nieodpowiedzialni osobnicy rozgłaszają na mieście, jakoby chciał on na miejsce śp. Lecha Morawskiego, sędziego Trybunału Konstytucyjnego, zaprzysiąc jednego z tych, których zdaniem opozycji PiS zastąpił swoimi dublerami.

Tymczasem wśród wicepremierów. Profesor Piotr Gliński już wie, że niektórzy jego pracownicy przedstawiają go w pismach jako „pierwszego wicepremiera", ale się od tego odcina. Co gorsza, narzeka nawet na tych, którzy przedstawiają go jako „pierwszego wicepremiera rządu Rzeczypospolitej Polskiej, ministra kultury i dziedzictwa narodowego, profesora habilitowanyego, członka Polskiej Akademii Nauk, pana na Inflantach, Żuławach, Mazowszu etc., etc.". Nie dziwi nas to. Wiemy, jakich pierwszy wicepremier ma współpracowników.

Przy okazji dementujemy, jakoby dawno, dawno temu, podczas powypadkowej niemocy premier Bełaty, wicepremier Gliński wypisał się pilnie ze szpitala przy Szaserów, żeby jako pierwszy poprowadzić posiedzenie rządu. Wypis był planowany wcześniej, szpital był przy innej ulicy, a posiedzenie było dopiero następnego dnia. No i poprowadził je Gliński.

Jest przełom. Posłanka Nowoczesnej kropki Katarzyna Lubnauer ma nową fryzurę. I nowe okulary. O fryzurach nie dyskutujemy, z okularami za to sprawa jasna – chodzi o to, żeby łatwiej dojrzeć kiełkujący faszyzm.

Informacje o tym, że zaczyna się w Polsce autorytaryzm i faszyzm, nas nie dziwią, w końcu wakacje to sezon ogórkowy. Czujemy się jednak zdezorientowani. Bo według gazet (szczególnie jednej) autorytaryzm i faszyzm wprowadzono już w ciągu ostatnich dwóch lat kilkakrotnie. No i nie wiemy, czy ludzie Kaczora Dyktatora to nieudacznicy, bo wprowadzają, wprowadzają i nie mogą wprowadzić. Czy też przebili Hitlera, który – jak wiadomo – dał radę wprowadzić faszyzm tylko raz?

Złe wieści dla Kury, dobre dla widzów. Ustawa kablarsko-abonamentowa ostatecznie zdechła, bo PiS nie chce zadzierać z kablarzami, narodem i Zygą Solorzem. Dlatego zaboru danych od kablarzy nie będzie. Będzie za to dotacja budżetowa dla TVP, żeby coś tam wyprodukować. Dobre wieści dla Kury, złe dla widzów.

Z abonamentem jest ciekawiej. Rząd dobrej zmiany odkrył, że w ogóle nie ma dobrej ustawy regulującej tryb notyfikowania rozmaitych pierdółek w Brukseli. Najpierw zatem chce taką wymyślić, a dopiero potem uchwalać różnie pierdółki i je wysyłać do Brukseli. To niby ma ułatwić polsko-brukselskie relacje. O, naiwni! Jest tylko jeden potencjalny twórca ustaw, który cokolwiek mógłby zmienić w naszych relacjach z Brukselą. Niestety, nazywa się George Soros.

Źli ludzie znowu opowiadają złe rzeczy o Liroyu-Marcu. Były kukista był ich zdaniem widziany w okolicach Czerskiej. Podobno dlatego, że Czerska patronuje montowaniu nowego ugrupowania samorządowo-antypisowskiego z Biedroniem i Jaśkowiakiem na czele. I Liroy-Marzec mógłby być częścią tego frontu. Nie wierzymy plotkom. Głównie dlatego, że i Biedroń, i Liroy-Marzec chcieliby startować w Warszawie, co wyklucza wspólny front. No, chyba że jednak chodziło o Kielce.

Istnieją na świecie ludzie jeszcze gorsi niż źli. Oni z kolei opowiadają, że komisja do spraw wałków prywatyzacyjnych w Warszawie głośno i jawnie zajmuje się jakąś Twardą oraz Chmielną, a po cichu dotarła do nowych fascynujących faktów dotyczących kamienicy przy Noakowskiego. Waltz dalszy nastąpi.

Wiecie, co znaczy „łozowanie"? Myśmy do niedawna jeszcze też nie wiedzieli. Bowiem to sformułowanie sądownie zostało zakazane. Grubo ponad 10 lat temu. Jednak jak nam powiedzieli znajomi taternicy, po cichu nadal funkcjonuje. Zostało ukute od nazwiska nowego ojca Mateusza KOD, czyli Krzysztofa Łozińskiego, wśród wspinaczy znanego jako „Łoza".

Definicję podał kiedyś miesięcznik „Taternik". „Wyłozować kogoś, łozowanie – wystawić do wiatru (od nazwiska Krzysztofa Łozińskiego, autora słynnego powiedzenia: »Mogę iść, ale będą jaja!«). Łozuje się na coś: »na klamkę« (zabiera się klamkę od pokoju, w którym śpimy, partner nie może wejść i molestować nas, żebyśmy wstali), »na pogodę« (mimo słonecznej pogody wmawiamy partnerowi, że zaraz nastąpi gwałtowne załamanie), »na chorobę« (udajemy chorego). Jeżeli, nie daj Boże, będziemy zmuszeni do wyjścia, to możemy wyłozować kogoś w trakcie wspinania. Do legendy przeszło łozowanie »na żyłkę«; wmawiamy partnerowi, że pękła nam pewna tajemnicza, niewidoczna żyłka i zaraz

wykrwawimy się na śmierć, zarządzamy więc wycofanie. Po powrocie do schroniska stan naszego zdrowia ulega gwałtownej poprawie".

Wszystko, co napisaliśmy powyżej, to ohydne kalumnie obalone przez „Łozę" przed sądem. I nie ma znaczenia, że na zjeździe alpinistów miażdżąca większość delegatów potwierdziła w głosowaniu takie właśnie znaczenie „łozowania", skoro sąd był innego zdania. Sam „Łoza" twierdzi, że termin ukuła Służba Bezpieczeństwa, nie mogąc z niego zrobić Żyda, gdyż powszechnie wiadomo, że ma tatarskie pochodzenie.

Joasia Schmidt założyła fundację. Będzie podpowiadać kobietom, jak radzić sobie w trudnym świecie polityki. To bardzo potrzebna inicjatywa. Obawiamy się jednak, że dla wszystkich kursantek nie wystarczy Ryszardów Petru. ©℗

eprasa.pl 1390f19820

Typowa polska rodzina

Maciej Pieczyński

Ksiądz, student medycyny, dyrektor szkoły, szefowa polskiego rządu, czyli „zwyczajni, porządni, otwarci ludzie" – bo tak o rodzinie Szydłów mówią mieszkańcy ich rodzinnego Przecieszyna

Gdy niedawno z sejmowej mównicy pani premier, krytykując rządy Platformy, zaczęła od słów: „Przez osiem lat…", spora część posłów wybuchła śmiechem. Beata Szydło nieświadomie cytowała samą siebie, a właściwie odpowiadającą jej postać z serialu satyrycznego Roberta Górskiego z jej oskarżycielską wobec poprzedników mantrą. Niezrażona premier kontynuowała przemówienie, powtarzając sentencję znaną widzom „Ucha prezesa". Beata Szydło w krzywym zwierciadle satyry jest pozbawionym emocji, kreatywności, samodzielności automatem do artykulacji politycznych haseł. Nic dziwnego, że mieszkańcy jej rodzinnego Przecieszyna nie przepadają za serialem Górskiego, bo z ich opowieści wyłania się zupełnie inny obraz: człowieka otwartego, ciepłego, obdarzonego nie tylko talentem organizacyjnym, lecz także poczuciem humoru. O tym, że lider Kabaretu Moralnego Niepokoju lekko skrzywdził obecną premier, przekonani są również współpracujący z nią niegdyś blisko politycy. Podobnie Edward Szydło, mąż Beaty, satyryczną kreską naszkicowany jako pozbawiony własnego zdania pantoflarz, na którym żona wyładowuje swoje nerwy, w rzeczywistości jest ponoć duszą towarzystwa i lokalnym aktywistą.

Swoich obrazów w popkulturze nie doczekali się jeszcze synowie: Tymoteusz i Błażej, choć ten pierwszy, jako wyświęcony niedawno ksiądz, zdążył już skupić na sobie spore zainteresowanie mediów. Także tych nieprzychylnych jego mamie. „Gazeta Wyborcza" odnotowała, że na pierwszą odprawioną na Jasnej Górze mszę świętą ks. Tymoteusza „przyjechał niemal cały rząd i Kaczyński". W ławach sanktuarium zasiedli, obok prezesa PiS, m.in. ministrowie: Mariusz Błaszczak, Zbigniew Ziobro, Elżbieta Rafalska, pierwsza dama Agata Kornhauser-Duda, marszałek Senatu Stanisław Karczewski. Mszę koncelebrował o. Tadeusz Rydzyk. „GW" cytowała także „oburzonych" pielgrzymów, których funkcjonariusze BOR tego dnia nie dopuszczali przed obraz Matki Bożej Częstochowskiej. Bezpieczeństwo VIP-ów, o które po Smoleńsku tak troszczyły się także lewicowe media, w tym przypadku nagle przestało mieć znaczenie. Ważne, że akurat w tym konkretnym momencie syn premier musiał odprawiać mszę i że członkowie rządu mieli czelność w niej uczestniczyć.

Edwarda Szydłę nieprzychylne PiS media prześwietlały już rok temu. Mąż pani premier jest dyrektorem prywatnej Społecznej Szkoły Zarządzania i Handlu w Oświęcimiu. Raz w tygodniu prowadzi również lekcje historii dla podopiecznych Ośrodka Społeczno-Wychowawczego. „Pieniądze na szkołę, której dyrektorem jest mąż Beaty Szydło, wyłożyły władze Oświęcimia i Unia Europejska. Dziś jest ona maszynką do zarabiania milionów złotych z unijnej kasy, kontrolowaną przez kilka osób" – pisał portal Oko.Press. – „Szczegóły finansów stowarzyszenia [które prowadzi szkołę – przyp. red.] otoczone są tajemnicą, bo choć od lat prowadzi ono działalność gospodarczą, jego zarząd nie złożył w sądzie rejestrowym ani jednego sprawozdania finansowego". Zarząd stowarzyszenia w oficjalnym liście do redakcji portalu oraz „Gazety Wyborczej" nie odniósł się do zarzutów, oskarżając przy tym „GW" o brak zainteresowania pozytywnymi aspektami działalności placówki (m.in. organizacja

eprasa.pl 1390f19820

Jeden z synów Beaty Szydło – Tymoteusz (drugi od lewej, podczas uroczystości prymicyjnej z rodzicami) – jest księdzem. Drugi, student medycyny, starannie chroni swoją prywatność FOT. ANNA KACZMARZ/DZIENNIK POLSKI/EAST NEWS

mistrzostw Polski w pływaniu dla dzieci niepełnosprawnych), a dziennikarce składającej zapytanie odpowiadając w następujący sposób: „Pewne stwierdzenia przytacza pani jako pewnik, a zatem nie ma sensu z nimi polemizować, skoro ma pani wyrobiony sąd".

Ciekawe, że mąż premier spotkał się z falą krytyki w lewicowo-liberalnych mediach za coś, co w oczach tej formacji ideologicznej z reguły jest powodem do dumy – za przedsiębiorczość i sprawność w pozyskiwaniu funduszy unijnych. Równie dobrze przecież taka działalność mogłaby zostać uznana za dowód, że PiS wcale nie chce nas wyprowadzić z UE. I zapewne tak by było, gdyby Edward Szydło nie był związany z obozem „dobrej zmiany".

KSIĄDZ TYMOTEUSZ

„Ku wolności wyswobodził nas Chrystus". Tak brzmi kapłańskie motto ks. Tymoteusza Szydły. Cytat pochodzi z Listu św. Pawła do Galatów i został umieszczony na obrazku prymicyjnym. Tak sens tego przesłania tłumaczył ks. Tymoteusz w rozmowie z „Gościem Niedzielnym": „Bo od wolności wszystko się zaczyna i do wolności zostaliśmy stworzeni przez Boga. Bóg jest tak wspaniały, że w swojej wszechmocy dał nam wolność i pozwolił na to, żeby stworzenia podejmowały własne, autonomiczne decyzje. […] Mówię tu o wolności prawdziwej, nie politycznej, materialnej, ale o wolności ducha". To jedna z niewielu medialnych wypowiedzi wyświęconego na księdza syna premier Beaty Szydło. Tymoteusz przyznał na łamach „Gościa Niedzielnego": „Skupiam się na mojej pracy, na moim życiu duchowym i na ludziach, z którymi mam do czynienia w parafii. Tym ludziom chcę poświęcać jak najwięcej czasu. Nie zajmuję się zgiełkiem medialnym, a opinii internetowych po prostu nie czytam".

Ksiądz Szydło zadecydował, że nie będzie udzielał wywiadów świeckim mediom nie dlatego, że ma do nich negatywny stosunek, ale dlatego, że „obecność w życiu publicznym mogłaby być sporym

eprasa.pl 1390f19820

utrudnieniem" dla pracy duszpasterskiej. Także na łamach katolickiego tygodnika konsekwentnie unika politycznych deklaracji. Wiadomo, że „nie lubi" być postrzegany przez pryzmat publicznej działalności swojej mamy. „Staram się nie przejmować ludzkimi ocenami – ani tymi pozytywnymi, ani też negatywnymi. Po prostu chcę zwyczajnie pracować, jak każdy ksiądz – zapewnia. – Kościół nie jest partyjny i ja też nie zamierzam głosić żadnych poglądów politycznych z ambony. Oczywiście mam swoje przekonania w tym względzie, ale zostawiam je dla siebie".

Nie oznacza to jednak, że Tymoteusz Szydło będzie duszpasterzem „neutralnym światopoglądowo", uległym wobec duchowego liberalizmu „postępowego świata" czy choćby unikającym konfrontacji nauki Kościoła z lewicową ideologią. Wydaje się, że wręcz przeciwnie. Jeszcze jako kleryk, przygotowując się do święceń kapłańskich, wypowiedział się bowiem w sposób zdecydowany za ochroną życia poczętego. Swoje stanowisko wyłożył w artykule pt. „Ojcowie Kościoła i pro-life" opublikowanym na stronie internetowej Wyższego Seminarium Duchownego Archidiecezji Krakowskiej. Tymoteusz Szydło pośrednio przyznał w tekście, że idea ochrony życia niesłusznie kojarzy się w odbiorze społecznym wyłącznie z polityczną walką ruchów antyaborcyjnych, sprowadzającą się do manifestacji ulicznych i podgrzewania powierzchownego oraz niezwykle głośnego, medialnego sporu. Dlatego też postanowił zgłębić tę tematykę, powołując się na poglądy ojców Kościoła, których powszechna nieznajomość powoduje, że „wachlarz argumentów działaczy pro-life wydaje się dość ubogi, ogranicza się najczęściej do podstawowych argumentów z antropologii teologicznej, bioetyki i medycyny". „Co więcej – dodaje Tymoteusz Szydło – milczenie w tym względzie stwarza wrażenie, że Kościół w poprzednich wiekach nie zajmował się tym zagadnieniem". Autor proponuje obrońcom życia korzystać z dorobku ojców, których przemyślane, głęboko filozoficzne opinie mogą dostarczyć wielu ważnych argumentów w sporze ze zwolennikami aborcji. „Wydaje się, że dzisiejszemu światu potrzeba prostoty i dosadności języka chrześcijan pierwszych wieków, połączonych z ich teologiczną głębią. Ojcowie nie osądzali człowieka, ale z całą ostrością potępiali grzech, nie owijając w bawełnę – pisze Tymoteusz Szydło. – Jeżeli ktoś dzisiaj twierdzi, że obrońcy życia zachowują się zbyt ordynarnie, zachęcam do zapoznania się z Apokalipsą św. Piotra lub Apokalipsą św. Pawła, na pewno pomoże. Jeśli ktoś uważa, że argumenty dawno się zgrały, polecam św. Jana Chryzostoma. W końcu jeżeli ktoś twierdzi, że Kościół jest w tej kwestii zbyt surowy, odsyłam do pierwszych penitencjałów. Czy dzisiejszy świat przyjąłby naukę Ojców? Czy przejąłby się ich argumentacją? Czy przynajmniej zatrzymałby się przez chwilę nad słowami? Nie wiadomo. Ale jedno jest pewne: w skarbcu Kościoła znajdują się odpowiedzi na wszystkie pytania. Nawet jeżeli ktoś na wątpliwości XXI w. znalazł remedium 1500 lat wcześniej".

Ksiądz Tymoteusz Szydło z mamą – premier Beatą Szydło FOT. ŁUKASZ GAGULSKI/FORUM

Zainteresowanie myślą ojców Kościoła nie było u młodego kleryka przypadkowe. Tymoteusz pasjonował się filozofią. Odnosił sukcesy w szkolnych olimpiadach z tej dziedziny. Dlatego też rodzice namawiali go, by poszedł na studia filozoficzne. Beata Szydło przyznała, że byli wraz z mężem początkowo zaskoczeni decyzją syna. Prosiła nawet Tymoteusza, aby zastanowił się, czy nie lepiej najpierw skończyć studia uniwersyteckie, a dopiero potem pójść do seminarium. On jednak postawił na swoim. Premier Szydło nie tylko uszanowała decyzję syna, lecz także z perspektywy czasu stwierdziła, że już w dzieciństwie pojawiało się wiele znaków sugerujących, że Tymek powinien iść drogą powołania, znaków, których wówczas rodzice najwyraźniej jeszcze nie byli w stanie odczytać.

INNY NIŻ MY

Często bywa tak, że to, co dla najbliższych niewidoczne, staje się czytelne z dystansu w oczach postronnych. Być może dlatego mieszkańcy Przecieszyna, sąsiedzi i przyjaciele rodziny Szydłów twierdzą, że właściwie od dziecka Tymoteusz był

eprasa.pl 1390f19820

bardzo uduchowiony. – Odkąd go pamiętam, zawsze był ministrantem. Mój wnuk Radek, który chodził z Tymkiem do szkoły, powiedział mi o nim kiedyś: „Babciu, on jest inny niż my" – opowiada Józefa Apryas, dyrektorka Folklorystycznego Zespołu Obrzędowo-Śpiewaczego Przecieszynianki. – Nawet przebywając w grupie kolegów, widać, że jest zapatrzony w Boga. Jednak to nie oznacza wcale, że stronił od rówieśników. Zawsze był wesoły, uśmiechnięty. Można powiedzieć: rozrywkowy, ale w jak najbardziej pozytywnym znaczeniu. Nie imprezował, nie szalał na dyskotekach, bo państwo Szydłowie to ułożeni ludzie, dobrze synów wychowali. Co nie oznacza, że Tymek to ponurak. Wręcz przeciwnie. W szkole prowadził kabaret, reżyserował też różne przedstawienia i występował w nich. Miał zawsze duży dystans do siebie, nie miał problemu z tym, żeby do jakiejś komediowej roli przebierać się w damskie stroje. Gdy reżyserował szkolny spektakl, zawsze obsadzał siebie w najśmieszniejszej roli, nie chciał koniecznie błyszczeć i pokazywać innym, jakim to jest wspaniałym aktorem. To było z jego strony bardzo wychowawcze, bo uczył innych, że trzeba umieć się z siebie śmiać, trzeba też innym okazywać naturalny szacunek, zamiast się wywyższać. Właśnie tą skromnością udowadniał swoją wartość – dodaje. Ze wzruszeniem wspomina też mszę prymicyjną Tymoteusza. – Podobnie jak wielu mieszkańców byłam bardzo dumna, bo to w końcu pierwszy ksiądz wyświęcony w naszej parafii. Byłam tak szczęśliwa, jakby to był mój wnuk! – podkreśla Józefa Apryas. Napisała nawet na tę okoliczność dla Tymoteusza wiersz, który odczytała z ambony przecieszyńskiego kościoła. Czytamy w nim m.in.: „Księże Tymoteuszu, Choć dookoła jest szaro / I ponad Twe siły jest trud / Zawsze z ochotą i wiarą / Prowadź ku niebu wierny lud / Niech tu na ziemi w cieniu krzyża / Który ochotnie chcemy nieść / Do Boga słowa Twe nas zbliżą / I zawsze głoszą Maryi Cześć / Przez Twoje Błogosławieństwo / I gorące modlitwy do Boga / Zawsze w naszych sercach / Gości Bóg dobroć i miłość / A radość z tego spotkania / I łaska płynąca z nieba / Niechaj obfity plon przynosi / I pozostanie w naszych sercach".

Młodszy syn państwa Szydłów, Błażej, podobnie jak Tymoteusz w dzieciństwie był ministrantem. Nie poszedł jednak w ślady starszego brata. Studiuje medycynę w Krakowie i mocno strzeże swojej prywatności. Zaraz po wyborach media plotkarskie publikowały jego facebookowe zdjęcie z dziewczyną na plaży. Dziś nie znajdzie się Błażeja na portalach społecznościowych. Jak twierdzą mieszkańcy Przecieszyna, niczym się nie wyróżniał. – Porządny, spokojny chłopak – mówią.

Józefa Apryas, jako lokalna aktywistka, często organizowała wycieczki parafian z Przecieszyna połączone ze zwiedzaniem różnych obiektów architektury sakralnej. – Bardzo chętnie jeździł z nami Tymek, jeszcze jako ministrant. W ogóle nie przeszkadzało mu to, że był z reguły zdecydowanie najmłodszym uczestnikiem wycieczki – wspomina. – Niejeden jego rówieśnik odmówiłby wyjazdu z grupą emerytów, ale dla Tymka to była zawsze prawdziwa atrakcja – śmieje się. W jej pamięci szczególnie zapisał się wyjazd do Piekar Śląskich. – Całą wycieczką rozsiedliśmy się na dziedzińcu tamtejszego sanktuarium i wysłuchaliśmy pasjonującej opowieści Tymka o pielgrzymce mężczyzn, która co roku tradycyjnie wyrusza właśnie w kierunku Piekar Śląskich. Był bardzo tym przejęty, opowiadał z pasją i ogromną wiedzą, jak doświadczony przewodnik – mówi Józefa Apryas.

DUSZA TOWARZYSTWA

Na wycieczki z parafianami z Przecieszyna i zespołem ludowym Przecieszynianki bardzo chętnie wybierał się także ojciec Tymoteusza. – Jeśli tylko miał czas, to nigdy nie odmawiał. Dzwoniłam i pytałam: „Panie Edziu, jedziemy z zespołem na wycieczkę. Jedzie pan z nami?", z reguły słyszałam: „No pewno, że pojadę z wami, dziewczyny". Najpierw się zgadzał, potem dopiero pytał dokąd, bo po prostu uwielbiał nasze towarzystwo – mówi pani Józefa. Zapewnia, że mąż Beaty Szydło to człowiek bardzo wesoły, „do tańca i do różańca". I to dosłownie. Podczas zwiedzania zabytkowych sanktuariów pełen zadumy, wraz z synem pogrążony w modlitwie, ale poza murami świątyni prawdziwa dusza towarzystwa. Bardzo lubi śpiewać i chętnie dołącza do chóru Przecieszynianek.

Wychodzi więc na to, że wbrew komediowej wizji Roberta Górskiego, który satyryczną kreską wyostrzył obraz męża pani premier, przedstawiając go jako trzymanego nie tylko w cieniu, lecz także pod pantoflem żony, Edward Szydło jest otwartym, przebojowym i towarzyskim człowiekiem. Ma opinię lokalnego aktywisty. – Chętnie udzielał się społecznie. Podczas rajdów rowerowych po gminie był spikerem, prowadził całe zawody, a potem wręczał nagrody – opowiada Czesław Smółka, sołtys Przecieszyna. Edward Szydło prowadził rajdy rowerowe. Głównym organizatorem był burmistrz Brzeszcz, a to stanowisko przez siedem lat pełniła Beata Szydło. Wspólnie działali więc na rzecz aktywizacji mieszkańców gminy, przy czym już wówczas pan Edward musiał uznać administracyjną wyższość żony. – Nie ma już czasu na prowadzenie rajdów, odkąd pani Beata jest premierem – przyznaje sołtys Smółka. – Jednak niecałe dwa lata temu, czyli już po wyborach, pan Edek znalazł czas, żeby zorganizować w Przecieszynie bezpłatne kursy komputerowe dla seniorów.

Dom państwa Szydłów, zgodnie z obowiązującymi przepisami, jest pilnie strzeżony przez funkcjonariuszy BOR. Zanim jeszcze wielka polityka wymusiła rezygnację z dużej części prywatnego życia, pan Edward organizował w przydomowym ogrodzie przyjęcia integracyjne dla ministrantów z przecieszyńskiej parafii, wśród których byli także jego synowie – Błażej i Tymoteusz.

Pan Edward jest też zapalonym pszczelarzem i myśliwym. – Wiem, że pracownicy i uczniowie bardzo go chwalą, bo jest wyrozumiałym, otwartym, tolerancyjnym, po prostu życiowym dyrektorem – mówi pani Bożena, mieszkanka Przecieszyna. – U nas wszyscy go lubią, bo zawsze wyciągał rękę do potrzebujących. Gdy ktoś miał jakiś problem, mógł się do niego zwrócić o pomoc.

Beata i Edward mogliby podpisać się pod znanym sloganem reklamowym „Łączy nas piłka". To właśnie od sportu wszystko się zaczęło. W rozmowie z Robertem Mazurkiem premier przyznała, że poznali się z Edwardem na boisku piłkarskim, podczas praktyki studenckiej. Beata Szydło była kapitanem drużyny. Ten fakt przytoczyła w wywiadzie jako dowód na to, że już w młodości była przywódcą grupy. Połączył ich futbol, ale wspólną pasją była też piłka ręczna. Beata Szydło wspomina te czasy w rozmowie z Mazurkiem, chwaląc męża, jak to ujął dziennikarz, „z autentycznym wzruszeniem": „On swego czasu bardzo dobrze grał w piłkę ręczną, był bramkarzem reprezentacji Uniwersytetu Jagiellońskiego, stąd zresztą nasza miłość do piłki ręcznej. No i jak trafił do szkoły specjalnej, to przez jakiś czas uczył tam WF i zdobył z chłopakami mistrzostwo Europy szkół specjalnych w piłce ręcznej. Taki facet!".

Beata Szydło potrafi się bawić z pieśnią na ustach. – Obiecała nam, że w czasie kampanii przyjedzie do Przecieszyna

eprasa.pl 1390f19820

szydłobusem. I dotrzymała obietnicy. Przywitałyśmy ją całym zespołem. Podeszła do nas uśmiechnięta i zapytała: „Dziewczyny, śpiewamy?". No i zaśpiewałyśmy wspólnie „Wyjeżdżaj, furmanko". Było bardzo wesoło – wspomina Józefa Apryas. Obecną premier zna od kilku dziesięcioleci. Blisko współpracowały, gdy Beata Szydło została dyrektorem gminnego domu kultury w pobliskich Brzeszczach. – Była sprawną organizatorką. Dbała o nasz zespół. Nigdy nie brakowało pieniędzy na wyjazdy na różne występy i festiwale. Jeździła zresztą z nami na te wyjazdy, razem z nami cieszyła się z naszych sukcesów. Organizowała też gminną imprezę pod nazwą „Cztery pory roku", czyli cykl przedstawień i występów lokalnych zespołów ludowych – opowiada Józefa Apryas. – Nie zapomniała też o nas, kiedy weszła do wielkiej polityki. Już jako poseł przyjechała do nas na obchody 35-lecia istnienia zespołu.

Wszyscy mieszkańcy Przecieszyna, z którymi udało mi się porozmawiać, niezależnie od siebie, poza kurtuazyjnymi ogólnikami, podkreślają jedną konkretną cechę Beaty Szydło: umiejętność słuchania ludzi. – Nie uśmiecha się sztucznie do wszystkich naokoło, ma zazwyczaj poważny wyraz twarzy, ale nie jest niedostępna, bardzo chętnie rozmawia z każdym. I tak było zawsze – mówi sołtys Smółka. – Pamiętam, kiedy była burmistrzem, podczas sesji rady miasta potrafiła wysłuchać od początku do końca opinii i komentarzy radnych, niezależnie od tego, czy się z nimi zgadzała czy nie. Potrafiła wyważyć różne racje, różne poglądy i doprowadzić do kompromisu. Wiadomo, że od kiedy została premierem, ma mniej czasu i obstawę BOR, ale po niedzielnej mszy z reguły znajduje parę chwil na rozmowę. Jest bardzo rzeczowa. Kiedy rozmawiamy, nie pyta, czego potrzebujemy, tylko interesuje się, jakie prace zostały ostatnio wykonane w sołectwie. Niektórzy mówią, że skoro Przecieszyn ma premiera, to premier nam wszystko załatwi. A to nieprawda. Premier nie może przecież w takich drobnych sprawach interweniować. Za to bardzo się interesuje, co się dzieje w jej rodzinnej wsi.

– Nie ma w jej stylu bycia żadnej wyższości. Zwykła, spokojna, dobra kobieta. Gdyby ktoś nie wiedział, czym się zajmuje, toby znając ją, w ogóle nie pomyślał, że pełni jakąś ważną funkcję. Politycy to zwykle dużo mówią, a ona przede wszystkim słucha – mówi Leszek Trzeciak. Pan Leszek jest po amputacji obu nóg. Porusza się na wózku inwalidzkim. – Znaliśmy się z panią Beatą, bo jej mama pracowała w opiece społecznej – mówi. Ze wzruszeniem wyznaje, że właśnie od Beaty Szydło dostał być może najpiękniejszy prezent w swoim życiu. – Żadna instytucja nie chciała mi przyznać wózka inwalidzkiego. Wszędzie mi odmawiano, mówili, że nie przysługuje mi, bo jestem zdrowy, choć przecież nie mam nóg. I tuż przed świętami, prawie pod choinkę, dzięki wstawiennictwu pani premier, w końcu dostałem nowiutki wózek inwalidzki od krakowskiego Caritasu – opowiada pan Leszek.

NIESPOTYKANIE SPOKOJNY

Gdy z kolei pytam o Beatę Szydło jej byłych czy obecnych współpracowników politycznych, pierwsze, co przychodzi im na myśl, to „siła spokoju". – Nigdy nie widziałem jej zdenerwowanej ani wzburzonej na tyle, żeby podnieść głos. Beata Szydło potrafi w każdych warunkach zachować spokój, co w polityce jest niewątpliwie cechą niezwykle rzadką i bardzo cenną – mówi Przemysław Wipler, były poseł. – Nie jestem w stanie przypomnieć sobie przypadku, kiedy dała się wciągnąć w jakąś pyskówkę. Wielu polityków traci właśnie na tym, że puszczają im nerwy.

Wszyscy mieszkańcy Przecieszyna podkreślają jedną konkretną cechę Beaty Szydło: umiejętność słuchania ludzi

– Jest to osoba stanowcza, ale spokojna. Nie ulega żadnym chwilowym emocjom, jest bardzo konkretna. Wszystko, co mówi, jest przemyślane. Pani premier nie używa zbędnych słów, mówi dokładnie tyle, ile potrzebuje, żeby oddać treść swoich myśli – mówi Jarosław Zieliński. Wiceminister spraw wewnętrznych i administracji przyznaje, że zarówno jemu, jak i wielu innym politykom PiS Beata Szydło zaimponowała podczas debaty w Parlamencie Europejskim. – Byłem zaskoczony nie tyle tym, że w ogóle dała radę, ile tym, jak bardzo sobie poradziła – przyznaje. – To był przecież dla niej bardzo trudny moment. Musiała po raz pierwszy zmierzyć się z agresją bardzo negatywnie nastawionych do jej stanowiska polityków europejskich. Nie pomagało to, że przeciwko nam stanęła także polska opozycja. W takiej sytuacji niejedna spokojna osoba dałaby się wyprowadzić z równowagi. Jednak premier ani razu nie zareagowała emocjonalnie, tylko na wszystkie zaczepki przeciwników odpowiadała w sposób rzeczowy i przekonujący.

Przemysław Wipler poznał Beatę Szydło 10 lat temu, za pierwszych rządów PiS. Był wtedy dyrektorem departamentu w Ministerstwie Gospodarki, odpowiedzialnym za bezpieczeństwo energetyczne. – Poznałem Beatę Szydło jako posłankę, która poważnie angażuje się w sprawy swojego okręgu wyborczego – wspomina Wipler. – Pamiętam, że przyszła do mnie z zapytaniem, jakie są techniczne i prawne możliwości reaktywacji w jej regionie produkcji oleju napędowego z węgla, która miała być remedium na problemy górnictwa. Później współpracowaliśmy, gdy była wiceprezesem PiS odpowiedzialnym za gospodarkę. Wspólnie pracowaliśmy nad projektami, które wiele lat później zostały zrealizowane. Proponowaliśmy rozwiązanie zbliżone do „500+" i ustanowienie instytucji rzecznika praw podatnika. W centrum programowym PiS przygotowaliśmy próbny projekt deregulacji zawodów. Był tak dobrze odebrany medialnie podczas kampanii wyborczej, że został przejęty przez Donalda Tuska i w efekcie wprowadzony w życie przez Jarosława Gowina. Wreszcie: to myśmy składali interpelację w sprawie Amber Gold w dniu, w którym upadł OLT Express, a więc tak na dobrą sprawę zanim jeszcze wybuchła cała afera.

Przemysław Wipler przyznaje, że Beata Szydło szukała przede wszystkim ludzi, z którymi można rozwiązywać konkretne problemy, niezależnie od opcji. – Gdy była wiceprzewodniczącą sejmowej Komisji Finansów Publicznych, do której należałem, zauważyłem, że bardzo sprawnie dzieliła pomiędzy członków prace nad poszczególnymi projektami ustaw – mówi.

– Władza często zmienia ludzi. Tylko nieliczni pozostają sobą po objęciu wysokiego stanowiska. Wśród tych nielicznych jest właśnie pani Beata Szydło – zapewnia Jarosław Zieliński. – Znam ją od dekady i wiem, że nie udaje, że jest taka zawsze: naturalna, przyjazna innym, koleżeńska. Pomimo wielkiej odpowiedzialności, jaką na siebie wzięła jako premier rządu, mimo nadmiaru obowiązków, zmęczenia, świadomości tego, że każdy jej krok, każdy gest czy słowo są odczytywane inaczej niż przed objęciem urzędu, zachowuje się wciąż tak samo: jest ciepłym, normalnym człowiekiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1390f19820

FOT. PKP S.A.

PKP – inwestycje w Polsce Wschodniej #ŁĄCZYMY POLSKĘ

PKP S.A. inwestuje w modernizację dworców kolejowych w całym kraju. Celem tego szeroko zakrojonego programu jest dostosowanie obiektów do potrzeb wszystkich grup podróżnych.

W miejscu, gdzie obecnie znajduje się dworzec Olsztyn Zachodni, przystanek kolejowy istniał już w latach 80. XIX wieku. Ale dopiero od czerwca znajduje się tu dworzec z prawdziwego zdarzenia. Modernizacja dotychczasowego obiektu trwała dziesięć miesięcy i kosztowała 3,5 mln zł. Dworzec dostosowano do potrzeb osób z niepełnosprawnościami, wymieniono okna, drzwi, instalację hydrauliczną i elektryczną, wyremontowano wnętrze i elewację. Przed budynkiem posadzono drzewa, pojawiły się nowe miejsca parkingowe i stojaki dla rowerów.

Podobną metamorfozę przejdzie w najbliższych latach także wiele innych dworców w całym kraju. Ponad 160 z nich zostanie albo gruntownie zmodernizowanych, albo wzniesionych od podstaw, np. w formule tzw. innowacyjnych dworców systemowych.

PKP S.A. chce w większym niż dotychczas stopniu skupić się na realizacji inwestycji w mniejszych miejscowościach. Ma to pomóc w niwelowaniu różnic między Polską A i B oraz stać się kolejnym czynnikiem rozwoju ekonomicznego dotychczas zaniedbywanych regionów, takich jak wschód kraju. Istotnym przykładem może być dziesięć projektów realizowanych przy dofinansowaniu w ramach Programu Operacyjnego Polska Wschodnia. Wysokość unijnej dotacji wyniesie ok. 160 mln zł.

- Modernizacja dworców w Polsce Wschodniej ma się przyczynić do wzrostu konkurencyjności i rozwoju transportu kolejowego w województwach, w których przez lata był on marginalizowany - mówi Krzysztof Mamiński, prezes zarządu PKP S.A. - To natomiast powinno się stać silnym impulsem prorozwojowym dla tej części kraju. Dworzec to nie tylko miejsce, w którym zaczynamy i kończymy podróż, ale także wizytówka miasta. Oprócz funkcji transportowych pełni także ważne funkcje społeczne.

Pierwsze efekty programu już widać. To właśnie dworzec Olsztyn Zachodni. Wkrótce przyjdzie kolej na Olsztyn Główny oraz dworce w Nidzicy, Olsztynku, Szczytnie, Skarżysku Kamiennej, Bielsku Podlaskim, Czeremsze, Siemiatyczach i Białymstoku.

Fundusze Europejskie Polska Wschodnia | PKP POLSKIE LINIE KOLEJOWE S.A. | Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

Pociąg na wschód

Szybsze i wygodniejsze podróże koleją w województwach, regionach i aglomeracjach, lepsze warunki przewozu towarów – PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. realizują największy w historii program inwestycyjny o wartości ponad 66 mld złotych. Ponad 2 mld zł z Programu Operacyjnego Polska Wschodnia (PO PW) zostanie przeznaczonych na modernizację linii kolejowych łączących miasta Polski Wschodniej.

Osiem projektów finansowanych z Programu Operacyjnego Polska Wschodnia jest częścią Magistrali Wschodniej, czyli koncepcji modernizacji linii kolejowych łączących Olsztyn, Białystok, Ełk, Lublin, Rzeszów i Kielce. Korzyści płynące z takich inwestycji są nie do przecenienia. Poprawa jakości infrastruktury kolejowej między wschodnimi miastami wojewódzkimi oznacza poprawę dostępności transportowej Polski Wschodniej, co z kolei zwiększy konkurencyjność ekonomiczną makroregionu i przyspieszy jego wzrost gospodarczy. Nie sposób też nie wspomnieć o poprawie jakości życia mieszkańców Polski Wschodniej.

Największym projektem PO PW jest modernizacja i elektryfikacja linii łączącej Lublin ze Stalową Wolą. Inwestycja o wartości 367 mln zł, na którą PLK podpisały już umowę z wykonawcą, będzie realizowana do 2019 roku. Elektryfikacja linii pomiędzy Lublinem a Stalową Wolą stworzy nowe możliwości dla regionalnych i dalekobieżnych przewozów pasażerskich. Dla pasażerów najważniejsze jest, że na trasie Lublin – Stalowa Wola – Rzeszów podróż będzie trwała o 20 min krócej. Będą oni korzystać z dwóch nowych przystanków - w Zaklikowie i Charzewicach, zaś 20 stacji i przystanków zyska wyższy standard obsługi. PLK dostosują obiekty do potrzeb osób o ograniczonych możliwościach poruszania się. Są też dobre wiadomości dla kierowców: zwiększy się bezpieczeństwo na 75 przejazdach. Po elektryfikacji linie zyskają również większą dostępność dla ruchu towarowego. Podróże i przewóz ładunków usprawni remont 46 i przebudowa 24 obiektów inżynieryjnych.

Jeszcze w tym roku zostaną podpisane umowy na realizację sześciu pozostałych projektów PO PW dla kolejnych odcinków linii kolejowych: Białystok - Bielsk Podlaski, Skarżysko Kamienna – Sandomierz, granica województwa – Czeremcha – Hajnówka, Lewki – Hajnówka, Działdowo – Olsztyn oraz Ełk – Szczytno. Natomiast w trzecim kwartale br. planowany jest przetarg na prace na liniach nr 25, 74, 78 na odcinku Stalowa Wola – Tarnobrzeg/Sandomierz – Ocice/Padew.

FOT. PKP POLSKIE LINIE KOLEJOWE

eprasa.pl 1390f19820

Droga do RIO

Kamila Baranowska

Pierwsze weto prezydenta wobec rządu, w sprawie regionalnych izb obrachunkowych, nie oznacza nagłego zwrotu w polityce głowy państwa, ale otwiera pole do spekulacji, w co i z kim gra prezydent

eprasa.pl 1390f19820

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

Oficjalne tłumaczenie Pałacu Prezydenckiego brzmi tak, że weto to ukłon w stronę samorządowców, którzy przekonali prezydenta, iż nowa ustawa jest szkodliwa, bo uderza w ich niezależność. – Od początku budziła kontrowersje, bo dawała zbyt duże uprawnienia władzy centralnej i ingerowała w samodzielność samorządów. Prezydent wsłuchał się w głos samorządowców, którzy alarmowali w tej sprawie – podkreśla w rozmowie z „Do Rzeczy" minister Krzysztof Łapiński z Kancelarii Prezydenta.

WŁADZA ZASKOCZONA

Z naszych informacji wynika, że w PiS nie spodziewano się takiego obrotu sprawy, choć sygnały w tej sprawie Pałac Prezydencki miał wysyłać już wcześniej. W partii rządzącej nikt jednak nie dowierzał, że prezydent ustawy może nie podpisać. Dopiero w środę wieczorem, gdy do mediów przedostała się informacja o możliwym wecie (podał ją portal 300polityka.pl), u przebywającego w Juracie prezydenta Andrzeja Dudy rozdzwoniły się telefony z partii.

Pałac chciał pokazać, że prezydent nie będzie podpisywał wszystkiego jak leci bez wcześniejszych konsultacji, a ustawy o RIO nikt z nim nie uzgadniał. Do Pałacu Prezydenckiego pielgrzymowali za to samorządowcy i przedstawiciele organizacji samorządowych różnych szczebli, których prezydent chętnie przyjmował i słuchał. – W imię pozyskiwania sympatii samorządowców, którzy gremialnie wspierali w kampanii Bronisława Komorowskiego, prezydent Andrzej Duda chce konserwować III RP, z którą miał walczyć – utyskuje jeden z polityków PiS. To wcale nieodosobniona w partii opinia.

W PiS można usłyszeć jeszcze jedno: że owe ukłony w stronę samorządowców to efekt cichego sojuszu Pałacu Prezydenckiego z duetem Jarosław Gowin i Mateusz Morawiecki. – Pałac angażuje się ostatnio bardzo aktywnie w promocję start-upów, innowacji, a wiadomo, że to konik Morawieckiego i Gowina. Pamiętajmy też, kto pomagał w załatwianiu wizyty Donalda Trumpa w Warszawie, która okazała się wielkim sukcesem Dudy, jednym z nazwisk wymienianych w tym kontekście jest Adam Bielan – mówi nasz rozmówca z PiS. I dodaje: – Gowin postawił ostatnio na samorządowców, objeżdża regiony, pochyla się nad problemami samorządowców, próbując stworzyć sobie z nich zaplecze na czas wyborów samorządowych. Wie, że ma słabe struktury i potrzebuje argumentów w negocjacjach z Kaczyńskim w sprawie list wyborczych. A samorządowcy są otwarci na nowych sprzymierzeńców, bo PSL jest słabe, a Komorowski dawno wypadł z gry.

Przekonał prezydenta Dudę, że i jemu taki manewr się opłaci, bo zjedna mu to środowisko – dodaje. W PiS odnotowano też niedawną wizytę Andrzeja Dudy w Gliwicach, gdzie pochwalił prezydenta miasta Zygmunta Frankiewicza za dynamiczny rozwój miasta. A Frankiewicz – wypominają w PiS – był jednym z 29 prezydentów miast, którzy w kampanii prezydenckiej stanęli murem za Bronisławem Komorowskim, uroczyście podpisując deklarację poparcia.

CZEKANIE NA ODPRĘŻENIE

Czy to oznacza, że prezydent Duda postanowił iść na otwarty konflikt z PiS? Nic z tych rzeczy. W Pałacu Prezydenckim jest lekki niepokój co do reakcji PiS, ale panuje przekonanie, że sprawa rozejdzie się po kościach. Cały obóz rządzący ma bowiem świadomość, że w jego interesie (dotyczy to i prezydenta, i Kaczyńskiego, i Gowina, i Ziobry) nie są dziś jakiekolwiek spory, bo tylko jedność daje szansę na dobry wynik w wyborach samorządowych oraz walkę o kolejną kadencję w parlamentarnych i prezydenckich. Co nie zmienia faktu, że w kuluarach toczy się gra o jak najlepszą pozycję negocjacyjną. – Każdy chce zgody, ale na dobrych warunkach – kwituje jeden z naszych rozmówców.

Dlatego rozczarują się ci, którzy liczą, że weto prezydenckie oznacza trwałe odcięcie się prezydenta od PiS czy Jarosława Kaczyńskiego. Jeśli chodzi o pakiet ustaw dotyczących wymiaru sprawiedliwości (KRS, Sąd Najwyższy, ustrój sądów powszechnych), to jest mało prawdopodobne, by prezydent się zawahał. – Weta w sprawie ustawy o regionalnych izbach obrachunkowych partia długo prezydentowi nie zapomni, ale może je wybaczy. Weta w sprawie ustawy o KRS czy sądach nie wybaczyłaby mu na pewno – mówi jeden ze współpracowników głowy państwa. Z kolei Andrzej Dera z Kancelarii Prezydenta wskazuje: – Prezydent wielokrotnie podkreślał w swojej kampanii, że

eprasa.pl 1390f19820

głęboka reforma wymiaru sprawiedliwości jest konieczna. Wątpliwości, które miał w sprawie skrócenia kadencji sędziom KRS, rozwiał zaś Trybunał.

SERCE SAMORZĄDÓW

Po decyzji prezydenta pojawiło się sporo głosów lekceważących to weto jako dotyczące mało istotnej ustawy. Co ciekawe, tego typu komentarze płynęły z ust tych, którzy jeszcze niedawno, gdy ustawę uchwalał Sejm, grzmieli o zamachu na samorządy.

Prawda jest taka, że ustawa o RIO była dla PiS i rządu niezwykle ważna. Samorządy są jedynym elementem, nad którym PiS nie ma dziś władzy. W 15 sejmikach wojewódzkich na 16 rządzi koalicja PO-PSL. Od dłuższego czasu PiS próbuje uszczuplać kompetencje samorządowców na rzecz podległych rządowi wojewodów lub bezpośrednio ministra rolnictwa. W ten sposób przejmuje nadzór nad kolejnymi instytucjami, m.in. wojewódzkimi funduszami ochrony środowiska i gospodarki wodnej, ośrodkami doradztwa rolniczego czy Państwową Inspekcją Sanitarną. W tym scenariuszu izby obrachunkowe były sprawą kluczową, bo mogły zrewolucjonizować funkcjonowanie samorządów.

Zadaniami regionalnych izb obrachunkowych są kontrola i nadzór w zakresie wykonywania budżetu samorządów. Po zmianach prezesi izb mieli być bezpośrednio powoływani na sześcioletnią kadencję przez premiera na wniosek szefa MSWiA.

Dotychczas to kolegium izby organizowało konkurs, w wyniku którego wyłaniano kandydata, jakiego powoływał premier. Kluczowe zmiany dotyczyły także kompetencji izb. Nowe przepisy dawały prezesom prawo do natychmiastowego zawieszenia w obowiązkach wójta, burmistrza czy prezydenta miasta w przypadku jakichkolwiek zastrzeżeń co do gospodarowania pieniędzmi. Kończyłoby się to powołaniem zarządu komisarycznego, bezpośrednio podlegającego rządowi.

– Prezydent nie podpisał tej ustawy z dwóch powodów. Po pierwsze, dawanie regionalnym izbom obrachunkowym uprawnień, by badały celowość wydatków w samorządzie, uderza w konstytucyjną podstawę ich działania, czyli samodzielność. Od tego są radni, by decydować, co jest celowe i gospodarne, jeśli chodzi o finanse, nie mogą tego oceniać zewnętrzne jednostki – mówi „Do Rzeczy" minister Andrzej Dera z Kancelarii Prezydenta, który ma doświadczenie samorządowe. – Po drugie, zbyt daleko idącym uprawnieniem jest możliwość odwoływania wójtów czy burmistrzów przez premiera na podstawie opinii jakiegoś zewnętrznego ciała. To zbyt mocna ingerencja w samorządność – dodaje.

Takie argumenty to miód na serce opozycji. – Byłem bardzo zaskoczony, pozytywnie oczywiście, taką decyzją prezydenta – przyznaje w rozmowie z „Do Rzeczy" Piotr Zgorzelski z PSL. Ludowcy od początku głośno protestowali przeciwko ustawie o RIO. – Te przepisy tworzyły samorządową inkwizycję, w której nominaci PiS-owscy jeździliby do samorządowców z wytycznymi z Warszawy i kwestionując ich decyzje finansowe, powoływaliby własnych partyjnych komisarzy. Bo w ten sposób można odwołać każdego wójta czy burmistrza – wskazuje Zgorzelski. Jednocześnie przyznaje, że nie do końca wierzy, iż weto Andrzeja Dudy było skierowane przeciwko PiS. – Nie wierzę w samowolę prezydenta i w to, że nie było to konsultowane z prezesem Kaczyńskim. Myślę, że jest tu jakieś drugie dno, tylko jeszcze nie wiemy jakie – twierdzi.

– Kiedy prezydent podpisuje ustawy, opozycja krzyczy, że jest niesamodzielny. Kiedy nie podpisuje, to krzyczy, że ustawa mało ważna, albo doszukuje się drugiego i trzeciego dna. Trudno jej dogodzić – kpi minister Dera. – Pan prezydent kierował się w tej sprawie wyłącznie rzetelną analizą zgodności ustawy z konstytucją. Był pewien, że te przepisy są z konstytucją sprzeczne, dlatego podjął taką decyzją – dodaje.

Chociaż instrument, jakim jest weto, prezydent Duda zastosował w stosunku do rządu PiS po raz pierwszy, to sygnały do partii wysłał już wcześniej.

TYKAJĄCE REFERENDUM

Takim sygnałem była choćby zapowiedź referendum konstytucyjnego. Prezydent nie skonsultował swojego pomysłu z PiS, a co więcej – rozpoczął w tej sprawie konsultacje z innymi ugrupowaniami, a konkretnie z ruchem Kukiza. Niedawno w „Do Rzeczy" pisaliśmy o tym, że to może oznaczać trwalszy sojusz z Pawłem Kukizem. On sam nie wykluczył także rezygnacji ze startu w wyborach prezydenckich i poparcia Dudy, jeśli współpraca będzie się nadal dobrze układać. – Jeśli prezydent będzie szedł w kierunku społeczeństwa obywatelskiego, realizował kwestie, o których mówiliśmy, że wymagają zmian, to trzeba się zastanowić, jaki byłby sens w tym, żebym też startował – mówił w „Do Rzeczy" Paweł Kukiz.

Na razie temat referendum zszedł z pierwszego planu debaty publicznej, ale wróci już niebawem. Prezydent nie ma pewności, czy Senat przychyli się do jego wniosku o referendum. – Sprawa tego, że wystąpię do Senatu o zgodę na zarządzenie referendum konsultacyjnego w sprawie kierunków ustrojowych przyszłej konstytucji, jest przesądzona, bo to zależy ode mnie. Nie wyobrażam sobie sytuacji, by to referendum się nie odbyło, bo Polacy tego oczekują i są zainteresowani przyszłością swojego kraju – mówił prezydent w niedawnym wywiadzie dla „Do Rzeczy". I przyznał, że jeśli chodzi o model ustrojowy, to bliżej mu do modelu prezydenckiego. – Osobiście uważam, że rola prezydenta powinna zostać w nowej konstytucji wzmocniona, ale chcę o to zapytać Polaków, czy oni też tak uważają – powiedział.

W PiS słyszymy opinię, że sprawa referendum to dziś bomba z opóźnionym zapłonem. Bo jeśli prezydent nie dogada się z PiS, to Senat zablokuje mu wniosek o referendum. Prezydent wyjdzie na nieskutecznego. Jeśli tak się stanie, to prezydent Duda oskarży PiS o brak poszanowania woli obywateli i zdradę obietnic wyborczych. W każdym przypadku straty będą po obu stronach. Dlatego nasi rozmówcy są tu zgodni: PiS i prezydent są skazani na współpracę. Nie tylko w tej sprawie.

Ustawa o regionalnych izbach obrachunkowych była dla PiS i rządu niezwykle ważna. Samorządy są jedynym elementem, nad którym PiS nie ma dziś władzy

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1390f19820

Start po kapitał

Uruchomienie funduszu funduszy venture capital poza wsparciem rozwoju start-upów spowoduje, że polskie przedsiębiorstwa działające na rynkach zagranicznych staną się bardziej atrakcyjne na inwestycyjnej mapie globalnych Aniołów Biznesu

FOT. FOTOLIA

Jeszcze do niedawna w Polsce słowo „start-up", mimo że odmieniane przez wszystkie przypadki, praktyce nie znaczyło wiele. Pomysłowi przedsiębiorcy mogli z zazdrością patrzeć na instrumenty wsparcia, które otrzymywały młode, innowacyjne firmy w Niemczech czy w Izraelu.

– Wiele na polskiej scenie startupowej zmieniło się dzięki konkursowi ScaleUP – uważa Eliza Kruczkowska, dyrektor departamentu rozwoju innowacji w Polskim Funduszu Rozwoju (PFR).

ScaleUP to konkurs Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości w ramach rządowego programu „Start In Poland". To pomysł na „kojarzenie" start-upów z dużymi firmami o ugruntowanej pozycji. Również tymi z udziałem Skarbu Państwa.

– To jest jedno z narzędzi, które służy państwu do mobilizowania środowiska biznesowego do tworzenia dobrego ekosystemu – wyraża opinię Kruczkowska. – Nie chodzi przecież o to, aby państwo tworzyło rynek, tylko aby wprowadziło dobre reguły i stworzyło sprzyjające warunki – uzupełnia.

Dzięki temu programowi na rynku pojawiło się wiele wdrożeń realizowanych przez małe, dynamiczne przedsiębiorstwa w gigantach takich jak Tauron, Poczta Polska czy Alior Bank.

FUNDUSZE NA ROZWÓJ FUNDUSZY

– Jesteśmy świadomi tego, że jako rynek start-upów musimy konkurować z innymi krajami, aby ściągać zarówno najbardziej kreatywnych przedsiębiorców, jak i działających na dużą skalę inwestorów – stwierdza Eliza Kruczkowska.

To zadanie ma spełnić pula 2,8 mld zł, ulokowanych w niedawno powołanej przez Polski Fundusz Rozwoju spółce PFR Ventures, działającej w formule funduszu funduszy. W gamie instrumentów dynamizujących rynek funduszy VC znajdziemy PFR Starter FIZ, który poprzez wybrane fundusze VC inwestuje wraz z kapitałem prywatnym (80 proc. PFR Starter FIZ i 20 proc. kapitału prywatnego) w przedsięwzięcia w najwcześniejszej fazie rozwoju (w szczególności przed pierwszą sprzedażą). Łączna pula pieniędzy w ramach Startera to ponad 900 mln zł, przy czym w konkretny projekt będzie można zainwestować nawet 3 mln zł. Nabór pośredników finansowych (fundusze VC) do tego programu zakończył się w połowie czerwca i wzbudził ogromne zainteresowanie ze strony funduszy. Metoda zasilania małych i średnich przedsiębiorstw w początkowej fazie rozwoju, tzw. smart money, została zawarta w produkcie PFR BIZNEST FIZ. Inwestycje kapitałowe będą realizowane przez PFR BIZNEST FIZ wspólnie z Aniołami Biznesu, którzy poza pieniędzmi oferują także know-how, kontakty i kompetencje. W ramach funduszu PFR BIZNEST FIZ do dyspozycji będzie – wraz z kapitałem pochodzącym od Aniołów Biznesu – ponad 500 mln zł, przy czym na pojedynczy projekt będzie można przeznaczyć do 4 mln zł.

KAPITAŁ DLA WZROSTU

– Z każdego z naszych produktów będą mogli korzystać też zagraniczni inwestorzy zarejestrowani na terenie UE – tłumaczy Kruczkowska. – Będą mobilizującą konkurencją dla rodzimych inwestorów, bo będą głównie zorientowani na polskie start-upy wychodzące poza granice naszego kraju. A nam właśnie zależy, by polska scena startupowa miała jak najwięcej międzynarodowych sukcesów – uzupełnia.

Dla przedsiębiorstw w fazie rozwoju technologicznego przeznaczony będzie fundusz PFR Otwarte Innowacje FIZ. Wybrane fundusze VC, inwestujące w przedsiębiorstwa, które wdrażają nowatorskie rozwiązania, będą mogły otrzymać do 60 proc. współfinansowania. Jednostkowe projekty mogą liczyć na wsparcie w wysokości 5–15 mln zł z całkowitej puli 700 mln zł zgromadzonych w ramach PFR Otwarte Innowacje FIZ. Fundusze koncentrujące się na inwestycjach w innowacyjne przedsięwzięcia w later stage (w fazie wzrostu) będą mogły skorzystać z finansowania w ramach PFR KOFFI FIZ. Finansowanie dostarczone w ramach PFR KOFFI FIZ wraz z kapitałem prywatnym to ok. 650 mln zł. Inwestorzy finansujący dalszą ekspansję przedsiębiorstw, które z sukcesem wdrożyły innowacyjne rozwiązanie, będą mogli przeznaczyć na konkretny projekt od 2,5 mln zł do 15 mln zł.

Przedsiębiorstwa o profilu technologicznym w fazie wzrostu i ekspansji, potrzebujące kapitałowego finansowania w wysokości 5–35 mln zł i pragnące uzyskać możliwość wsparcia w rozwoju ze strony korporacji funkcjonującej w danym sektorze rynku, mogą przedstawić biznesplan funduszom venture capital, w które zainwestuje PFR Ventures NCBR CVC. Docelowo fundusz NCBR CVC będzie miał do dyspozycji ponad 800 mln zł (w tym przynajmniej 50 proc. to środki od korporacji i inwestorów prywatnych zapewniane na poziomie funduszu VC).

Więcej informacji znajduje się na stronie internetowej PFR Ventures.

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 1390f19820

Rafał A. Ziemkiewicz

Wojna

Zarówno PiS, jak i „totalna opozycja" kierują się urojeniami i chciejstwem

Ktoś celnie zauważył, że rekordowa frekwencja na ostatniej „miesięcznicy smoleńskiej" (według danych policji: 2 tys. uczestników miesięcznicy, 2,5 tys. kontrmanifestacji) nie wypełniłaby nawet jednego sektora na stadionie warszawskiej Legii. A przecież ta frekwencja była skutkiem maksymalnej mobilizacji po obu stronach. Stronnicy i jednej, i drugiej zjeżdżali się do Warszawy na ten wieczór z całego kraju.

Dlaczego zatem wydarzenie, porównywalne pod wieloma względami z kibicowską ustawką, zajęło tak nieproporcjonalnie wiele miejsca w debacie publicznej? Dlaczego swego czasu PiS postanowił kontynuować comiesięczne marsze pod Belweder po tym, jak i w Belwederze, i w KPRM objął niepodzielną władzę. I dlaczego „opozycja totalna" po wielu próbach znalezienia hasła, które wyciągnie przeciwników PiS na ulice (zagrożona demokracja, PiS zabiera Internet, obrona kobiet, Wałęsy etc.), skupiła się ostatecznie na przeszkadzaniu w „miesięcznicach"? Dlaczego wreszcie obie strony uliczną konfrontację uczyniły punktem odniesienia i pretekstem do zaostrzania retoryki?

Na pewno przecież nie jest to temat nośny społecznie. Po stronie PiS „miesięcznice" angażują tylko wąską grupę najbardziej zapalonych zwolenników, która, dopóki ataki Obywateli RP nie nasiliły się i nie znalazły poparcia liderów „totalnej opozycji", z miesiąca na miesiąc topniała. Transparenty i okrzyki: „Ujawnić prawdę!" brzmią absurdalnie w sytuacji, gdy jej ujawnienie od prawie dwóch lat leży w mocy niepodzielnie rządzącego PiS i, co tu ukrywać, im dłużej „komisja Macierewicza" ją ujawnia, tym mniej się ona trzyma kupy. Niewielu zauważyło w ostatnim lipcowym przemówieniu „Naczelnika" pod pałacem słowa: „Będziemy wiedzieli: było tak, czy było tak. Być może jeszcze nie wszystko, ale na pewno bardzo dużo [o badaniu przyczyn katastrofy w Smoleńsku w perspektywie miesięcy – przyp. red.]". Duża różnica w porównaniu z czasami, gdy PiS głosił, że prawda – czyli zamach – jest doskonale znana, oczywista i wystarczy tylko odsunąć od władzy ludzi, którzy boją się jej ujawnienia.

JAK KARGUL Z PAWLAKIEM

Większość obywateli uważa religijno-polityczny rytuał na Krakowskim Przedmieściu za, delikatnie mówiąc, niemądry i niewczesny, nie kupuje narracji o jego religijnym czy żałobnym charakterze (a tylko taka PiS została po tym, jak ze względów wyżej wymienionych odpadło „Żądamy prawdy"). Co bynajmniej nie znaczy, by owa większość pochwalała ekscesy Obywateli RP wspieranych przez partie i „autorytety" opozycyjne. Obie strony, angażując opinię publiczną na tym froncie, niczym filmowi Kargul z Pawlakiem, niszczą własne garnki i koszule, bo w przypadku PiS jego „smoleńskie" oblicze jest tym właśnie najmniej przez większość wyborców akceptowanym i może od niego tylko odstraszyć. Z kolei w wypadku opozycji jałowe zadymiarstwo utwierdza wyborców w przekonaniu o jej totalnej indolencji i braku jakiejkolwiek propozycji poza czystą nienawiścią do Kaczyńskiego.

Trudno doprawdy znaleźć racjonalne wyjaśnienie tego comiesięcznego starcia dwóch szaleństw. Można zrozumieć uczestników ustawki, którzy po prostu bardzo chcą dać upust swoim emocjom wobec Kaczyńskiego, czy to pokazując mu, jak bardzo go nienawidzą, czy też jak bardzo są gotowi go bronić. Jednak co kieruje tymi, którzy ich do tego zwołują?

NARÓD NIEWSTRZĄŚNIĘTY, ALE ZMIESZANY

W istocie ich sposób myślenia nie jest trudny do zrekonstruowania. I to jest właśnie w całej sprawie najsmutniejsze – smutniejsze nawet od zdziczenia, które pociąga za sobą wyznaczenie głównego frontu wojny polsko-polskiej na Krakowskim Przedmieściu. Kiedy wsłuchamy się w wypowiedzi prowodyrów i przeanalizujemy ich pobudki, okazuje się bowiem, że oba, ujmując to metaforycznie, dowództwa tej wojny żyją w zupełnym oderwaniu od rzeczywistości, biorąc za nią swoje urojenia i chciejstwa.

eprasa.pl 1390f19820

MIESIĘCZNICE SMOLEŃSKIE

fantomów

Trudno znaleźć racjonalne wyjaśnienie tego comiesięcznego starcia, które wizerunkowo szkodzi obu stronom sporu FOT. MARIUSZ GACZYŃSKI/EAST NEWS

Władysław Frasyniuk – w cytowanym już na naszych łamach wywiadzie – okazał zdumienie, że jego zaangażowanie nie wstrząsnęło narodem i nie spowodowało przełomu. Niezrażony jednak nadal wierzy, że kiedy obok niego pojawi się Wałęsa, to wstrząśnie, co zresztą potwierdza i ten drugi, ogłaszając, że jego pojawienie się będzie „strzałem z »Aurory« (aczkolwiek i asekurując się, że jeszcze na ten strzał za wcześnie). Zostawmy na boku megalomanię obu panów – narracja o „wstrząsie" jest po stronie totalnej opozycji powszechna. Podobnie jak przez całe lata 90. skłócona i rozdrobniona centroprawica czekała na „drugi Sierpień", dziś – będący w niewiele lepszej kondycji – obóz pomagdalenkowy głęboko wierzy, że wszystko, co się dzieje, jest chwilowe, że milcząca większość społeczeństwa, kiedy się nią „wstrząśnie", ocknie się i dostrzeże, iż PiS jej „odbiera wolność".

To przekonanie każe opozycji starannie omijać sprawy ważne dla wyborców i skupiać się na kreowaniu mitologii wojny dobra i zła. Obalenie PiS jako „zagrożenia wolności" przedstawiane jest jako imperatyw moralny. Z jednej strony każe to wypierać się z oburzeniem oczywistych patologii minionego ćwierćwiecza i dwóch kadencji rządów PO-PSL, co uniemożliwia racjonalną analizę przyczyn doznanej oraz nadal doznawanej klęski. Z drugiej strony uniemożliwia opozycji formułowanie programów, propozycji i wizji alternatywnych rządów. Liczy się tylko „odzyskanie wolności", na wszystko inne przyjdzie czas potem. A do „odzyskania wolności" niezbędny jest „wstrząs". Zmuszenie PiS, by kogoś – najlepiej „bohatera Solidarności" – poturbował, wspólne wystąpienie autorytetów, najlepiej zagranicznych czy coś takiego.

Dlaczego „totalna opozycja" nie widzi, że uderza w klawisze zupełnie głuche i startuje do Polaków z przekazem, który im, mówiąc dosadnie, wisi? Nie widzi, bo zamiast na Polaków patrzy na PiS z czasów, gdy był on w równie trudnej sytuacji jak dziś ona. Co najśmieszniejsze – patrzy oczyma samego PiS i interpretuje jego dojście do władzy, tak jak robi to „smoleński hardkor". A ten po tragedii uwierzył, że ofiara krwi „poległych w Smoleńsku" przyniesie Polsce „przebudzenie". Taki tytuł miał apologetyczny film Joanny Lichockiej, wyprodukowany przez „Gazetę Polską", o ludziach przychodzących 10. dnia każdego miesiąca pod Pałac Prezydencki, by upamiętniać ofiary i żądać prawdy.

Kiedy dziś rozmawia się z wyznawcami teorii o „przebudzeniu", z pełnym przekonaniem mówią oni, że wszystko się spełniło. Polacy się przebudzili, odrodzili, stali patriotami. Można z tego wyprowadzić wniosek, że w takim razie jakość rządzenia PiS nie ma znaczenia, skoro już Polska się przebudziła, to przecież ponownie w letarg ćwierćwiecza III RP nie popadnie. Pozostaje jedynie „dorżnąć watahę" – tak, to sformułowanie z innej strony barykady i poprzedniej epoki, ale pasuje jak ulał.

FUKSY W DRODZE DO WŁADZY

To odlot nie mniejszy niż wiara w moc wałęsowskiego „wystrzału z »Aurory«". PiS nie zawdzięcza władzy „przebudzeniu". Przeciwnie – zawdzięcza ją temu, że na czas wyborów rozsądnie „przebudzaczy" ukrył, kreując nowych liderów, w innym stylu – Andrzeja Dudę i Beatę Szydło. A i to by nie wystarczyło, gdyby nie trzy niewiarygodne fuksy: wymuszenie przez Palikota na SLD formuły koalicji, która podniosła lewicy próg wyborczy, pojawienie się partii Razem, która urwała jej 3 proc. i tego progu przekroczenie uniemożliwiła, i pech Korwin-Mikkego, któremu do progu i udziału w podziale mandatów zabrakło zaledwie 20 tys. głosów. Przekonanie, że Pan Bóg w kolejnych wyborach ten cud powtórzy, jest doprawdy nadużywaniem Jego łaski.

Uwaga polityków skupia się na zarządzaniu rozhuśtanymi emocjami tej części Polaków, która okazała się podatna na budowane przez nich narracje. Tymczasem większość – ta, która zadecyduje przy urnach – myśli praktycznie, i zawsze tak myślała. Nie zamierza się patriotycznie przebudzać ani reagować na żadne moralne wstrząsy, które próbuje jej aplikować antypis. Dopóki PiS spełnia jej potrzeby, dopóty pozwoli mu rządzić, choćby na zasadzie mniejszego zła, jak pozwalała poprzednikom. Jeśli jednak przestanie, to cała budowana pracowicie przez PiS patriotyczna nadbudowa tej władzy nie uratuje. Jak wieszczył już Mickiewicz – „Gęby za lud krzyczące" w końcu lud znudzą, a wtedy, choćby nie wiem jak się to moralnie wzmożonym elitom nie podobało, „wezmą dziedzictwo cisi, ciemni, mali ludzie".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1390f19820

MIESIĘCZNICE SMOLEŃSKIE

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

Nieudany casting

Piotr Semka

Opozycja nie stworzyła nowego lidera. Jednak PiS też musi się zastanowić nad tym, do czego mają doprowadzić obchody smoleńskich miesięcznic

Dobrze się stało, że podczas ostatnich obchodów miesięcznicy smoleńskiej nie doszło do awantury. Każda tego typu konfrontacja może mieć nieprzewidywalne skutki. Jednak to, że nie doszło do powtórki z awantury 10 czerwca, kiedy policja zmuszona była wynosić Władysława Frasyniuka, nie było niestety efektem przemyślanej decyzji. To raczej wynik zbiegu okoliczności. Wyciągnijmy z przebiegu wydarzeń parę konkluzji.

WNIOSEK PIERWSZY

Policja działa coraz bardziej profesjonalnie i potrafi przewidywać zagrożenia. Pomysł z ustawieniem barierek od katedry do Pałacu Prezydenckiego znacząco utrudnił zablokowanie trasy pochodu. Oczywiście dało to opozycji okazje do tyrad o „władzy oddzielającej się płotami od społeczeństwa", ale była to retoryka dość słaba. Barierki ustawiono, bo to Obywatele RP zapowiadali działania ofensywne. Sam Frasyniuk w klipie zachęcającym do udziału w kontrmiesięcznicy wzywał: „Odzyskajmy przestrzeń publiczną". Tak samo lider Obywateli RP Paweł Kasprzak deklarował wcześniej: „Zrobimy wszystko, aby zablokować przemarsz uczestników miesięcznicy". To wszystko sprowadziło się do dotarcia do barierek, za którym stali funkcjonariusze.

Policja nie była agresywna ani wyzywająca, unikała starć z kontrmanifestantami. Nauczono się działać tylko wtedy, gdy jest to niezbędne. Dlatego zamiast reagować na drugą grupę Obywateli RP, która od strony skweru ks. Twardowskiego próbuje zagłuszać przemówienia Jarosława Kaczyńskiego, tym razem teren przed pałacem odgrodzono i zasłonięto od tej strony ul. Karowej płachtami. W rezultacie zebrany tłum grzmiał megafonami i huczał wuwuzelami w próżnię.

Jak zwykle w ośmieszeniu akcji Obywateli RP pomagali zbyt gorliwi jej zwolennicy. Dorota Zawadzka, słynna „Superniania", tweetowała z dramatycznym patosem: „Patrzę na te barierki i zastanawiam się, czy niedługo nie trzeba będzie się kanałami ze Starówki do Śródmieścia przebijać". Wizja zwolenników Pawła Kasprzaka jako powstańców warszawskich pokazuje skalę oderwania od rzeczywistości zwolenników „białych róż".

WNIOSEK DRUGI

Lech Wałęsa, opuszczając swoje antysmoleńskie wojsko, pokazał (który to już raz?), że jest patronem nieprzewidywalnym. Nie sposób oczywiście orzec, czy były prezydent miał istotnie problemy sercowe, czy był to tylko wybieg. Faktem jest, że selfie Wałęsy ze szpitala nie robią zbyt dramatycznego wrażenia. A jego absencja rozwaliła całą planowaną pieczołowicie dramaturgię wydarzeń. Dramaturgię, którą – dodajmy – skwapliwie potęgowały „Gazeta Wyborcza" i „Newsweek", zapowiadające starcie Wałęsa kontra Kaczyński.

eprasa.pl 1390f19820

Wałęsolodzy twierdzą, że „Lechu" uchyla się od starcia, gdy nie jest przekonany o 100-procentowym powodzeniu. Jeśli słynny elektryk nie ufał w talenty liderów blokady, to chyba miał rację.

WNIOSEK TRZECI

Organizatorzy protestu nie potrafili działać w zmieniającej się sytuacji. Gdy głównego aktora – Wałęsy – zabrakło, cały spektakl zaczął rozłazić się w szwach.

Frasyniuk i lider Obywateli RP Paweł Kasprzak zdawali się być zaskoczeni ciągiem barierek, które wyrosły im na drodze do miejsca ewentualnej blokady. A wysoka średnia wieku uczestników protestu raczej nie ułatwiała decyzji o przeskakiwaniu barierek.

W rezultacie doszło do mało poważnego efektu „przyszli i poszli". Zorganizowano naprędce coś w rodzaju wiecu pod kolumną Zygmunta, po czym jego uczestnicy wycofali się na pl. Piłsudskiego. Skandowanie z emfazą: „Zostawiamy PiS z policją" było śmieszne, gdy wcześniej gromko zapowiadało się „odzyskiwanie przestrzeni publicznej". Jeszcze zabawniejsze było skandowanie przez tłum nazwiska Lecha Wałęsy, choć ten zostawił swoje polityczne wojsko samemu sobie.

WNIOSEK CZWARTY

Nie sposób ofiarowywać komuś przywództwa na tacy, bo to się po prostu nie sprawdza. Pchanie na siłę 62-letniego Władysława Frasyniuka na tron nowego wodza opozycji było od początku sztucznym procesem. Antypisowskie media, wzmacniając takie spekulacje, uciekały od problemu z wizerunkową mizerią Grzegorza Schetyny i Ryszarda Petru. Swoje powody do kreowania Frasyniuka na lidera miał też Paweł Kasprzak – szef Obywateli RP, który sam jest za mało rozpoznawalny, więc potrzebował do swych agresywnych akcji kogoś o znanym nazwisku, takiego jak Frasyniuk czy Wałęsa. Swoje rachuby w lansowaniu „Władka" na nowego lidera miał też Michał Kamiński z Unii Europejskich Demokratów. Schetyna usunął Kamińskiego z Platformy, więc ten był zainteresowany nowym rozdaniem w obozie antypisu. Inna rzecz, że jego idea, by Frasyniuka namaściło na nowego wodza kolegium byłych prezydentów III RP (Wałęsa, Kwaśniewski, Komorowski), był od początku fantastyczny.

Wszystkie te rachuby nie brały pod uwagę, że Frasyniuk od ćwierćwiecza nie zaznaczył się w polskiej polityce niczym szczególnym.

Owszem, były bohater podziemia Solidarności bywa mistrzem wywiadów, w których sypie soczystym słownictwem i pozuje na politycznego „twardziela", ale to wszystko. Od 1989 r., gdy powstał ROAD, a potem Unia Demokratyczna, jest ciągnięty na kolejnych politycznych wehikułach jako cenny symbol, ale sam nie uczy się politycznej samodzielności.

Nic więc dziwnego, że 10 lipca egzaminu z bycia liderem nie zdał zbyt dobrze. Gdy skończył się wiec pod kolumną Zygmunta, przez krótką chwilę widać było, że nie ma komu zadecydować, co robić dalej. W końcu Paweł Kasprzak ogłosił rozwiązanie wiecu i przemarsz pod Grób Nieznanego Żołnierza. Groteskę sytuacji podkreślał jeszcze napis: „Władysław Polskę zbaw!", które trzymał jeden z demonstrantów.

Doskonale wychwycił to lider Platformy Grzegorz Schetyna, który po kiksie manifestacji 10 lipca nie omieszkał w zjadliwy sposób skomentować, że nie można być liderem opozycji raz na miesiąc. Lider Platformy nazwał pomysł wykreowania Frasyniuka na nowego lidera opozycji „politycznym komiksem na wakacje".

WNIOSEK PIĄTY

Uderzający był kontrast między próbami wskrzeszania przez Frasyniuka skojarzeń z „zadymami" z lat stanu wojennego a politycznymi realiami marszu 10 lipca. Jeden z liderów PO Rafał Trzaskowski parę dni przed kontrmiesięcznicą opublikował swoje młodzieńcze zdjęcie z solidarnościowym transparentem z 1 maja 1988 r. i opatrzył je dramatycznym komentarzem, że wtedy „też uprzywilejowana była inna demonstracja i też nas rozganiali".

Całe to zadęcie diabli wzięli, gdy wśród przemawiających pod kolumną Zygmunta objawił się Włodzimierz Cimoszewicz, członek PZPR do momentu jej rozwiązania i gorący zwolennik Wojciecha Jaruzelskiego. Chwilę potem piewca stanu wojennego – płk Adam Mazguła – skandował hasło: „Solidarność".

Obóz totalnej opozycji krąży po swej politycznej przestrzeni jak po zaczarowanym lesie. W którąkolwiek stronę by się zwrócił, zawsze wraca na polanę o nazwie Okrągły Stół. Tymczasem nie można jednocześnie udawać weteranów demonstracji z epoki Jaruzelskiego i bratać się z tymi, którzy służyli Jaruzelskiemu do końca.

WNIOSEK SZÓSTY

Lider PiS musi się zastanowić, jaki jest horyzont czasowy marszów z okazji miesięcznic.

Ostatni marsz był już 87. z kolei. Chociaż 10 lipca Jarosław Kaczyński tradycyjnie już powtarzał, że prawda jest coraz bliżej, to zarzuty opozycji, że retoryka tak dziwi, w sytuacji gdy PiS jest u władzy przez prawie dwa lata, jest celna. Nic nie wskazuje na to, by wrak tupolewa w najbliższym czasie wrócił do Polski, i równie niewiele wskazuje, by podkomisja smoleńska, powołana do zbadania przyczyn katastrofy, była w stanie w przewidywalnej przyszłości zamknąć swoje prace jakimś rozstrzygającym raportem. PiS musi się oswoić z możliwością, że być może jeszcze przez długi czas nie będzie można rozstrzygnąć przyczyn katastrofy. Dla zwolenników PiS przekonywanych, że wyjaśnienie jest w zasięgu ręki, może być to kłopotliwa sytuacja.

Być może najbardziej istotnym elementem przemówienia Jarosława Kaczyńskiego było wskazanie na moment wybudowania pomników Ofiar Smoleńska i Lecha Kaczyńskiego jako czasu wypełnienia sensu comiesięcznych marszy. Jednak tu musi się pojawić pytanie: Dlaczego praca nad budową pomników trwa tak długo? I dlaczego Sejm, który z racji PiS-owskiej większości nie ma problemów z przeforsowaniem wielu ustaw, nie może przegłosować aktu prawnego nakazującego budowę obu pomników, co unieważniłoby weta stawiane przez stołecznych urzędników Hanny Gronkiewicz-Waltz?

Co bardziej przenikliwi publicyści obozu opozycji, jak np. Łukasz Pawłowski z „Kultury Liberalnej", trafnie wskazywali po 10 lipca, że opozycja – próbując blokować miesięcznice – nadała im znów sporo wigoru. A lepszym polem rywalizacji z PiS jest wypominanie rządzącej partii prób podwyższania cen paliwa niż udawanie grupy rekonstrukcyjnej zadymiarzy ze stanu wojennego.

Jedno jest pewne. Jeśli blokady marszów smoleńskich miały być castingiem na wyłonienie nowego lidera antypisu, to ten konkurs wciąż jest nierozstrzygnięty. A Lech Wałęsa na otarcie łez opozycji obiecuje, że pojawi się na nowej demonstracji za miesiąc, tyle że zaleca mniej konfrontacyjne formy demonstracji. Dobre i to.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1390f19820

Z Krzysztofem Szczerskim, sekretarzem stanu w Kancelarii Prezydenta RP
rozmawia Marcin Makowski

Sojusze najlepiej budować na kontraktach

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

MARCIN MAKOWSKI: Emocje po wizycie Donalda Trumpa i szczycie Trójmorza w Warszawie już opadły. Miał pan czas na spokojne przeanalizowanie treści przemówienia na pl. Krasińskich? Czy faktycznie było „programowe" i „historyczne"? A może po prostu daliśmy się oczarować miłymi słowami?

KRZYSZTOF SZCZERSKI: Przemówienie na pl. Krasińskich nie składało się z miłych słów, tylko z hołdu złożonego polskiej historii oraz wielu ważnych deklaracji politycznych. Sam fakt, że wciąż jest ono przedmiotem dyskusji polityków i komentatorów, świadczy o tym, że zawierało ważne treści i miało istotne znaczenie polityczne. Nie wszyscy są oczywiście z niego zadowoleni. Zwłaszcza w Stanach wiele jest słów krytyki, ale dla nas było ono bezdyskusyjnie wartościowe. Po pierwsze dlatego, że polska historia i wartości, jakie ze sobą niesie, nie były w nim dekoracją ani ornamentem, ale ważnym punktem odniesienia dla treści politycznych. To oznacza, że prezydent USA nadał naszej tożsamości znaczenie uniwersalne, pozycjonując ją jako przykład dla innych narodów. Po drugie dlatego, że wyraźnie wyartykułowane gwarancje dla naszego bezpieczeństwa, ocena stanu relacji z Rosją oraz inne elementy stanowiska politycznego wygłoszone przez Donalda Trumpa są zbieżne z naszą racją stanu. Także wizja cywilizacji Zachodu oparta na wolności, religii i tradycji jest nam bliska.

Niektórzy komentatorzy twierdzą jednak, że Trump zachował się jak rasowy biznesmen. Powiedział gospodarzowi to, co ten chce usłyszeć, a jedyne konkrety dotyczyły sytuacji, w której mógł coś sprzedać. Może mają trochę racji?

To właśnie dobrze! Dobrze, że zasiadamy dziś do stołu rozmów z największą potęgą polityczno-gospodarczą świata i mamy z nią do uzgodnienia konkretne interesy. Przecież sojusze najlepiej budować na kontraktach, a nie na uśmiechach. I Polska ma dziś zdolności do tego, by z USA rozmawiać o interesach, których korzyści widzą obie strony. Jak mówił przed wizytą prezydent Duda – opartych na zasadzie „win-win". Transfer technologii i wzrost bezpieczeństwa militarnego z jednej strony i obniżenie poziomu zależności od dostaw gazu z Rosji z drugiej, to zyski polskiej strony z kontraktów, o których była mowa. To mało? Mam nadzieję, że ich dalsze negocjacje przebiegną pomyślnie.

Co było pana zdaniem kluczowe w wizycie Donalda Trumpa? Co po niej zostanie? Lekcja polskiej historii, negocjacje w sprawie dostaw LNG, potwierdzenie gwarancji bezpieczeństwa?

Pozostanie silne przekonanie – i to zarówno pośród krajów naszego regionu, jak i innych partnerów na świecie – że dzisiejsza Polska jest państwem, które porusza się w świecie dyplomacji pewnie i z sukcesem. Po kolei realizujemy cele, które sformułowali prezydent i rząd: korzystne decyzje szczytu NATO w Warszawie, członkostwo w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, mocny sojusz z USA, budowa silnego regionu Europy Środkowej. To wszystko się dzieje dzięki naszemu wysiłkowi. Przecież jeszcze rok temu mało kto wiedział o inicjatywie Trójmorza, do niedawna wielu ją torpedowało, a wręcz wyszydzało. Dzisiaj jest na ustach wszystkich dyplomatów, a najgłośniej mówią o niej ci, którzy ją wcześniej zwalczali (śmiech). Skuteczność Polski w realizacji własnej strategii – oto co pozostanie po tej wizycie na trwałe.

Donald Trump nazwał Andrzeja Dudę „twardym negocjatorem", ale zapowiedział, że jest w stanie „w 15 minut" podpisać kontrakt na dostawy gazu. Z polskiej strony nie było aż takiego entuzjazmu. Dlaczego?

Negocjujemy twardo, bo zależy nam na dywersyfikacji nie za wszelką cenę, tylko za dobrą cenę. Byłem w Waszyngtonie, gdy zawarto pierwszy kontrakt na testową dostawę gazu. To była ogromna satysfakcja. Teraz jednak przy stole siedzą już zawodowcy w tym biznesie i wierzę, że wypracują takie warunki, które będą dla obu stron korzystne.

Wiadomo już coś na temat warunków i cen nowego kontraktu?

Na tym etapie negocjacji nie mogę podawać żadnych informacji.

Skoro za wcześnie na szczegóły, zapytam o perspektywę strategiczną. Czy Polska faktycznie może zostać redystrybutorem amerykańskiego LNG? Co taka ewentualność zmieniłaby w bezpieczeństwie regionu?

Naszym celem nie jest wyeliminowanie kogokolwiek z rynku gazu w tej części Europy. Naszym celem jest zakończenie okresu, w którym kontrakty na dostawy były negocjowane pod presją, kiedy to faktyczny monopolista dyktował warunki swoim klientom. Dobrze pamiętam słynne i złowrogie zdanie ministra Marka Pola sprzed wielu lat o tym, że Polska jest w kwestii gazu „naturalnie bezbronna". Otóż już nie jest i to dzięki wysiłkom podejmowanym w ostatnim okresie. Obecnie, wraz z każdym kolejnym kontraktem i inwestycjami w gazociągi, a potem w interkonektory, możemy mówić o wzroście potencjału Polski jako centrum dystrybucji gazu dla całego regionu. Gazu płynącego do nas z różnych źródeł.

Na ile idea Trójmorza stanowi myślenie życzeniowe rządu, a na ile realną inicjatywę dyplomatyczną? Nie wszyscy zaproszeni przywódcy przyjechali do Warszawy, nie było np. prezydenta Austrii.

Nieobecni przysłali do prezydenta Dudy osobiste listy z poparciem dla tej inicjatywy i z wyjaśnieniem przyczyn absencji. Grupa 12 państw Trójmorza pozostaje spójna. Zresztą z prezydentem Austrii prezydent Duda rozmawiał o tej inicjatywie osobiście podczas spotkania w Strasburgu, związanego z udziałem w uroczystościach żałobnych po śmierci byłego kanclerza Niemiec Helmuta Kohla.

Czy po 6 lipca zapadły już decyzje o następnych spotkaniach?

Z inicjatywą organizacji kolejnego szczytu Trójmorza wystąpił prezydent Rumunii i zostało to zaakceptowane. Kolejne spotkanie zatem już za rok.

W niektórych zagranicznych mediach Trójmorze przedstawia się jako kontrę do Niemiec i Francji oraz odpowiedź na Unię dwóch prędkości. Taki scenariusz byłby na rękę eurosceptycznej administracji Białego Domu, ale czy jest prawdziwy?

Scenariusz, o którym pan mówi, jest całkowicie nieprawdziwy. Nie takie są założenia Trójmorza. To inicjatywa na rzecz silniejszej i bardziej zjednoczonej Europy. Ponieważ spójna i rozwinięta Europa Środkowa to zarazem lepsza i bardziej spójna Unia Europejska. Jesteśmy grupą państw, które przydają Europie stabilności, dynamicznego rozwoju gospodarczego i poparcia społecznego. Wszystkie te cechy to cechy naszego regionu. Co jeszcze możemy zrobić dla Europy?

Niektórzy mówią o solidarności w kontekście imigrantów, ale to temat na osobną rozmowę. Pozostając przy wizycie prezydenta USA – o czym rozmawiały delegacje w Zamku Królewskim za zamkniętymi drzwiami? Wspomniano o wizach?

Zamknięte drzwi mają gwarantować poufność rozmów i ja jej nie złamię. Powiem krótko – kwestie polonijne

eprasa.pl 1390f19820

były tematem rozmowy. Mogę zdradzić, że minister Waszczykowski przekazał nam, że kwestie wiz poruszył w swojej rozmowie z Jaredem Kushnerem – ważną osobą z najbliższego otoczenia prezydenta Trumpa.

Jak wyglądała atmosfera całej wizyty, gdy nie obserwowały jej kamery. Czy Donald Trump zdobył się na jakieś znaczące gesty, czy wypowiedział jakieś słowa, które wyszły poza tradycyjną kurtuazję?

Z całą pewnością takie właśnie było przemówienie Donalda Trumpa – wychodzące poza, jak pan to ujął, tradycyjną kurtuazję. Liczne gesty i ton rozmów z prezydentem Dudą pokazywały, że możemy mówić o partnerskich relacjach między przywódcami obu państw. Natomiast ja osobiście zapamiętam z tej wizyty przede wszystkim jedno wrażenie – olbrzymią liczbę pytań, jakie zadawał nam prezydent Trump. Mówię „nam", bo witałem prezydenta Trumpa po przyjeździe na Zamek Królewski i towarzyszyłem mu w drodze na spotkanie z naszym prezydentem. Była to długa droga od Arkad Kubickiego na pierwsze piętro Zamku Królewskiego. Byłem przygotowany na zwyczajowe w takich przypadkach rozmowy sytuacyjne. Tymczasem prezydent Trump, ku memu zaskoczeniu, zaczął zadawać mnóstwo pytań o politykę. Potem zrozumiałem, że taki ma styl pracy – chce znać opinię różnych ludzi, z różnych pozycji.

Podczas przemówienia na pl. Krasińskich prezydent USA podkreślał wagę i znaczenie powstania warszawskiego. Czy to prawda, że jako doradca historyczny swój wkład w tę narrację miał prof. Marek Chodakiewicz?

Nie mam upoważnienia do opowiadania o warsztacie i kulisach pracy Białego Domu. Dla mnie istotna jest w tym przypadku inna kwestia. Mianowicie to, że dzięki naszej inicjatywie prezydent USA nie tylko mówił o powstaniu, lecz także formalnie oddał hołd jego uczestnikom poprzez złożenie wieńca. Nie był to więc zabieg retoryczny, ale prawdziwe oddanie honoru bohaterom.

Krzysztof Szczerski i szef MSZ Witold Waszczykowski podczas powitania Donalda Trumpa na lotnisku w Warszawie FOT. EVAN VUCCI/AP/EAST NEWS

Trump mówił również wiele o konieczności obrony cywilizacji Zachodu przed „zewnętrznymi wrogami". W tym kontekście wspomniał o ekstremizmie islamskim. Czy mógł mieć na myśli coś jeszcze?

Mówił przede wszystkim o potrzebie konsolidacji Zachodu jako cywilizacji. Wywołało to szok w Stanach, bo to słowo było przez lata wykluczone przez polityczną poprawność, jako noszące znamiona przemocy kulturowej. Naprawdę. Dla nas było ono zrozumiałe i niewinne, tam zaś wywołało oburzenie i protesty. To odpowiedź na pana pytanie o tych, którzy podważają model cywilizacji zachodniej w sposób inny, niż robią to ekstremiści.

Na pewno obserwował pan obrazki z płonących ulic Hamburga. Czy radykalizm lewicowy to zagrożenie, które może się pojawić również Polsce?

Oczywiście. Przecież te bojówki były już do nas przysyłane w celu robienia rozrób podczas pierwszych Marszów Niepodległości. Obawiam się, że to może się powtórzyć. A i u nas podczas blokad 10 dnia miesiąca w Warszawie i 18 w Krakowie pod Wawelem widzę podobne twarze, zacięte w nienawiści i agresji. Bojówki antycywilizacji mają różne hasła, ale to samo przesłanie – walkę z wartościami tradycyjnego społeczeństwa, jakimi są choćby szacunek dla zmarłych i pamięć o nich.

W jaki sposób szczyt G20 „ustawił" polską wizytę Trumpa? Czy coś zmienił w spojrzeniu na nią? W Warszawie było ostro o Rosji, w Hamburgu uściski dłoni z Putinem i poklepywanie po plecach.

Nikt chyba nie myślał, że po wizycie w Warszawie prezydent Trump odmówi spotkania z prezydentem Rosji. Ważne jest, że przed tą rozmową poznał nasze poglądy i oczekiwania. Być może dlatego właśnie podczas spotkania z Putinem nie było mowy o zmianie polityki sankcji wobec Rosji?

Czy nieoficjalne zapowiedzi wizyty prezydenta Dudy w Białym Domu w przyszłym roku przełożyły się już na oficjalne zaproszenie?

Jest osobiste zaproszenie od prezydenta Trumpa. Teraz do naszej dyplomacji należy zadanie organizacji tej wizyty. Może ona nastąpić albo na początku przyszłego roku, albo też w połączeniu z wizytą, jaką prezydent zamierza złożyć Polonii w związku z rocznicą stulecia odzyskania niepodległości.

Prezydent USA u boku Andrzeja Dudy zapowiedział na Twitterze walkę z fake newsami. Co może z tego wyniknąć w praktyce, szczególnie w kontekście polskich mediów?

Skoro nie boją się nas, może przestraszą się prezydenta Trumpa i przestaną manipulować? (śmiech) Miło by było, gdyby zrobiły to choćby te media, które należą do amerykańskich właścicieli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1390f19820

TYGODNIK POLSKIEGO DO RZECZY

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY” + KSIĄŻKA PIOTRA GOĆKA „KRETA SUBIEKTYWNIE”

Kreta subiektywnie – czyli wesołe zapiski dyletanta. Przewrotna opowieść o wyspie, na której im więcej zobaczysz, tym więcej pozostaje do odkrycia.

- Co można robić nad zatoką, przy której tańczył Grek Zorba?
- Dlaczego król Grecji musiał nocować w wąwozie Samaria?
- Czego absolutnie nie należy mówić Kreteńczykom?
- Czy Knossos to archeologiczny Disneyland?
- Jak trafić na urodziny Giorgiosa i pozostać trzeźwym?
- Co polscy żołnierze w służbie rosyjskiego cara robili na Krecie?
- Które miasto wyspy było dumą Rzymu i dlaczego nic o tym nie wiecie?
- Dlaczego autor spacerował po Rethymnonie w górze od pidżamy, żółtych szortach i z fuksjową parasolką?

138 zł

oszczędność 81 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 1390f19820

Co dalej z Trójmorzem

Marek Jan Chodakiewicz

Prezydent USA zadeklarował pomoc w budowaniu potęgi Polski w ramach NATO i Trójmorza. Czy polskie elity są przygotowane do wykorzystania tej szansy?

Polska powinna rozpocząć serię niezależnych projektów, które złożą się w całość w ramach projektu Trójmorza. Kluczowy jest projekt energetyczny. Czy jest w ogóle realny?

Stany Zjednoczone mają największe na świecie złoża surowców energetycznych. Kongres właśnie zmienił prawo, odrzucając stare regulacje zabraniające importu i sprzedaży amerykańskich surowców oraz produktów energetycznych poza granicami kraju. Regulacje te wywodziły się z kryzysu energetycznego lat 70. ubiegłego stulecia. Teraz sytuacja jest inna. Zmieniły się technologie wydobycia, co spowodowało wzrost dostępności surowca oraz spadek kosztów. Zmienił się rynek. Przede wszystkim złamano monopol OPEC. I nauczono się, jak używać energii jako broni strategicznej. Celuje w tym szczególnie Ameryka, a cierpią te kraje, w których surowce energetyczne są głównym albo wręcz jedynym bogactwem eksportowym, czyli m.in. Rosja.

ZMIANA NA RYNKU

Stany mogą więc spróbować zastąpić Rosję jako głównego dostawcę surowców i produktów energetycznych dla Europy. Zyski dla USA i ich sojuszników są wielowymiarowe: geopolityczne i gospodarcze. Co mogą zrobić Polacy, aby wykorzystać tę sytuację?

Powinni dążyć do stworzenia polskiej infrastruktury energetycznej oraz dostosowania jej do przyjęcia importowanych amerykańskich produktów energetycznych: ropy i gazu, a w tym także gazu łupkowego. Po pierwsze, w takiej sytuacji Polska stałaby się głównym graczem rozprowadzającym produkty energetyczne na całą Europę, w tym naturalnie na kraje Unii Europejskiej. Po drugie, dzięki tej możliwości Polska musiałaby się zreformować. Trzeba by usprawnić infrastrukturę, wzmacniając ją szczególnie na osi Północ-Południe. Przede wszystkim jednak najpierw trzeba przygotować narzędzia obsługujące takie kolosalne transakcje, czyli w pierwszym rzędzie młode, kompetentne kadry, a także oczywiście własne banki inwestycyjne, aby nie tracić kontroli nad projektami.

Działaniami dyplomatycznymi, rządowymi i prywatnymi doprowadzić należy do tego, aby USA – w ramach wieloletniego kontraktu – zgodziły się zdominować europejski rynek energii ze wszystkimi tego implikacjami. Korzyści z tego byłyby jasne. Po pierwsze, Polska i region osiągnęłyby bezpieczeństwo energetyczne (uniezależnienie od Rosji oraz innych eksporterów produktów energetycznych: od Wenezueli do Arabii Saudyjskiej). Po drugie, geopolitycznie, oznaczałoby to usunięcie wymówki do bliskiej współpracy między Berlinem a Moskwą. Po trzecie, zaowocowałoby to masywną inwestycją amerykańską w Polsce. To z kolei oznaczałoby, że – po czwarte – lobby energetyczne w USA stawałoby w obronie swych interesów, czyli popierałoby politykę RP i regionu zapewniającą zbyt amerykańskich produktów, bezpieczeństwo inwestycji i profity. Są to naturalnie naczynia połączone: w Waszyngtonie musi zacząć działać polskie lobby z majstersztykiem komunikacji strategicznej, aby forsować

eprasa.pl 1390f19820

FOT. LUKE SHARRETT/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

kwestie energii, stale naświetlając w tle projekt Trójmorza.

Czy wspieranie i finansowanie takiego projektu zmiany energetycznego paradygmatu jest w interesie rządu USA? Na pewno tak. Energia jest motorem rozwoju. Mając gwarantowane źródła energii i pozycję rozdzielającego te dobra w Europie, Polska znacznie przyspieszy swój marsz na drodze do prosperity. A zamożny kraj może sobie pozwolić na coraz to prężniejszą politykę obronną – od działań propagandowych za granicą aż do ambitnego programu zbrojeń. Chodzi więc o uzyskanie pozytywnej decyzji politycznej z Białego Domu, która umożliwiłaby zrealizowanie tych zamierzeń.

Jest jeszcze jeden argument dla Amerykanów – silna Polska to stabilny region, czyli Trójmorze. Wykreowanie takiej sytuacji oznaczałoby, że Stany Zjednoczone nie będą musiały martwić się RP. Będą mogły skupić się na problemach gdzie indziej, np. na Bliskim Wschodzie, na Morzu Południowochińskim czy Półwyspie Koreańskim. Ponadto umieszczenie amerykańskiego sworznia bezpieczeństwa energetycznego w centrum dystrybucyjnym w Polsce oznacza osłabienie Rosji, która traci rynki zbytu, oraz osłabienie Niemiec, które będą musiały płacić Amerykanom, a nie Rosjanom, za energię, a Polakom za pośrednictwo. Stępi to ostrze dominacji Berlina. Zjawisko niemieckiej hegemonii przeraża Warszawę, a także jest obiektem trosk Waszyngtonu. Dwie wojny światowe przeciw niemieckiej hegemonii globalnej wystarczą ludzkości. I zawsze punktem zapalnym było Międzymorze, które beznadziejnie opierało się pruskiej bucie i żarłoczności. Teraz jednak – na podstawie pomysłu energetycznego i strategicznego sojuszu z USA – projekt Międzymorza nie jest skazany na sromotną klęskę.

Czy Ameryka ma środki na ten projekt? Jasne, że tak. W ciągu ostatnich 15 lat Stany Zjednoczone wydały 2,4 tryliona dolarów na wojnę w Iraku i Afganistanie (plan Marshalla służący odbudowie Europy Zachodniej po II wojnie światowej kosztował podatnika amerykańskiego „tylko" 13,5 mld dol., w przeliczeniu na dzisiejsze kwoty – to ok. 100 mld dol.). USA mają pieniądze. Trzeba tylko przekonać Amerykanów, aby ulokowali je w Polsce i Trójmorzu. Trump dał sygnał, że jest otwarty na robienie interesów. A on lubi gospodarczo działać na wielką skalę. Zacznijmy więc od energii.

JEŚLI NIE USA, TO CO?

Stawianie na Amerykę jest ryzykiem kalkulowanym. Amerykańskie wpływy niepomiernie wzrosną nad Wisłą. Można mieć różne obawy w związku z tym. Na przykład zagrożenie fanaberiami rewolucji kontrkulturowej, marksizmem-lesbianizmem, bezsprzecznie może przywlec się nad Wisłę wraz z amerykańskimi korporacjami, które są sterroryzowane przez te środowiska. Jednak firmy amerykańskie nie działają na tym gruncie z żadnym misyjnym zapałem. Po prostu dostosowują się zwykle do kultury kraju-gospodarza. W Singapurze czy Arabii Saudyjskiej żadna korporacja nie pozwala sobie na sponsorowanie marksizmu-lesbianizmu. W Chinach firmy amerykańskie raczej wcale nie zwracają uwagi na prawa człowieka – prawdziwe czy wyimaginowane. Wszędzie naturalnie korporacje będą starały się sponsorować swoich kompradorów – tubylczych kolaborantów, którzy pomogą im wyzyskiwać miejscowych ludzi i manipulować sytuację polityczną gospodarzy. I z tym trzeba ostro walczyć od samego początku. Stąd dyktować należy twarde warunki i emanować dumą narodową, a nie ślinić się do służby jak psy.

Jednak amerykańskie korporacje są lepsze od firm chińskich. Te ostatnie wymuszają transfery technologii. Nie przestrzegają zasad wolnego rynku u siebie, ale domagają się głośno tego, operując za granicą. Ponadto Chińczycy dyktują firmom amerykańskim inwestującym i produkującym w Chinach, aby te stały się lobbystami na rzecz Pekinu. Jak działają firmy niemieckie, nie trzeba Polaków uczyć, szczególnie po aferze dyktatu prasowego dla niemieckich spółek medialnych w Polsce. Spółki rosyjskie to okrutne i bezwzględne organizacje pracujące dla Kremla. Z tych wszystkich złych wyborów amerykańska opcja jawi się jako najlepsza.

Najważniejsze, że Trump zgadza się grać z Polakami na ich własnych warunkach. Podczas swej wizyty powiedział kilka ważnych rzeczy. Po pierwsze, poparł patriotyczną narrację historyczną. Przyznał publicznie, że w czasie II wojny światowej Polska miała dwóch wrogów – Niemców i Sowietów; że chrześcijanie w Polsce straszliwie wycierpieli oraz że znaleźli się pod komunistyczną okupacją, z której wyszli głównie dzięki niezłomności ducha wyrażanego wiarą chrześcijańską, nacjonalizmem i patriotyzmem. Płomień wolności przechował Kościół katolicki. A „początek końca" komuny to „Nie lękajcie się" Jana Pawła II wypowiedziane w Warszawie w czerwcu 1979 r. Nie tzw. Okrągły Stół, otwarcie sfałszowane wybory z czerwca 1989 r. ani nie tzw. transformacja systemowa dokonana przez komunistów i ich lewicowych kolaborantów.

Po drugie, Trump mówił o wolnym rynku, a nie wspomniał w tym kontekście o Unii Europejskiej, która taki handel pęta. Oznacza to, że w stosunkach bilateralnych między USA a Polską UE nie jest najważniejsza. Trójmorze się liczy. Jednak dopóki nie będzie zintegrowanego Trójmorza, dopóty należy trzymać się Brukseli – choć na dystans i traktując ją instrumentalnie.

Proces budzenia się Polski trwa. Przywracanie pamięci budzi ducha i daje wiedzę, na podstawie której można podejmować racjonalne decyzje strategiczne. Rosnące prosperity daje środki, aby realizować strategiczne plany. Warto spróbować wprowadzić projekt energetyczny jako pierwszy krok do Trójmorza. Warto sprawdzić Trumpowe karty i zobaczyć, czy Ameryka jest poważnie zdecydowana na partnerstwo strategiczne z Polską i Trójmorzem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1390f19820

Z gen. bryg. Wiesławem Kukułą, dowódcą Wojsk Obrony Terytorialnej
rozmawia Wojciech Wybranowski

Gotowi na konflikt w „szarej strefie”

FOT. ARCHIWUM WOT

WOJCIECH WYBRANOWSKI: 20 tys. chętnych do wstąpienia w szeregi Wojsk Obrony Terytorialnej i trzy sformowane brygady: Podlasie, Podkarpacie...

GEN. BRYG. WIESŁAW KUKUŁA: I Lubelszczyzna. Na dziś liczebność naszej formacji kształtuje się na poziomie 2,6 tys. żołnierzy, którzy już realizują szkolenia, a w planach docelowo jest rozwinięcie formacji do liczebności ok. 53 tys. żołnierzy. W liczbie tej znajdzie się ok. 5,5 tys. żołnierzy zawodowych, a to oznacza, że w piątym rodzaju sił zbrojnych jeden żołnierz zawodowy będzie przypadał na 10 żołnierzy pełniących terytorialną służbę wojskową. To najwyższy wskaźnik na świecie w tego typu formacjach. Dlaczego to podkreślam? WOT budują de facto żołnierze wojsk operacyjnych. Kadry zawodowe z czterech rodzajów sił zbrojnych, co w praktyce oznacza, że do tworzonej formacji wnoszą oni nie tylko doświadczenie, lecz także naturalnie wpisują ją w misję całych sił zbrojnych.

Bardzo szybkie tempo narzucił pan budowie WOT. Trzeba się aż tak spieszyć?

Tempo powołania formacji dyktują głównie fluktuacje w środowisku bezpieczeństwa. Tutaj zmiany, które zachodzą, wymagają bardzo szybkich odpowiedzi. Tempo tych zmian jest na tyle duże, że obecnie coraz częściej ogranicza się ich prognozowanie na rzecz przyjęcia założenia, iż przyszłość jest nieprzewidywalna, a odpowiedzią na to ma być wysoka gotowość i zdolność do szerokiego spektrum działań realizowanych przez siły zbrojne. To zaś w dużym uproszczeniu zmusza nas do porzucenia dotychczasowych paradygmatów funkcjonujących w sferze myślenia o bezpieczeństwie.

Jakie to są zagrożenia?

Spektrum zagrożeń nie zostało odwrócone, lecz poszerzone o te właściwe dla ery społeczeństw informacyjnych. Wciąż istnieje pewien poziom zagrożenia konwencjonalnym konfliktem zbrojnym. Jednak takie konflikty zbrojne niosą potężne koszty, a zaangażowanie w nie bardzo często powoduje negatywne i trudne do zaakceptowania dla samego agresora skutki. W erze rewolucji naukowo-technicznej są wypierane przez konflikty nowej generacji, toczące się poniżej progu wojny, ale ostatecznie wywołujące podobne skutki. Są nimi np. „wojna hybrydowa” czy tzw. szara strefa.

Zatrzymajmy się jeszcze przy „szarej strefie”, bo to chyba termin dość nowy.

Pomimo twierdzeń, że takie konflikty są znane od wieków, to w takiej skali toczą się właśnie dzisiaj w państwach rozwiniętych technologicznie. Od znanych nam wojen różni je kilka czynników. Te konflikty zwykle toczą się poniżej progu wojny, a ich zasadniczym celem nie jest teren i jego zasoby, ale populacja. Wszystkie działania ukierunkowane są na oddziaływanie na świadomość społeczną w taki sposób, by stała się zewnętrz sterowalna, by podważyć autorytet państwa i wiarę w nie obywateli. Doprowadzić do erozji relacji wiążących

eprasa.pl 1390f19820

państwowość, społeczności, a nawet rodziny. Podważyć tradycyjne systemy wartości i autorytety. Zasiać w nas strach i sprawić, byśmy przestali wierzyć we wszystko, co znamy. Ostatecznie zdekomponować lub spolaryzować wewnętrznie państwo w taki sposób, by stało się łatwym celem do prowadzenia działań inspirowanych z zewnątrz, którym nawet w bardzo małej skali nie będzie się w stanie efektywnie przeciwstawić. Oczywiście posługuję się pewnymi uproszczeniami. Jednak w mojej głowie tkwią rozmowy, jakie odbywaliśmy podczas szkoleń z oficerami ukraińskimi dwa lata temu. Wsłuchując się w nasze tezy dotyczące m.in. naszej monoetniczności, naszych doświadczeń historycznych czy też naszych sojuszy, dość radykalnie je podsumowali – kilka lat temu myśleliśmy tak jak wy teraz i żaden z nas nie uwierzyłby w to, czego świadkami jesteśmy dzisiaj. Macie jeszcze czas – temu można zapobiec!

Jak z takim zjawiskiem „szarej strefy" będzie walczyć Obrona Terytorialna?

Z tego typu zagrożeniami winno walczyć całe państwo. WOT jest tego dowodem, ponieważ są zaprojektowane w taki sposób, by uzupełnić nie tylko zdolności sił zbrojnych do przeciwdziałania takim zagrożeniom, lecz także pozytywnie i wieloaspektowo służyć społeczeństwu. Musimy zdawać sobie sprawę, że jeszcze niedawno mała armia zawodowa była zamknięta w swoich bazach i poligonach niczym rycerstwo w średniowiecznych zamkach. Ujemnym skutkiem uzawodowienia sił zbrojnych z jednej strony był fakt, że oddalały się one od społeczeństwa. Z drugiej strony społeczeństwo traciło świadomość obronną. 90 proc. żołnierzy WOT to żołnierze tzw. terytorialnej służby wojskowej. Polega ona na pełnieniu służby wojskowej w specyficznej formie – gwarantującej doskonały balans pomiędzy życiem osobistym, zawodowym a służbą wojskową. Struktura formacji i jej terytorialny charakter sprawiają, że żołnierze ci wywodzą się niemal z każdej rodziny, są członkami wszystkich społeczności, w których na co dzień żyją i pracują. Misją tych ludzi jest wspieranie i obrona własnej populacji. Wzmacnianie więzi i czynienie silniejszymi społeczności, które są głównym obiektem oddziaływania w konfliktach nowej generacji. Oczywiście żołnierze ci będą przygotowywani również do walki w ramach klasycznych konfliktów zbrojnych. Ich kompetencje będą miały jednak charakter podwójnego zastosowania. Umiejętności i wykształcenie zdobyte poza wojskiem wykorzystamy w działalności służbowej. Te zdobyte w ramach szkolenia wojskowego będą przydatne i wykorzystywane na rzecz służby społecznościom, np. w czasie reagowania na klęski żywiołowe i inne zagrożenia o charakterze niemilitarnym w okresie pokoju. Tak działa silne państwo, które upomina się o swoich obywateli i żadnego z nich nie pozostawia bez wsparcia w sytuacji zagrożenia.

Kim są ludzie, którymi chce pan nasycić lokalne społeczności? Gdyby wierzyć lewicowym mediom, to większość z nich ma być kibolami, bandytami, bojówkarzami Macierewicza.

My jesteśmy Wojskiem Polskim! A przytoczone określenia nie mają pokrycia w rzeczywistości. W praktyce mogą być odbierane nawet jako próba podważenia zaufania do żołnierzy noszących polski mundur. Przypomnę, że formacja jest piątym rodzajem sił zbrojnych, a jej żołnierze będą ramię w ramię z żołnierzami np. wojsk lądowych czy wojsk specjalnych walczyć o suwerenność Polski. System weryfikacji kandydatów do służby jest niemal identyczny jak dla żołnierzy zawodowych. Każdy z kandydatów WOT jest weryfikowany, sprawdzana jest m.in. jego przeszłość, w tym karalność. Wszystko po to, by kandydat do służby dawał rękojmię nie tylko tego, że jego jedyną intencją jest dochowanie wierności rocie przysięgi wojskowej, lecz także tego, że sprosta oczekiwaniom psychofizycznym. Kim są nasi żołnierze? Statystycznie mają ok. 32 lat. Około 35 proc. z nich ma wyższe wykształcenie, 15 proc. studiuje, a niecałe 10 proc. to osoby bezrobotne. 60 proc. z nich zamieszkuje w miastach. Ponad 5 proc. naszych żołnierzy to kobiety.

Często pada stwierdzenie, że przez 16 dni nie da się dobrze przygotować żołnierza.

Pytanie zawiera fałszywą tezę – zresztą często powielaną. Szkolenie żołnierza WOT na poligonach i w koszarach nie trwa 16 dni, tylko minimum 124 dni! Do tego dochodzą tzw. szkolenia e-learningowe czy też kształtowanie sprawności fizycznej realizowane poza koszarami. Podobne systemy funkcjonują w wielu państwach. Z uznaniem ocenia się systemy szkolenia w USA czy krajach bałtyckich. Nie kwestionuje się faktu, że żołnierze Gwardii Narodowej USA walczą tak jak zawodowi koledzy w Iraku czy Afganistanie. Nie rozumiem, dlaczego część ekspertów uparcie twierdzi, że nie jest to możliwe tu, w Polsce. Ja i inni żołnierze zawodowi wywodzący się z wojsk operacyjnych, budujący formacje, rzucamy im wyzwanie! Młodzi polscy patrioci, którzy dziś podejmują służbę w WOT, nie są gorsi od swoich odpowiedników z USA i innych państw. Są świetnie wykształceni i zmotywowani. To dumni i znający swoją wartość ludzie, którzy nie zamierzają „chodzić na kolanach".

Powiedział pan kiedyś, że przyjdzie taki czas, gdy żołnierze WOT będą mogli sprostać specnazowi.

Tak powiedziałem, choć mam świadomość, jak dalece może się to wydawać kontrowersyjne przy relatywnie niskiej społecznej świadomości obronnej. Przypomnę, że jednostki specnazu nadawały zasadnicze tempo operacyjne sowieckiej interwencji w Afganistanie w latach 1979–1989. Wojnie zakończonej klęską i potężnymi stratami osobowymi po stronie tej formacji. Interwencji, której klęska przyczyniła się do upadku Związku Sowieckiego. Pamiętajmy o tym. Jako żołnierz mam szacunek do przeciwnika i nigdy go nie lekceważę, zawsze też doceniam jego potencjał. Jestem jednak oficerem wojsk specjalnych, a wielu mi podobnych jest zaangażowanych w budowę i szkolenie WOT. Proszę mi wierzyć, nikt lepiej niż my nie zna słabości takich formacji i być może zdziwię wielu ekspertów, ale i one mają swoje liczne słabe punkty. WOT podobnie jak żołnierze np. wojsk lądowych muszą być przygotowane do walki z każdym przeciwnikiem, również takim jak specnaz, i zostaną do tej walki należycie przygotowane. Potwierdzę również inną tezę, słusznie podnoszoną przez część specjalistów, że to nie ta formacja będzie stanowić największe wyzwanie dla terytorialsów. Podobnie jak dla innych formacji lekkiej piechoty zawsze największym wyzwaniem pozostaje walka z siłami ciężkimi. Jednak nie jest to główne zadanie WOT – formacji, która do walki z przeciwnikiem stanie ramię w ramię z żołnierzami wojsk lądowych, sił powietrznych, marynarki wojennej i wojsk specjalnych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1390f19820

Michał S. prowadzący zbiórkę pieniędzy na fikcyjny cel został zatrzymany

FOT. POLICJA DOLNOŚLĄSKA

Przekręt na uczuciach

Agnieszka Niewińska

Ukradł tożsamość i zmyślił historię choroby, która miała maluchowi odebrać wzrok. Wyłudził pieniądze od celebrytów i tysięcy ludzi

Nie mam po prostu siły mierzyć się z falą hejtu, linczu, bo zdarzają się również groźby karalne. Internet huczy, jest mi z tego powodu bardzo przykro. Mi również jest ciężko, nie tylko mi, ale też mojej rodzinie – żalił się przed kamerą TVN Michał S., organizator zbiórki na leczenie dziecka, któremu – jak się okazało – ukradł tożsamość i wymyślił ciężką chorobę. 23-latek w Internecie apelował o wpłacanie pieniędzy dla Antosia Rudzkiego. Pisał, że dziecko cierpi na rzadki nowotwór – siatkówczaka – i by zachować wzrok, potrzebuje drogiego zabiegu w Ameryce. Wymyślił chwytliwy internetowy hasztag #bojesieciemności i propagował akcję w sieci. Tylko w serwisie Zrzutka.pl aż 6,5 tys. osób przekazało na leczenie chłopca przeszło 500 tys. zł. Zbiórkę wsparło wielu znanych ludzi, m.in.: muzycy Paweł i Łukasz Golcowie, dziennikarz Maciej Orłoś, aktorka Katarzyna Zielińska, prezenter Krzysz-

eprasa.pl 1390f19820

tof Ibisz, koszykarz Marcin Gortat, były premier Kazimierz Marcinkiewicz. Kapitan reprezentacji Polski Robert Lewandowski z żoną Anną przekazali aż 100 tys. zł. Okazało się jednak, że pieniądze wędrują na prywatne konto S., a chory chłopiec to fikcja. – Z ustaleń wynika, że w Polsce istnieje dziecko o podanym imieniu i nazwisku. Zgadza się także podany rok i miesiąc urodzenia chłopca. Dziecko jest zdrowe, a jego rodzice nigdy nie prosili o pieniądze ani nie uczestniczyli w takiej akcji – poinformowała w ubiegły czwartek Małgorzata Klaus, rzeczniczka prasowa Prokuratury Okręgowej we Wrocławiu, która po doniesieniu serwisu Zrzutka.pl o możliwości popełnienia przestępstwa przez S. wszczęła śledztwo i postawiła mu zarzut wyłudzenia. Przyznał się do winy. Miał wyznać, że od samego początku chciał pozyskać pieniądze na własne potrzeby: spłatę długów, bieżące wydatki, zakup rowerów czy sprzętu RTV.

DARCZYŃCY NA TROPIE

Agnieszka Nowik z fundacji Siepomaga.pl, która już 8 lipca ostrzegała, że zbiórka na Antosia może być wyłudzeniem, zaznacza, iż brawa za zdemaskowanie oszusta należą się darczyńcom. – My odrzuciliśmy to zgłoszenie, nie przeszło ono naszej weryfikacji. Kiedy prosiliśmy o dokumentację medyczną i umożliwienie kontaktu z rodzicami chłopca, organizator zbiórki już się do nas nie odezwał. Jednak po pewnym czasie zaczęły napływać zapytania od wielu darczyńców, społeczników, po prostu dobrych ludzi. Pytali, czy wiemy coś o tej zbiórce prowadzonej na innych portalach, zgłaszali, że wiele rzeczy im się nie zgadza. Zdziwiły ich choćby apele organizatora, że jeśli w dwa dni nie uda mu się zebrać pieniędzy, to chłopiec umrze – opowiada. – Poprosiliśmy internautów o pomoc w poszukiwaniu chłopca, na którego leczenie miały być zebrane pieniądze. Okazało się, że choć miał chorować na rzadki nowotwór – siatkówczaka – i wyjechać do kliniki w USA, to żadna z rodzin dzieci, które już się tam leczyły, nigdy o nim nie słyszała. To wydało się nam dziwne, bo rodzice chorych dzieci szukają kontaktu ze sobą, jedni radzą się drugich w sprawie terapii, szpitali. Jednej z dziennikarek udało się porozmawiać z organizatorem zbiórki. Kiedy zapytała o Antosia, usłyszała, że leży w szpitalu pod Łodzią. Wydało nam się mało wiarygodne, by dziecko z siatkówczakiem leczyło się w szpitalu powiatowym, a nie na specjalistycznym oddziale onkologicznym. Od internautów się dowiedzieliśmy, że o takim chłopcu nie słyszał nikt ani w CZD, ani w Prokocimiu, ani w klinice w USA, w której miał się leczyć. Zbiórka nie miała też strony na Facebooku, organizator posługiwał się tylko jednym zdjęciem chłopca, nigdzie nie pokazano jego rodziców, nie udzielano informacji na temat jego aktualnego stanu zdrowia. To wszystko skłoniło nas do podejrzeń, że chodzi o wyłudzenie.

Po tym, jak w sieci pojawiły się informacje, że zbiórka jest oszustwem, Michał S. zamieścił na profilu na Facebooku przeprosiny. Zapewnił, że zwróci pieniądze darczyńcom. Oddał je Annie i Robertowi Lewandowskim, opublikował potwierdzenie przelewu na ich konto. Co z resztą? Nie wiadomo. S. nie odpowiedział na naszą prośbę o rozmowę. W połowie ubiegłego tygodnia nie można już było nawet zobaczyć, co publikuje na swoim profilu na Facebooku. I choć zapewniał, że sprawę wyjaśni, to zapytany przez WirtualneMedia.pl, czy Antoś i jego rodzice w ogóle istnieją, odpowiedział enigmatycznie: „Nie mogę potwierdzić i nie mogę zaprzeczyć. Nie mogę udzielić informacji, czy rodzice zwrócili się do mnie o pomoc". Opowiadał za to dziennikarzom, że jest „na skraju wyczerpania psychicznego i fizycznego", twierdził, że „obraca się w świecie show-biznesu", wyliczał znane osoby, z którymi rzekomo współpracował. W mediach pojawiły się też informacje o charytatywnym biletowanym koncercie, który S. organizował w 2013 r. w Gorzowie Wielkopolskim i który niemal w ostatniej chwili odwołał.

– Ten młody człowiek doskonale wiedział, że dobrze opowiedziana historia chorego dziecka poruszy ludzi – ocenia Karol Walas, specjalista w dziedzinie pozyskiwania funduszy z Gnyszka Fundraising Advisors. – Do tego wykorzystał media społecznościowe i coś, co można nazwać transferem zaufania. Do wpłaty przekonał gwiazdy. W takich przypadkach idziemy na skróty. A warto wziąć pod uwagę, że nawet ktoś taki jak Robert Lewandowski może paść ofiarą oszustwa.

Nośne hasło i zdjęcie skłoniły do wpłat m.in. Annę i Roberta Lewandowskich FOT. YOUTUBE.PL

Agnieszka Nowik z Siepomaga.pl przyznaje, iż w fundacji wszyscy do końca chcieli wierzyć, że się mylą i że Antoś Rudzki rzeczywiście istnieje oraz potrzebuje pomocy. – Zdajemy sobie sprawę, że doniesienia o fałszywej zbiórce uderzają nie tylko w tego konkretnego organizatora, lecz także w organizacje pozarządowe w ogóle – zwraca uwagę. Jednocześnie prosi, by nie odmawiać pomocy potrzebującym. Z podobnym apelem wystąpiły gwiazdy, które padły ofiarą oszustwa. „Ja będę nadal pomagać. Będę teraz stokrotnie sprawdzać prawdziwość informacji. Bo trzeba pomagać" – zadeklarowała Katarzyna Zielińska. Anna i Robert Lewandowscy

eprasa.pl 1390f19820

napisali w swoim oświadczeniu, że zwrócone im środki przeznaczą na cel charytatywny. „Pomaganie innym jest dla nas bardzo ważną wartością i pomimo tego zdarzenia nie przestaniemy wspierać organizacji charytatywnych, osób potrzebujących i akcji prospołecznych" – napisali.

TEST BIAŁEJ RĘKAWICZKI

Polacy już nieraz udowodnili, że potrafią się zmobilizować i w krótkim czasie zebrać nawet kilka milionów złotych dla chorej osoby. Wspierają nie tylko konkretnych chorych, lecz także działalność fundacji. Co roku rośnie liczba podatników, którzy przekazują 1 proc. podatku wybranej organizacji pożytku publicznego. W 2016 r. do OPP trafiło dzięki temu 617,5 mln zł od blisko 50 proc. podatników. Co zrobić, by naszej chęci pomagania nie wykorzystywali oszuści? – Bardzo często, reagując na czyjś apel o pomoc, kierujemy się wyłącznie emocjami. Czytamy dwa, trzy zdania i już przesyłamy pieniądze. Emocje są bardzo ważne w filantropii, ale ja namawiałbym także do tego, by kierować się zdrowym rozsądkiem – przestrzega Karol Walas. – Kiedy bierzemy kredyt, emocje schodzą na drugi plan, liczy się logika. Podobnie postępujmy wtedy, kiedy chcemy komuś przekazać nasze ciężko zarobione pieniądze. Polecam „test białej rękawiczki". Sprawdźmy, czy znamy organizację, która prowadzi zbiórkę, zastanówmy się, czy mamy z nią zbudowaną jakąś relację. Wpłaćmy najpierw małą kwotę i sprawdźmy, jak zachowa się obdarowany: czy nam podziękuje, czy będzie nas na bieżąco informował, na co są przeznaczane nasze pieniądze, czy opublikuje na swojej stronie internetowej sprawozdanie finansowe. Im więcej informacji, tym lepiej. Mamy pełne prawo wiedzieć, co się stało z naszymi pieniędzmi.

Agnieszka Nowik podpowiada, że czasem wystarczy poświęcić kilka minut, by sprawdzić, czy o pomoc prosi uczciwa osoba. – Przede wszystkim trzeba zweryfikować, czy zwróciła się o wsparcie do jakiejś fundacji i czy za jej pośrednictwem zbiera pieniądze na subkonto, a nie na swój prywatny rachunek bankowy. Jeśli nie korzysta z pomocy fundacji, to mamy prawo zapytać dlaczego. Pamiętajmy, że fundacje ze zgromadzonych środków muszą się rozliczyć, zamieścić sprawozdania finansowe – tłumaczy. A Karol Walas dodaje, że zarządzanie przez prywatną osobę kwotą np. 500 tys. zł wcale nie jest takie łatwe. – Tymczasem fundacje mają doświadczenie w tej kwestii, wyspecjalizowanych pracowników. Organizacja pozarządowa daje większą gwarancję, że darowizny zostaną dobrze wykorzystane – podkreśla.

Warto też zwrócić uwagę na to, czy osoba, która prosi o pomoc, informuje o swoim stanie zdrowia, zamieszcza zdjęcia ze szpitala, jeśli jest to dziecko, to czy na zdjęciach występują jego rodzice. – To nie jest dla rodzin przyjemne, ale jeśli naprawdę walczą o życie bliskiej osoby, to zdają sobie sprawę, że muszą zdobyć wiarygodność w oczach darczyńców. Czasem wystarczy tylko wpisać imię i nazwisko w wyszukiwarkę internetową, sprawdzić, czy o potrzebującej osobie piszą lokalne media – radzi Nowik.

Nagłośnienie fałszywej zbiórki to trudny czas dla organizacji pozarządowych, ale i szansa, by wyciągnąć wnioski. Zbierając fundusze przez Internet, trzeba zadbać o poprawę procedur

ZBYT LIBERALNA USTAWA?

– Nagłośnienie w mediach fałszywej zbiórki to trudny czas dla organizacji pozarządowych, ale i szansa na to, by wyciągnąć wnioski z tej sytuacji. Platformy zbierające fundusze przez Internet muszą zadbać o poprawę procedur. To one powinny być gwarantem tego, że nasze pieniądze trafią do osoby potrzebującej, a nie do oszusta – podkreśla Walas.

Zrzutka.pl, którą do swojej zbiórki wykorzystał Michał S., 12 lipca zmieniła procedury. Jeśli organizator zbiórki prześle dokumentację potwierdzającą jej prawdziwość, to w opisie zostanie dodana informacja: „Organizator przesłał dokumenty potwierdzające prawdziwość opisu zrzutki". W przypadku zbiórek na cele charytatywne, które zgromadzą więcej niż 50 tys. zł, wypłata środków zostanie zablokowana do czasu przesłania przez organizatorów dokumentów potwierdzających prawdziwość celu.

Czy to wystarczy, by wyeliminować oszustwa? Dzisiaj, gdy organizuje się zbiórkę w Internecie, nie trzeba się starać o pozwolenie. To efekt nowelizacji ustawy o zbiórkach publicznych. Jej zwolennikami było wiele serwisów crowdfundingowych (czyli zbierających w sieci fundusze od pojedynczych darczyńców wpłacających nawet niewielkie kwoty), którym przestarzałe prawo z lat 30. nie pozwalało na rozwinięcie skrzydeł. Nie udało się wystartować serwisowi pod auspicjami ONZ, na którym osoby z pomysłami na projekty związane z kulturą, muzyką czy modą miały pozyskiwać wsparcie finansowe internautów. Inne serwisy szukały forteli, takich jak rejestracja użytkownika, wysyłanie drobnych gadżetów w zamian za wpłaty. W tym czasie na Zachodzie w ramach tysięcy zbiórek crowdfundingowych gromadzone były miliony dolarów. Także na takie projekty jak dofinansowanie jakiegoś wynalazku szalonego naukowca czy podróż odkrywcy w nieznane rejony planety.

W Polsce sytuacja prawna zmieniła się w 2014 r. Zbierać możemy na wszystko, pieniądze wolno gromadzić na prywatnym koncie, a sukces zależy od tego, czy nasz projekt znajdzie uznanie w oczach innych. – Dobrze, że prawo się zmieniło. Zdobywanie pozwolenia na każdą zbiórkę było czasochłonne, a ministerstwo nie nadążało z ich wydawaniem. Nie przeszkadza mi, jeśli ktoś przekazuje komuś jakąś kwotę pieniędzy na budowę domu czy daleką podróż. Robi to na swoją odpowiedzialność. Inaczej jednak wygląda sprawa z akcjami charytatywnymi. Zastanawiam się, czy takie zbiórki nie powinny być prowadzone wyłącznie przez organizacje pożytku publicznego i na ich subkonta. Organizacje muszą się rozliczać z powierzonych środków, więc zmniejsza to pole do nadużyć – zastanawia się Agnieszka Nowik.

Wrocławska prokuratura wystąpiła o tymczasowe aresztowanie Michała S. na trzy miesiące. Jak poinformowała rzeczniczka prokuratury, już wcześniej był karany za oszustwa. Za wyłudzenie tak dużej kwoty pieniędzy grozi kara do 10 lat więzienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1390f19820

Gorący wstyd

FOT. PIXABAY

Łukasz Zboralski

Parawan, grill, alkohol i wybieranie za granicą miejsc, w których mówi się po polsku. To wytykany co roku Polakom „wakacyjny obciach"

Kiedy tylko dzieci odbiorą świadectwa szkolne, a dorośli zapakują torby do samochodów i ruszą na urlopy, jest prawie pewne, że w części mediów ukażą się teksty wyśmiewające letni wypoczynek Polaków – wytykające zaściankowość, kołtuństwo i brak rozeznania w tym, jak naprawdę powinno się odpoczywać.

STREFY STEREOTYPÓW

Jeszcze niedawno Polakom latem obrywało się za to, że chcieli, aby traktowano ich tak, jak Brytyjczyków czy Niemców. „Recepcjoniści nie mówią po polsku, w telewizji nie ma polskich kanałów, a w restauracji jadłospisu po polsku. I nad wejściem do hotelu nie wisi polska flaga, choć powiewają: niemiecka, angielska i rosyjska" – taką listę zarzutów przedstawianych przez polskich turystów za granicą cytował trzy lata temu „Newsweek" w tekście „Skarpetki w sandałach, czyli Polak na wakacjach". Dodawano, że Jerzy Żebrowski, wykładowca i przewodnik, musiał rodakom tłumaczyć, iż po prostu przedstawicieli tamtych nacji w Hiszpanii jest więcej, więcej na nich się zarabia, więc

eprasa.pl 1390f19820

Parawany nad Bałtykiem chronią przed wiatrem, ale dla części mediów są wyznacznikiem obciachu FOT. ANDRZEJ ZBRANIECKI/EAST NEWS

i przedstawiciele branży turystycznej bardziej dbają o gości z tamtych krajów niż z Polski.

A już w tym roku nagły zwrot w narracji. Bo oto duże polskie biura zaoferowały za granicą tzw. polskie strefy. Turyści z Polski mogą w nich wypoczywać pod opieką ludzi mówiących po polsku, słuchać polskiej muzyki i jeść – o zgrozo! – polskie schabowe, gdy nie w smak im inna kuchnia.

Nie ma więc wyjścia dla wakacjujących rodaków, bo i przebywanie w strefach, których kiedyś (niesłusznie i zaściankowo) zazdrościli innym nacjom, jest wyrazem zaprzaństwa.

Zatem w tegorocznym artykule „Polityki", okraszonym rysunkiem rodaków pływających na wielkim kotlecie schabowym, wykpiwa się, że ktoś może chcieć w Grecji słuchać disco polo, pić polską wódkę, a nie ouzo oraz zjadać kiełbasę z grilla zamiast sera halloumi. Ale przede wszystkim taki rodzaj wypoczynku jest piętnowany za to, że turysta z Polski pozostaje w komfortowej i bezpiecznej dla siebie strefie. Cytowana przez tygodnik dr Anna Zajenkowska (autorka książki „Polska na kozetce") przekonuje, że taka bańka bezpieczeństwa na wczasach konserwuje lęk przed obcością. – Człowiek nie mierzy się z tym, czego się boi – podkreśla. Widocznie pani doktor czas urlopu lubi traktować jako czas stresu. Jednak nie wszyscy tak to widzą.

– Dużo podróżuję i dla mnie naturalne jest, że jestem wśród nowych ludzi z innej kultury, spędzam z nimi czas, jem z nimi, nie mieszkam w hotelach, nie mam bariery językowej, a nawet jeśli nie znam języka, to się dogadam na migi. Jednak doskonale rozumiem tych, którzy się boją nawet zorganizowanych wyjazdów za granicę, będących w wieku moich rodziców, dla których poważną barierą jest język – mówi „Do Rzeczy" Michał Cessanis, zastępca redaktora naczelnego „National Geographic Traveler". – Oni się obawiają, że sami w hotelach się nie dogadają i nie zobaczą w okolicy tego, co potrzeba. Jeśli ktoś zatem chce np. zwiedzić Chiny, ale woli europejskie jedzenie, to niech sobie mieszka w polskiej strefie, czy gdzie chce. Przecież większość Polaków wyjeżdża raz w roku. Tym bardziej rozumiem, że na urlopie nie chcą się niczym martwić. Najważniejsze, że ludzie podróżują, że w ogóle wyjeżdżają. Ja ich proszę tylko, żeby nie zamykali się w tych strefach, żeby próbowali wyjeżdżać na wycieczki, próbowali jeść na mieście i otwierali się na innych ludzi – dodaje.

Cessanis zaznacza też, że narodowe strefy to nienowy pomysł i wcale nie narodził się w polskich biurach podróży.

– Od dawna są hotele dla Niemców, Francuzów czy Brytyjczyków – mówi. – U nas postrzegane jest to stereotypowo jako coś dla Polaka-wieśniaka, nietolerującego innych nacji. Można psioczyć na te polskie strefy, ale na Sri Lance, w hotelach obsługa jest przygotowana do podejmowania Brytyjczyków. Mają tam na śniadanie english breakfast: kiełbasę, jajecznicę i bekon. I w czym to jest lepsze od wypoczywania z polską obsługą? Niech każdy wypoczywa, jak chce.

– Takie strefy narodowe powstają w kurortach samoistnie. Kawałek greckiej wyspy Kos jest np. brytyjski – mówi Jarosław Kałucki z TravelPlanet.pl. – A napisy po angielsku czy niemiecku? Dla tych nacji jest to przecież robienie ich własnej strefy – dodaje.

Kałucki wskazuje też, że z badań TravelPlanet.pl i SW Research przeprowadzonych w ubiegłym roku wynikało, że ok. 9 proc. Polaków odpuszcza sobie zagraniczne wyjazdy ze względu na nieznajomość języka obcego. – I odpowiedzią na potrzeby tej grupy są polskie strefy za granicą – tłumaczy. – To jest poszukiwanie nowych klientów. Nie ma obowiązku wyjeżdżania na urlop i przesiąkania kulturą innego kraju. Ludzie mają prawo czuć się spokojnie oraz swojsko i części turystów polskie strefy to zapewniają. A trzeba też brać pod uwagę, że takie strefy za granicą mogą też promować nasz kraj. Bo tam prze-

eprasa.pl 1390f19820

cież przyjść może każdy turysta. Wiele zaczyna się od dobrej kuchni i jeśli ktoś tej polskiej popróbuje, to uzna, że warto dowiedzieć się więcej o naszym kraju i do niego przyjechać.

ZA CIASNY STRÓJ I UMYSŁ?

Lista zarzutów pod adresem wypoczynku Polaków jest oczywiście dłuższa. Począwszy od tego, jak źle wyglądają latem. „Polacy na plaży. Ona w przyciasnym kostiumie, on w slipach" – tak brzmiała część tytułu tekstu opublikowanego dwa lata temu w portalu Gazeta.pl. Cytowana w artykule Gosia Kuniewicz, przedstawiana jako „stylistka z Osy", wskazała, że slipki na plaży to ubiór niestosowny. – Panowie powinni nosić szorty – pouczała. I stwierdziła, że Polaków na zagranicznych plażach potrafi rozpoznać po niedopasowanych strojach kąpielowych. – Na przykład małe majteczki przy dużej pupie i sporym brzuchu to nie najlepszy wybór – podpowiadała.

Nie wiadomo, czy stylistka z tekstu i jego autorka widziały kiedykolwiek na plaży np. Brytyjczyków albo Niemców

Kolejnym zarzutem jest chodzenie w plażowym stroju do nadmorskich kawiarenek, a niektórzy wypowiadający się w mediach ze zgrozą przyznawali, że widzieli mężczyzn paradujących w slipkach Monciakiem. Bo przecież – jak wiadomo – za granicą europejscy i wychowani turyści, schodząc z plażowego ręcznika, ubierają się odświętnie, podążając na południową przekąskę i kawę. A alkoholu przecież nie piją. No właśnie… Alkohol, którym można delektować się nad wodą, to także podobno znak rozpoznawczy urlopujących Polaków. W Europie i na świecie nikt nie widzi jednak problemu w piciu piwa lub drinków nad brzegami morza czy basenów. Ba, zagraniczne kurorty usiane są przecież takimi barami.

ZA PARAWANEM OBŁUDY

Z największym uporem wytyka się Polakom stawiane na plażach parawany. W ten sposób letnicy nad Batykiem – i to nie tylko w Polsce – od dawna radzą sobie z silnymi podmuchami wiatru, które utrudniałyby beztroskie opalanie. Jednak w polskich mediach postawienie parawanu we Władysławowie czy Łebie jest niezbitym dowodem na bycie niewychowanym, małomiasteczkowym wakacjuszem z dużym brzuchem i wąsami, czyli stereotypowym januszem gromadzącym w swej postaci wszystkie najgorsze cechy narodowe. Najlepszy wyraz dała temu w ubiegłym roku Agata Młynarska, którą widok turystów nad morzem przeraził. „We Władysławowie jest totalny armagedon – zjechali wszyscy państwo Kiepscy z rodzinami i przyjaciółmi. [...] Wszędzie gra muzyka, w każdej knajpie faceci w gastronomicznej ciąży opędzają się od swoich dzieci i umęczonych żon. Wiadomo, dobry browar to podstawa!" – pisała na Facebooku (za co potem, po reakcji ludzi, przepraszała).

Medialna presja doprowadziła do tego, że władze niektórych nadmorskich kurortów proponowały nawet dzielenie plaży na część z parawanami i bez parawanów. A niektórzy dziennikarze – jak w NaTemat.pl w 2015 r. – podpowiadali, że najlepszym sposobem na parawany będą prywatne plaże, „gdzie standardem jest estetyczny leżak i niewielki parasol w zestawie". Zapomniano tylko dodać, że aby wejść na prywatną plażę nad Adriatykiem we Włoszech, trzeba zapłacić kilka euro wstępu, a potem jeszcze kolejnych kilka euro za wypożyczenie tego „estetycznego leżaka".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

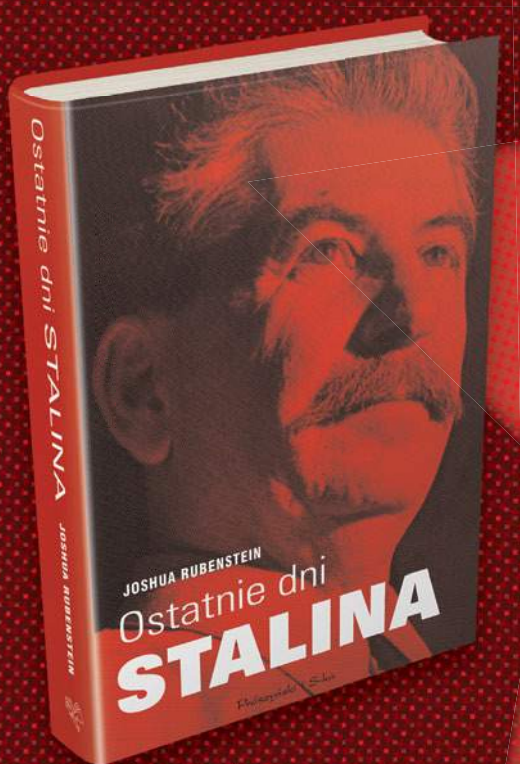

ŚMIERĆ STALINA
tajemnice i utracone szanse

Wydarzenia, które poprzedziły śmierć Józefa Stalina, wciąż są przedmiotem niezliczonych dociekań, podobnie jak zdarzenia, które nastąpiły bezpośrednio po niej i ukształtowały historię świata na kolejnych kilkadziesiąt lat. Książka *Ostatnie dni Stalina* przedstawia je wszystkie szczegółowo – począwszy od XIX Zjazdu WKP(b) i przygotowań Stalina do kolejnych czystek, aż do aresztowania Ławrientija Berii, dowodząc, jak wielka szansa została wówczas zaprzepaszczona.

Śmierć Stalina stworzyła nową sytuację zarówno w polityce wewnętrznej Związku Sowieckiego, jak i na arenie międzynarodowej. Jednak świat, który mógł wreszcie odetchnąć z ulgą, natychmiast powrócił do zimnej wojny.

www.proszynski.pl

patroni medialni DO RZECZY HISTORIA DO RZECZY SUPER HISTORIA.pl

eprasa.pl 1390f19820

Wojciech Engelking

Nowe życie partyzanta

Od dwóch dekad świat sztuki rozpala pytanie: Kim jest Banksy? O tyle warto je zadać, że anonimowy artysta powoli staje się politykiem

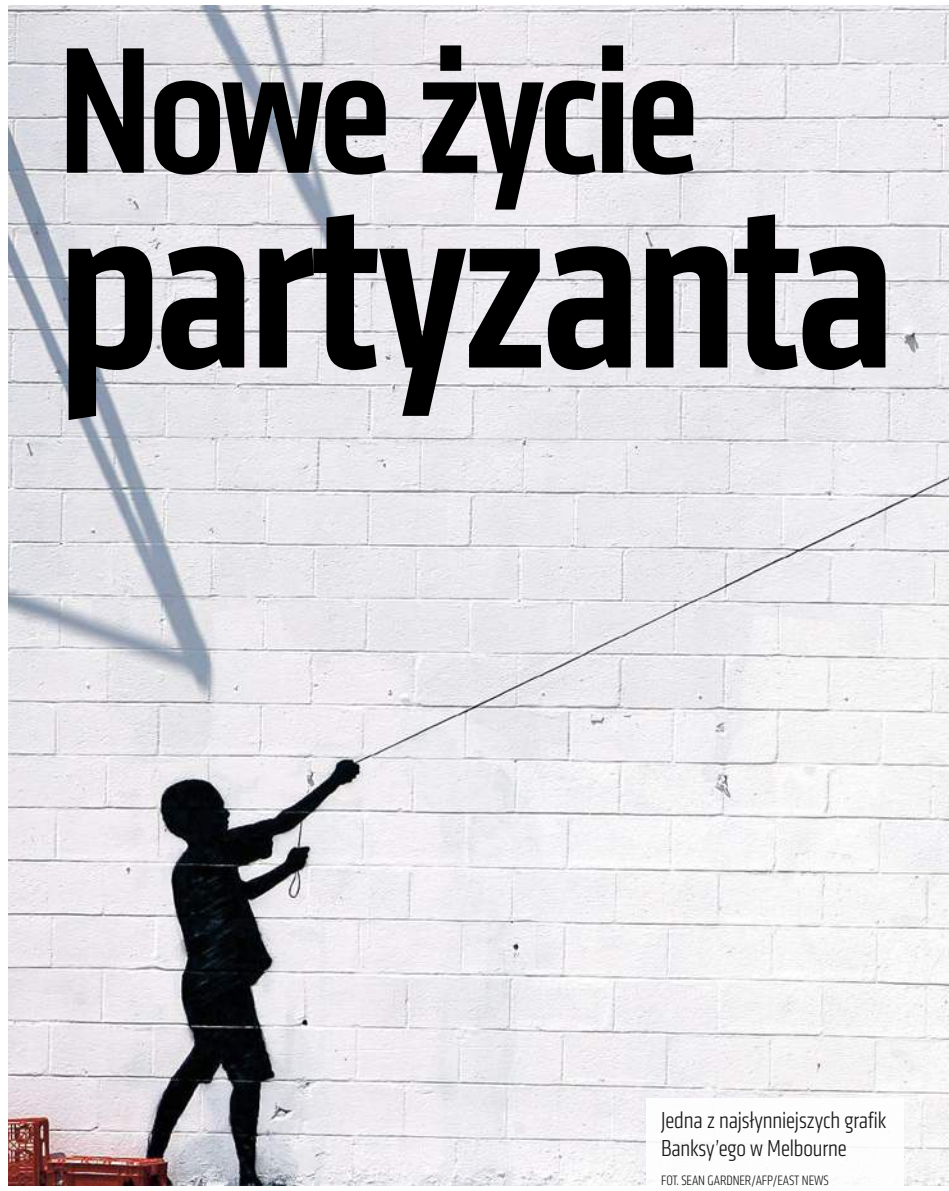

Jedna z najsłynniejszych grafik Banksy'ego w Melbourne

FOT. SEAN GARDNER/AFP/EAST NEWS

Szanuję Roba, jest fantastycznym artystą. Myślę, że wywrócił świat sztuki do góry nogami – powiedział brytyjski DJ Goldie w internetowej audycji radiowej, kiedy rozmowa zeszła na Banksy'ego. To, że najsłynniejszy na świecie grafficiarz, którego nikt nigdy na oczy nie widział, ma na imię Robert lub Robin, wiadomo od dawna. Powiązanie ze środowiskiem muzycznym obudziło jednakowoż spekulacje co do jego nazwiska. To, stwierdzili kilka godzin po wywiadzie z Goldiem internauci, brzmi Del Naja, co oznacza, że Banksy jest nie tylko malarzem, lecz także wokalistą triphopowego zespołu Massive Attack, który z gadatliwym didżejem przyjaźnił się już w latach 90. w Bristolu – mieście, w którym kariera Banksy'ego się zaczęła. Na potwierdzenie tej tezy „Daily Mail" opublikował mapkę pokazującą, jak działalność malarza pokrywa się z karierą zespołu. I tak: kiedy w marcu 2003 r. Massive Attack koncertował w Melbourne, pojawiła się tam nowa praca Banksy'ego; najsłynniejsze bodaj graffiti Brytyjczyka – z dziewczynką trzymającą na sznurku ulatującą ku niebu na wzór balonu lodówkę – znalazło się na ścianie budynku w Nowym Orleanie, gdy Del Naja pracował tam nad soundtrackiem do filmu „Gomorra".

„To dobra historia, ale niestety nie jest prawdziwa. Banksy jest moim kumplem, był na kilku koncertach. To jest kwestia logistyki i zbiegu okoliczności. Nic więcej" – skomentował rewelacje internautów sam Del Naja. I oczywiście trudno przypuszczać, by Banksy lub ktoś z jego otoczenia wyjawił, jak się naprawdę nazywa albo jak wygląda (kiedy w 2011 r. jego ironiczny film „Wyjście przez sklep z pamiątkami" nominowany był do Oscara za najlepszy dokument, akademia cofnęła zaproszenie dla artysty, który ogłosił, że na gali się zjawi, ale w masce; przy okazji jednej z projekcji filmu przemawiał do publiczności na ekranie kina w postaci czarnej plamy), bo, paradoksalnie, pynchonowska prawie anonimowość to część skrzętnie obmyślonego wizerunku. To właśnie ona zapewniła Banksy'emu w 2010 r. miejsce na liście stu najbardziej wpływowych myślicieli świata, obok Obamy i Steve'a Jobsa. Banksy, który powiedziałby światu, kim jest, przestałby być Banksym, bo – jak sam stwierdził w wywiadzie dla magazynu „Swindle" – jego tożsamość wzbudziłaby powszechne rozczarowanie.

Jednocześnie jednak odpowiedź na pytanie, kim Banksy naprawdę jest, staje się coraz bardziej pożądana. Artysta ten zmienia się bowiem w polityka.

PARTYZANT ZE SPREJEM

To, co Banksy malował, zawsze było w jakiś sposób polityczne. Już na samym początku jego artystycznej drogi, gdy nikt nie podejrzewał, że Brytyjczyk zrobi taką karierę, a jego prace zawisną w posiadłościach Christiny Aguilery i Brada Pitta, prasa z Wysp nadała mu przydomek Guerilla Artist – partyzanckiego artysty. Banksy'ego nigdy nie interesowało zamykanie swoich obrazów w muzeach, wolał je zostawiać na ulicy, gdzie mógł zobaczyć je każdy. (Nie zmienia to oczywiście faktu, że reprezentuje go galeria, gdzie można kupić dzieła, które na ulicy nigdy nie były; przez długi czas podejrzewano, że właśnie jej szef jest Banksym). Jak Brytyjczykowi udało się tak długo pozostać niezauważonym przez (ostro w jego pracach krytyko-

eprasa.pl 1390f19820

waną) policję, chociaż jego graffiti jest skomplikowane i artystycznie wysublimowane? To proste: jak wspomina

w autobiograficznej książce „Wall and Piece", jako młody grafficiarz, jeszcze zanim zaczął pracować samotnie, wraz z grupą innych ulicznych malarzy pokrywał obrazem pociąg. Kiedy na miejscu zjawiła się policja, nie udało mu się uciec tak szybko jak innym, spędził więc parę godzin ukryty pod jednym z wagonów. To sprawiło, że zainteresował się graffiti wykonywanym za pomocą wyciętych w folii matryc-szablonów, które na ulicy jedynie pokrywa się kolorem.

W tej technice Banksy stworzył kilka prac, które na trwałe weszły do klasyki sztuki najnowszej i które dają pewne rozeznanie w jego poglądach. Jest więc Banksy zażartym antymonarchistą – królową Wiktorię przedstawił siedzącą w cokolwiek dwuznacznej pozie na głowie prostytutki, jej następczyni Elżbiecie dał twarz małpy, wydrukował też kilka podrobionych funtów z podobizną księżnej Diany, by przypiąć je obok namalowanego bankomatu. Jest zwolennikiem zakończenia konfliktu Izraela z Palestyną – w 2005 r. na murze oddzielającym Arabów od Żydów zostawił obraz dziecka, które chce przez niego przeskoczyć, w zeszłym roku zaś otworzył w Betlejem hotel z najgorszym widokiem na świecie, czyli na granicę między dwoma tymi państwami. Jest zwolennikiem przyjmowania uchodźców – po tym, jak francuski rząd zdecydował o zamknięciu obozowiska w Calais, ozdobił ścianę ambasady Francji w Londynie wizerunkiem dziewczynki z plakatu musicalu „Nędznicy", w tunelu zaś pod kanałem La Manche zostawił graffiti przedstawiające Steve'a Jobsa (syna syryjskich imigrantów). Jest anarchistą – na londyńskim Trafalgar Square, w miejscu największych manifestacji z lat 60., umieścił transparent „TO JEST MIEJSCE DLA STRAJKÓW". Jednocześnie potępia przemoc: słynny wizerunek manifestanta rzucającego koktajlem Mołotowa przerobił po swojemu, zamiast koktajlu malując bukiet kwiatów. Jest zajadłym przeciwnikiem kapitalizmu – szlagierowe „Lilie wodne" Moneta namalował na nowo, w wersji, w której jezioro było wypełnione pustymi wózkami sklepowymi. Stworzył też obraz przedstawiający dziewczynkę modlącą się do siatki z hipermarketu Tesco, co nie przeszkadza mu zarabiać kwot może i nieprzystających do zarobków Hirsta czy Koonsa, bo idących w setki tysięcy funtów, nie zaś miliony, cały czas jednak imponujących. Gdy oskarżono go o hipokryzję, na swojej stronie internetowej wysokie zarobki skomentował następująco: „To niesamowite, że wy, durnie, naprawdę kupujecie to gówno!".

Jednak fortuna partyzanta ze sprejem to dla niego coś więcej aniżeli finansowy komfort. Banksy nie osiada na laurach własnej sławy, która – jak sam twierdzi – go nie interesuje, bo – pisze w „Wall and Piece" – „tworzenie sztuki po to, by być sławnym, to jak wejść do restauracji, by skorzystać w niej z toalety". On tworzy sztukę w innym celu.

RYSUNEK ZA GŁOS

„Banksy – jak twierdzi jego marszand, Steve Lazarides – nie tylko spopularyzował sztukę graffiti w Wielkiej Brytanii, lecz także przez swoje emocjonalne i prowokacyjne prace sprawił, że jego generacja przestała być tak apatyczna i nieczuła jak kiedyś". Cóż, skompilowany z prostych, anarchistycznych i antywojennych ideałów morał prac Brytyjczyka z ostatnich dwóch dekad był faktycznie niezłym dla pokolenia dzisiejszych brytyjskich 40-latków budzikiem. Najgłośniej budzik ów zadzwonił dwa lata temu, gdy Banksy otworzył w dawnym kompleksie rozrywki Tropicana w Weston w hrabstwie Somerset wesołe miasteczko o nazwie Dismaland, czyli Disneyland w potwornym wydaniu. Wedle słów samego Banksy'ego był to „park konsternacji", a można w nim było zobaczyć atrakcje takie jak ognisko przeznaczone specjalnie do palenia książek, kasę pożyczkową dla małych dzieci (na kieszonkowe z pięciotysięcznym oprocentowaniem), wielką rzeźbę dyniowej karocy Kopciuszka zaraz po wypadku drogowym, otoczoną tłumem paparazzich, zrujnowany disnejowski zamek, wóz policyjny opatrzony adnotacją, że służy on wyłącznie do tłumienia manifestacji… Park został wybudowany tylko na wakacje, lecz zdążyło go odwiedzić kilkadziesiąt tysięcy osób, a koncerty zagrali tam Pussy Riot i – jakżeby inaczej! – Massive Attack. Nie wiadomo, czy budowa, sfinansowana przez Banksy'ego całkowicie z prywatnych środków, się zwróciła, podobnie jak nie wiadomo, ile kosztował ostatni pomysł Brytyjczyka, w którym granica między sztuką a polityką zatarła się na dobre.

„Wystarczy przesłać zdjęcie swojej karty do głosowania w dniu wyborów, w których głosowałeś przeciwko kandydatowi konserwatywnemu, i ten darmowy prezent zostanie do ciebie wysłany" – napisał Banksy na swojej stronie internetowej dzień przed ostatnimi wyborami na Wyspach. Obiecanym prezentem była grafika z limitowanej, nieprzeznaczonej do sprzedaży serii – kopia muralu z dziewczynką i uciekającym balonikiem w barwach brytyjskiej flagi. Akcja spaliła na panewce – brytyjska komisja wyborcza przypomniała Banksy'emu, że nielegalne jest i kupowanie głosów, i robienie zdjęć kartom do ich oddawania, z których każda ma unikalny numer seryjny. Jednak – jak podkreślają angielscy PR-owcy – tak czy siak świetnie zrobiła politycznemu entourage'owi grafficiarza.

Czy Banksy zdecyduje się w końcu zdjąć maskę i powiedzieć, że jest Robertem Del Nają, Robinem Gunninghamem albo kimś jeszcze innym? Wątpliwe. Jednak jeśli dalej ma ochotę przekraczać granicę między sztuką a polityką, to dobrze by było, żeby to zrobił.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1390f19820

FOT. ŁUKASZ PIECYK/REPORTER

Z Kacprem Nowakiem ps. Steve Nash, kompozytorem i producentem muzycznym
rozmawia Grzegorz Brzozowicz

DJ-e w filharmonii

GRZEGORZ BRZOZOWICZ: Jesteś dwukrotnym mistrzem świata w didżeingu, czyli miksowaniu na żywo muzyki odtwarzanej z płyt gramofonowych. Jednocześnie ukończyłeś akademię muzyczną w klasie fortepianu.

STEVE NASH: Moja mama jest pianistką. Zaczęła mnie uczyć gry na pianie, kiedy miałem sześć lat. Szybko się do tego zapaliłem, ale długo nie wiedziałem, czy chcę być muzykiem jazzowym, rozrywkowym czy wykonującym muzykę poważną. W liceum zdecydowałem się na kształcenie klasyczne i przed pięcioma laty ukończyłem Akademię Muzyczną w Łodzi. Z dzisiejszej perspektywy to miało sens. Szkolenie warsztatowe czy występy z orkiestrą bardzo mi pomogły w tym, co teraz robię.

Masz 27 lat. Dla twojej generacji naturalną muzyką był hip-hop. Czy słuchałeś go jako nastolatek?

Pochodzę z Częstochowy. Hip-hop był dla mnie czymś naturalnym. Dzięki starszej siostrze już w wieku siedmiu lat zacząłem słuchać Paktofoniki. To do mnie trafiało. Podobały mi się teksty, ale nie zawsze sama muzyka. Byli świetni DJ-e, tacy jak Bloom czy O.S.T.R., ale w polskim hip-hopie było też bardzo wiele ubogich produkcji. Już wtedy chciałem w tym wszystkim usłyszeć coś „ładniejszego". Zacząłem więc sam kombinować na komputerze.

Częstochowa, Łódź, aż w końcu osiadłeś w Toruniu.

To był przypadek. Mama zafundowała mi na urodziny warsztaty didżejskie w Olsztynie. Tam poznałem najlepszych mistrzów gry na gramofonach i okazało się, że większość z nich pochodzi właśnie z Torunia. Tydzień później przeniosłem się tam na stałe.

Ważną częścią tego, co robisz, jest technologia. Dzisiaj dzięki Internetowi i tanim programom muzycznym każdy może być artystą.

Rzeczywiście w sieci rośnie gąszcz marnych dźwięków. Mnie technologia pozwoliła na nauczenie dziewięciu DJ-ów teorii muzyki. Nauczyłem ich mówienia wspólnym językiem. Zaczęli kumać, że liczba taktów w programie komputerowym równa się liczbie taktów w klasycznej partyturze. Zrozumieli, że muszą wchodzić dokładnie tam, gdzie jest zapisane, bo jakiekolwiek opóźnienie rozwali utwór. Ta wiedza była konieczna, bo próby z orkiestrą symfoniczną nie należą do najłatwiejszych. Trzeba być totalnie skupionym, trzeba być zadaniowym. Kiedy dyrygent mówił: „Wchodzimy od 59. taktu", każdy z chłopaków wiedział, gdzie jest i co ma robić. Na ekranach mieli rozpisane własne partie, kolegów i orkiestry. Później to tak im weszło w krew, że dziś grają w sposób naturalny.

W jaki sposób powstawały utwory?

Najpierw tworzyłem utwór w komputerze, wgrywałem maszyny, syntezatory itd. Kiedy miałem szkielet kawałka, rozpisywałem go na partie i przydzielałem je poszczególnym DJ-om. Bity perkusyjne przerzucałem do specjalnej maszyny, do której bębniarz podłączał swoje sterowniki. Zarysowane schematy gry orkiestry wysyłałem do Anny Weber, studentki kompozycji Akademii Muzycznej w Poznaniu. Ona dodawała własne rozwiązania, aranżowała bity na orkiestrę i pisała partytury.

W projekcie bierze udział dziewięciu polskich mistrzów turntablizmu, czyli gry na gramofonach. Dlaczego akurat taka liczba?

Zacząłem moje podboje didżejskie w duecie. Ostatnie mistrzostwo świata zdobyliśmy w kwartecie. Dzięki temu, że jest nas tak wielu, jesteśmy w stanie wdrażać bardziej skomplikowane rzeczy. Początkowo komponowałem dla każdego oddzielnie, tak by chłopaki mieli co robić

eprasa.pl 1390f19820

w poszczególnych utworach. Teraz traktuję ich jak każdego innego instrumentalistę. Piszę im partie i wiem, że podczas koncertu każdy zagra coś znaczącego. Na koncertach hiphopowych DJ buduje klimat. Coś tam „przyszura" na płytach, zagra katy i skrecze oparte głównie na słowach… Generalnie gimnastykuje się przed swoim zestawem. Ja potraktowałem gramofon jako instrument melodyczny. Jeden z DJ-ów odgrywa partie trąbki, drugi jest wokalistą, trzeci basem, czwarty syntezatorem. Grając z osobna dziewięć melodii monofonicznych, wszyscy razem tworzą harmonię i współtworzą prawdziwy zespół instrumentalny.

Czy utwory skomponowane do projektu „Out of Fade" można porównać do klasycznych form muzycznych?

„Mazurek", którym rozpoczynamy koncert, jest inspirowany twórczością Karola Szymanowskiego i Fryderyka Chopina. Jest mocno polski, ale taki na przekór, bo mazurki są na trzy, a ja ten zrobiłem na cztery. „Fuga" dość jednoznacznie nawiązuje do twórczości Bacha. Komponując, trudno jest wyważać drzwi. Natomiast my to robimy poprzez formę samego koncertu. Te kompozycje od początku były pisane z myślą o orkiestrze symfonicznej i DJ-ach. Zawsze uwielbiałem grać z orkiestrą, bo ona ma paletę brzmień, dzięki którym można zagrać wszystko. Jeśli odejmiesz DJ-ów, to się robią instrumentalne utwory kwintetowe; jeśli odejmiesz orkiestrę, to zostają współczesne hiphopowe bity.

Świat muzyki klubowej i filharmonicznej dzieliła dotąd przepaść. Zapewne niełatwo było zespolić te dwa środowiska.

Klasyczni DJ-e są na scenie wyluzowani, wiele rzeczy odczuwają ciałem. Moim musiałem wpoić nowy język wyrazu. W końcu uświadomili sobie, że może lepiej jest stać spokojnie na scenie, bo to ma wpływ na precyzję, z jaką poruszają talerzem i suwakiem na mikserze. Jednak nie wszyscy muzycy z orkiestry byli entuzjastycznie nastawieni. Niektórzy podczas prób chcieli wyjść z sali, bo uważali, że ta muzyka jest nie dla nich, że wywołuje w nich ból.

W końcu wszystko się udało, a ty zasiadłeś za fortepianem ubrany w garnitur.

Kiedy przez dwa–trzy lata byłem czynnym DJ-em, strasznie mi brakowało, że podczas koncertu nie mogę założyć garnituru i ładnie się ukłonić publiczności. Moi kumple muzycy nigdy tego nie przeżyli. Może założyli garnitur podczas komunii świętej, a potem podczas bierzmowania, i to było wszystko. Nie chcieliśmy kreować się na luzaków, występować w skórach, olewać wszystkiego i wszystkich wokół. Mieliśmy świadomość, że połowa widowni nigdy nie była w filharmonii, a druga połowa nie zetknęła się z clubbingiem. Chcieliśmy wykonać te utwory tak, jak jest przyjęte podczas koncertu muzyki klasycznej, dlatego ja występuję w garniturze, a oni mają jednolite stroje.

Twój projekt koncertu filharmoników z DJ-ami przypomina mi moment, w którym pojawił się rock progresywny, który ponad przekaz i spontaniczność stawiał wirtuozerię i rozbudowane formy muzyczne.

Rozwój jest czymś naturalnym. Gdy zrobiłem koncert z orkiestrą, tą drogą podążył też Jimek (Radzimir Dębski – przyp. G.B.), a O.S.T.R. pojechał w trasę z orkiestrą kameralną. Granie z orkiestrą jest dla DJ-ów zaszczytem i oni tego nie ukrywają. Z pomysłu na jeden koncert zrodził się spektakl, którego nieodzownym elementem są wizualizacje, odpowiednie oświetlenie i nagłośnienie.

Podczas koncertu „Out of Fade" DJ-e grają z płyt gramofonowych, ale nie zauważyłem, by je zmieniali…

Korzystamy z nowoczesnego systemu odtwarzania – Digital Vinyl. Wynaleziono go 10 lat temu i stale jest unowocześniany. Opiera się na wykorzystaniu płyty gramofonowej, tylko na niej nie jest nagrana muzyka, lecz kody czasowe, które w komputerze uruchamiają pliki muzyczne. To znacznie usprawnia pracę. Dawniej DJ-e wybierali z płyt fragmenty muzyczne, nagrywali całość na taśmę, którą oddawali do tłoczni. Z tak przygotowanej płyty gramofonowej grało się na koncertach. Łatwo było o błąd w zgraniu czy mechaniczne uszkodzenie krążka. Teraz mało kto gra z klasycznych winyli.

Do czego byś porównał dzisiejszy gramofon w rękach DJ-a?

To instrument bardzo podobny do skrzypiec. Gdy położymy palec na gryfie skrzypiec i przesuniemy go w dół lub w górę, mamy płynne przejście między jednym dźwiękiem a drugim. Na fortepianie tego nie uzyskamy. A na gramofonie tak. Za pomocą suwaka możemy przyspieszać lub zwalniać obroty płyty, dzięki czemu dźwięk będzie wyższy lub niższy.

Ile kosztuje nowoczesny sprzęt didżejski?

To jest droga zabawa. Pierwszą maszynę rytmiczną kupiłem za 2 tys. zł. Teraz zestaw złożony z dwóch gramofonów i miksera to jest wydatek rzędu 12–15 tys. zł. Do tego trzeba doliczyć koszt zakupu sampli, programów do tworzenia i miksowania muzyki, zestawów z nowymi brzmieniami… To jest niekończąca się inwestycja. Nie jestem ortodoksyjnym DJ-em, który uznaje tylko sample wyszukane z płyt. Tworzę własne partie, chodzę po mieście i nagrywam różne dźwięki, łączę w procesie twórczym różne techniki i technologie. Dzięki temu jest to moja muzyka, a nie przetworzone pomysły innych twórców.

Czego nauczyło cię to przedsięwzięcie?

Od lat pracuję jako producent muzyczny, ale przy tym projekcie odpowiadam nie tylko za chłopaków, lecz także za 50-osobową orkiestrę. Nie siedzę w głowach tych ludzi, ale muszę stwarzać atmosferę, która mobilizuje ich do pracy. Tak by i oni byli dla mnie wsparciem. Nie ominęły nas złe doświadczenia. Było wiele kłótni, w wyniku których zmienił się skład DJ-ów. Podczas koncertów mieliśmy usterki techniczne, które na moment postawiły projekt pod znakiem zapytania. A teraz nawet jakby nam prąd wyłączyli, to też byśmy zagrali, tyle że ciszej. Odpowiedzialność to jest świadomość możliwości zaistnienia każdej sytuacji. Dzisiaj wiem, że mam takich muzyków, którzy mogą pociągnąć ten projekt nawet, kiedy nie mógłbym sam wyjść na scenę. Wiem, że teraz jesteśmy w stanie wykonać wszystko. Jeśli bym dostał propozycję przygotowania „Czterech pór roku" Vivaldiego, tobym tylko zapytał, ile mamy na to czasu. Zrobilibyśmy to w sposób, w jaki nikt dotychczas tego nie zrobił. To nie byłaby ściema, tylko wykonanie Vivaldiego wedle wszelkich klasycznych kanonów. Po naszym pierwszym koncercie ludzie wstali i bili brawo przez 20 minut. To był dowód, że obroniła się nasza koncepcja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Płyta „Out of Fade" stanowi zwieńczenie trzyletniego nowatorskiego projektu, który połączył muzykę klasyczną i turntablizm. Wzięli w nim udział Orkiestra Kameralna Cosmopolis, dziewięciu DJ-ów, perkusista, basista oraz lider Kacper Nowak, znany lepiej pod pseudonimem Steve Nash.

eprasa.pl 1390f19820

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Mistrz kierownicy znowu ucieka

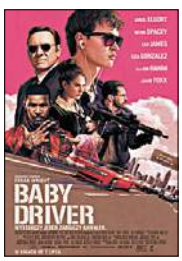

★★★★★☆

REŻ. EDGAR WRIGHT „BABY DRIVER" USA/WIELKA BRYTANIA 2017

wyst. Ansel Elgort, Kevin Spacey, Lily James

W czasach, kiedy Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej, słuchaczy „Lata z Radiem" katowano utworem „OK Chicago". Z plażowych głośników dobiegały odgłosy strzałów, pisku opon i policyjnych syren. Tytułowe „OK", wygłoszone dźwięcznym barytonem, wskazywało, że nie jest to przebój anglosaskiej proweniencji. Z filmem „Baby Driver" rzecz ma się podobnie. Tak brawurowej apoteozy wolności, rozumianej jako łamanie wszystkich możliwych przepisów ruchu drogowego, nie dałby rady popełnić rodowity jankes.

Edgar Wright podszedł do sprawy nietypowo. Najpierw ułożył ścieżkę dźwiękową, a dopiero potem dopasował do niej fabułę. Mamy więc do czynienia ze składanką teledysków albo – jak mawiano w epoce rocka progresywnego – concept albumem. Brytyjski reżyser didżejem jest przednim: czyż napad, dokonywany w rytm „Bellbottoms" albo „Neat, Neat, Neat", może zakończyć się fiaskiem?

Scena otwarcia, kręcona w jednym ujęciu, wbija w fotel. Jednak gdy akcja zwalnia, Wright trochę się gubi. Głównemu bohaterowi daleko do Ryana Goslinga z „Drive". Baby jest sierotą, lecz ma aż dwóch przybranych ojców: poczciwego kalekę i gangstera Doca, który wystawia mu rekomendację: „To dobry chłopak i szatan za kółkiem". Ponoć ledwie sięgał kierownicy, a już gnał przez miasto z prędkością 210 km/godz. Niestety, dzieciak wyjęty z auta traci właściwości. Wyróżnia go z tłumu tylko pasja do potajemnego nagrywania bliźnich. Wybranka, upozowana na dziewczynę z sąsiedztwa, jest równie bezbarwna.

Na szczęście drugi i trzeci plan wyszedł Wrightowi o niebo lepiej niż pierwszy. Właściwie każdy, kto pojawia się przed kamerą, dostał do odegrania wdzięczne solo. Tak stylowych przestępców (od wspomnianego Doca zaczynając, na upadłej Darling kończąc) rzadko widuje się na ekranie. Jako scenarzysta Brytyjczyk nie próbuje silić się na oryginalność. „Baby Driver" to film autoironiczny. Pełno w nim cytatów z klasyki gatunku. Gdy bohater zatrudnia się jako rozwoziciel pizzy, dla fabuły nic z tego nie wynika. To tylko oko puszczone do fanów „Szybkich i wściekłych".

Elgort, po występach w „Niezgodnej" i „Gwiazd naszych wina", został idolem nastolatek. Teraz pewnie zapunktuje u chłopaków. Któż z nas bowiem nie marzył, by dać gaz do dechy i pozostawiając daleko w tyle problemy rodzinne oraz zawodowe, odjechać w stronę zachodzącego słońca w towarzystwie sympatycznej kelnerki? Gdyby jakiś nasz reżyser chciał pójść w ślady Wrighta, mam dla niego odpowiednią piosenkę: „Niech żyje wolność, wolność i swoboda. Niech żyje zabawa i dziewczyna młoda". ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „DUNKIERKA"

Christopher Nolan, twórca „Incepcji" i „Interstellar", odchodzi od fantastyki, ale zostaje przy wielkich widowiskach. Jego „Dunkierka" to jedna z najbardziej oczekiwanych premier lata. W głównych rolach pojawią się Tom Hardy i Cillian Murphy. Film ukazuje słynne wydarzenia z trzech punktów widzenia – żołnierzy na brzegu, cywili pomagających marynarce w ewakuacji oraz lotników RAF. ©℗ *Piotr Gociek*

- *„Dunkierka" („Dunkirk"), reż. Christopher Nolan, wyst. Tom Hardy, Cillian Murphy, Kenneth Branagh, USA 2017*

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- *„Kapitan Majtas: Pierwszy wielki film", reż. Rob Letterman, USA 2017*
- *„Paryż może poczekać", reż. Eleanor Coppola, USA 2016*
- *„Sława", reż. Kristina Grozeva, Grecja/Bułgaria 2016*
- *„Alibi.com", reż. Philippe Lacheau, Francja 2017*

eprasa.pl 1390f19820

Ślimaki w lawendzie

Myśleliście, że francuska kuchnia nie uznaje odgrzewanych dań? Tkwiliście w mylnym błędzie. Takim sloganem powinien być reklamowany ten film. Jednak nawet w dziale promocji zwyciężyła rutyna. Wybrano hasło: „Chwytaj życie, kochaj chwilę!" (a może odwrotnie). Z obsadą problemów nie było. Alec Baldwin, nawet obudzony w środku nocy, potrafi zagrać nudnego męża. Diane Lane wychodziła z kryzysu wieku średniego pod słońcem Toskanii, więc z Prowansją też jej do twarzy. Tylko Yves Montand nie odebrał telefonu, więc trzeba było zatrudnić zmiennika. Przykro to pisać, lecz Viard dał ciała. Jego Jacques jest irytujący.

★★★☆☆☆
REŻ. ELEANOR COPPOLA
„PARYŻ MOŻE POCZEKAĆ" („PARIS CAN WAIT")
USA 2016

wyst. Diane Lane, Arnaud Viard, Alec Baldwin

Mimo ostatnich zamachów stolica Francji wciąż jest oblegana przez przyjezdnych, więc postanowiono przynajmniej część z nich skierować na prowincję. Paryż może poczekać, wybierzcie się na południe! Romańskie opactwa, pyszne żarcie i bajkowe miasteczka czekają, aż ktoś je odkryje. Ile Francuska Agencja Rozwoju Turystyki dołożyła do budżetu filmu, nie wiadomo. Można jednak sądzić, że była to sumka wystarczająca na zakup piwnicy, pełnej beczek Châteauneuf-du-Pape. Jako reżyser figuruje 81-letnia żona Francisa Forda Coppoli. Wydaje się, że mogła z tym debiutem jeszcze trochę poczekać. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WŁOSKA ROBOTA

★★★★☆☆
REŻ. CHAD STAHELSKI
„JOHN WICK 2" („JOHN WICK: CHAPTER TWO")
USA 2017, MONOLITH

wyst. Keanu Reeves, Ruby Rose, Ian McShane, Laurence Fishburne

„Spójny wizualnie, wartki i energiczny, natomiast przemoc wylewa się z niego w sposób znany z gier komputerowych – klik i następny zły gość pada trupem" – pisałem dwa lata temu o filmie „John Wick" i to samo mogę napisać o jego kontynuacji. To bardzo zręczna zabawa w kino – kino B, ale nakręcone w stylistyce luksusowych reklam. Zawodowy kiler, którego poznaliśmy w części pierwszej (wytłukł własnoręcznie cały rosyjski gang, mszcząc się za zabitego pieska), tym razem wyrusza do Włoch. Chociaż chciałby pozostać na emeryturze, to nie może, bo jest winien jedną, ostatnią przysługę (pieczętowaną krwią) bossowi 'ndranghety (mafii z Kalabrii). Włoskie pejzaże, hotele i moda ładniejsze są od nowojorskich, więc i druga część przygód Johna Wicka jest ładniejsza (choć równie mordercza). Keanu Reeves prezentuje się znakomicie, czarnego humoru jest więcej niż w jedynce (polecam scenę u „sommeliera"), mamy cameo Franco Nero. Część trzecia zdaje się nieunikniona.

BYŁ SOBIE KOT

★★★☆☆☆
REŻ. ROGER SPOTTISWOODE
„KOT BOB I JA" („A STREET CAT NAMED BOB")
USA 2016, IMPERIAL

wyst. Luke Treadaway, Bob The Cat, Ruta Gedmintas

Kot jest lepszy od metadonu, a bestseller można wykroić ze wszystkiego – oto lekcja z filmu „Kot Bob i ja". Historia bowiem mniej więcej wydarzyła się naprawdę pewnemu ulicznemu grajkowi z Londynu. W czasie, gdy kolejny raz walczył z uzależnieniem, u jego boku pojawił się rudy kocur, który odmienił jego życie. Odrobina poczucia odpowiedzialności za jakieś inne, choćby kocie istnienie okazała się impulsem, który popchnął Jamesa Bowena we właściwym kierunku. Potem jego historia trafiła do gazet, by wkrótce zamienić się w książkę, książka zaś w film hollywoodzkiego weterana Rogera Spottiswoode'a („Jutro nie umiera nigdy", „Szósty dzień", „Turner i Hooch"). To zgrabna opowiastka ku pokrzepieniu serc, która bezwstydnie żeruje na kocim uroku i naszym pragnieniu, by wszystko kończyło się dobrze (Bowen na Bobie zarabia do dziś, przerabiając wspólne przygody na książeczki dla dzieci). ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

GRA TYGODNIA: „GET EVEN"

„Polak potrafi" – w przypadku gier komputerowych już dawno przestało być pustym sloganem marketingowym, natomiast stało się stwierdzeniem faktu. Nasi programiści, scenarzyści i graficy potrafią tworzyć nie tylko gry dobre, lecz także nowatorskie i zapadające w pamięć. Właśnie takie jest „Get Even" – mieszanka FPS-a, thrillera psychologicznego i detektywistycznego śledztwa we... własnych wspomnieniach. Pewnego dnia budzisz się w opuszczonym psychiatryku, nie wiesz dlaczego i nie wiesz, dokąd masz iść. Pamiętasz tylko o dziewczynie z bombą zegarową.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

Uratowałeś ją, a może zginęła przez ciebie? Warto przekonać się samemu.

©℗ ***Marcin Makowski***

- ***Gatunek:*** *FPS*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *The Farm 51/Cenega*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *16+*

eprasa.pl 1390f19820

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Mały wielki człowiek

Wydaną właśnie „Płomienną koroną" zamknęła Elżbieta Cherezińska trylogię „Odrodzone królestwo", zapoczątkowaną pięć lat temu „Koroną śniegu i krwi", ukazującą losy Przemysła II, pierwszego króla polskiego po trwającym dwa stulecia rozdrobnieniu państwa. Druga część trylogii, „Niewidzialna korona", przedstawiała początki starań i walk Władysława Łokietka o polski tron. W obecnie wydanym, liczącym prawie tysiąc sto (!) stron, ostatnim tomie „Odrodzonego królestwa" dalej obcujemy z Łokietkiem i jemu współczesnymi, nie tylko na ziemiach polskich, lecz także w całej Europie, głównie w Czechach, gdzie królem zostaje Jan Luksemburski, tytularnie również król Polski, co wywołuje poważne reperkusje zakończone dopiero wykupieniem od niego przez syna Łokietka, Kazimierza Wielkiego, prawa do korony polskiej za gigantyczną kwotę 20 tys. kop groszy praskich. To jednak będzie później, trylogię finalizuje bowiem koronacja Łokietka i jego małżonki: Władysława I i Elżbiety I. A prologiem do historii opowiedzianej w „Płomiennej koronie" jest… zdobycie Akki, stolicy Królestwa Jerozolimskiego, przez mameluków w roku 1291, upadek ostatniego miasta krzyżowców w Lewancie.

Czy Łokietka z powieści Elżbiety Cherezińskiej da się polubić? Niekoniecznie, ale on tu nie jest do lubienia, za to do szanowania jak najbardziej. Jedna z powieściowych postaci, zresztą córka Henryka Pobożnego, powiada, że „jest w nim ogień, który pociąga ludzi. Popełniał błąd za błędem i za każdy zapłacił. Ale odbija się od dna coraz silniejszy. Synowie mu umierają, płodzi kolejnych. Bitwy przegrywa, to staje do nowych. Traci sprzymierzeńców, znajduje następnych. Nie ma prezencji dębu, ale jest jak trawa, nie do zadeptania".

Elżbieta Cherezińska pokazuje Łokietka z różnych perspektyw FOT. FORUMGWIAZD.COM.PL

A jak wyglądał? Tak jak u Matejki, a może jednak inaczej? „Niski, jak na mężczyznę, nawet mały, ale nie karzeł […]. Twarz poważna, przecięta pionowymi bruzdami, kwadratowy podbródek z upartym wgłębieniem. Ciemne, siwiejące włosy, lekko kręconymi puklami spadały mu na ramiona".

Jeśli wierzyć autorce, to on sam uważał się za krótkiego, nawet za nazbyt krótkiego, tyle że w zupełnie innym sensie: „Jestem za krótki […]. Nie sięgam do granic Królestwa. Strzegąc południa przed zamieszkami na Rusi, nie upilnowałem północy. Piekielni Krzyżacy! Uśpili moją czujność gładką gadką. Czułem, że nie można im ufać, że wpuszczam wilki do owczarni, ale co miałem robić, u diabła, skoro tam już były drapieżniki? Chciałem brandenburskie bestie wygryźć wilkami w białych płaszczach, tymczasem ucierpiały gdańskie owce".

Elżbieta Cherezińska i Łokietka, i inne ważne w jej narracji postaci pokazuje z wielu punktów oraz różnych perspektyw, trudno więc o jednoznaczną ocenę Małego Księcia, który stał się królem nie wielkim może, ale ważnym w naszych dziejach. „Płomienna korona" pozwala bardzo plastycznie wyobrazić sobie, co by mogło się stać, gdyby zabrakło determinacji Łokietka, pragnącego scalić ziemie polskie pod swoim berłem. Pod rządami Jana Luksemburskiego byłoby nam pewnie bliżej do Europy, ale jako państwu, no właśnie, jakiemu? Może po prostu – zastanawia się pisarka – „Jan Luksemburski zrealizowałby swoje prawa do polskiej korony i stalibyśmy się częścią czeskiego władztwa? Jeśli tak, to na jak długo?".

Czarno na białym ukazane jest w powieści niebezpieczeństwo, jakie kształtującemu się dopiero państwu polskiemu groziło z Pragi. Gdzie, swoją drogą, na początku XIV w. działo się w polityce, oj, działo. Po szczegóły odsyłam do książki.

Jeśli czegoś brakuje mi w „Płomiennej koronie", to bohaterów w rodzaju Borutki, postaci fikcyjnych, niekrępujących powieściopisarki swoimi życiorysami. Kiedy bowiem autorka zmuszona jest do prezentowania wydarzeń historycznych, niekończące się dialogi, w które fakty te są wpisane, zaczynają nużyć. Z kolei elementy fantastyczne, np. o ludziach smokach, ani nie ziębią mnie, ani nie grzeją.

Najważniejsze jest co innego. W posłowiu autorka wprost zapowiada, że nie rozstaje się ze swoimi bohaterami. Tak że choć trylogia „Odrodzone królestwo" się skończyła, przyjdzie nam pewnie niebawem znów spotkać się na kartach powieści Elżbiety Cherezińskiej z królewskimi dziećmi Władysława Łokietka – Elżunią (królową Węgier) i Kaziem. I oczywiście z ich ojcem. W końcu jego koronację od bitwy pod Płowcami dzieliło ponad 10 lat. Lat nieopowiedzianych jeszcze w tej napisanej na nowo, miejscami porywającej powieściowej wersji historii Piastów. ©℗

★★★★★☆

ELŻBIETA CHEREZIŃSKA „PŁOMIENNA KORONA"
ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2017

eprasa.pl 1390f19820

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wojna jest kobietą

Fosforyzujące broszki noszono, by być lepiej widocznym podczas zaciemnienia. Paski w potrzebie pleciono i ze sznurka. Podeszwy i obcasy wolno było wykonywać jedynie z drewna lub gumy – tak mówiło obwieszczenie władz okupacyjnych. Mosiężne pierścionki z motywem kraty kupowano, bo dochód z ich sprzedaży był przeznaczony na pomoc dla więźniów Pawiaka.

O wszystkich tych rzeczach przypomina starannie wydana książka Joanny Mruk „Moda kobieca w okupowanej Polsce".

„Tłumy na ulicach były nędzne. Wojna pozostawiła na nas swoje piętno. Wszyscy poszarzeliśmy i stanowiliśmy nieprzyjemny kontrast z najeźdźcami" – wspomina jedna z cytowanych przez autorkę mieszkanek okupowanej stolicy. „Miałam w domu szafę pełną ubrań, ale nie śmiałabym ubrać się elegancko i wyróżniać spośród ludzi, którzy często wszystko stracili". Jednocześnie z rąk do rąk krążyły zagraniczne żurnale, ukazujące się, mimo wojny, choćby we Francji. Nowe ubrania i buty dostępne były tylko na kartki, a mimo to Polki chadzały w nowych kreacjach, bo wynalazczość kobiety w potrzebie nie ma granic. Pensje były głodowe i dorabiać trzeba było handlem, a jednocześnie kwitł czarny rynek, na którym trafiały się także towary luksusowe.

Opowieść utkana jest z kontrastów, sprzeczności, danych statystycznych, fragmentów dzienników i wspomnień, fotografii oraz rysunków z epoki (prasowych ilustracji, wykrojów, instrukcji „Jak uszyć fartuch"). To cenne uzupełnienie naszej wiedzy o życiu codziennym Polski pod niemieckim panowaniem. Aby dobrze objaśnić naturę zmian (na gorsze), Joanna Mruk wprowadza nas na początku w świat mody II RP, poświęca też trochę miejsca temu, jak długo po zakończeniu wojny przetrwały pewne charakterystyczne dla okupacji obyczaje. W tym ostatnim zresztą nic dziwnego, w końcu jedną gospodarkę niedoboru zastąpiła inna. A nawet gdyby komuniści byli mistrzami zarządzania, to w zrujnowanej wojną Polsce powrót z dnia na dzień do normalnego, zasobnego życia nie był przecież możliwy. Zmagały się z tym też kraje bogatsze i dużo mniej zniszczone (o czym świadczy choćby to, jak długo przetrwał system kartkowy w Wielkiej Brytanii).

Książka Joanny Mruk to piękny hołd dla pomysłowości, hartu ducha i nieustępliwości polskich kobiet próbujących stworzyć namiastkę normalnego życia w czasach pogardy. A jednocześnie krótki kurs historii wymuszonej nowoczesności: kobiety w spodniach, przechadzki bez kapelusza, nowe praktyczniejsze fryzury. Zmiany, zmiany, zmiany. ©℗

★★★★★★

JOANNA MRUK
„MODA KOBIECA W OKUPOWANEJ POLSCE"
KSIĘŻY MŁYN 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Wstrząsająca powieść jednej z najważniejszych afrykańskich pisarek. Akcja rozgrywa się podczas secesji Biafry (koniec lat 60.), wojny, którą w swym debiutanckim reportażu „Słowo białego człowieka" uwiecznił Frederick Forsyth.

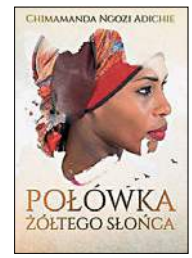

CHIMAMANDA NGOZI ADICHIE
„POŁÓWKA ŻÓŁTEGO SŁOŃCA"
ZYSK I S-KA

Szesnaście opowieści, ale portretów więcej, bo niektóre zbiorowe. Kobiety z polskiej demokratycznej opozycji, działaczki Solidarności, Solidarności Walczącej, niezależnego ruchu chłopskiego. Pasjonująca lektura.

AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL
„DZIEWCZYNY Z KONSPIRY"
ZONA ZERO

Świat drży w posadach, upada Ameryka, Rosja w opałach, Europa się rozsypuje. Polska wykorzystuje dziejową szansę, realizując ideę Międzymorza. Trzeci tom cyklu „Armagedon" znanego autora powieści alternatywnych i militarnych.

VLADIMIR WOLFF
„TRZECIA SIŁA"
WARBOOK

Kolejny tom cyklu o komisarzu Brunettim (szybko poszło, to już część nr 23) – czyli o tym, jak okradziono słynną wenecką bibliotekę i dlaczego wszystko skończyło się morderstwem. Idealna propozycja na lato. ©℗

poleca Piotr Gociek

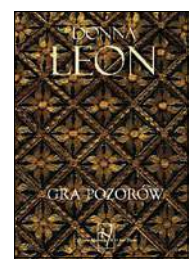

DONNA LEON
„GRA POZORÓW"
NOIR SUR BLANC

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Paula Hawkins „Zapisane w wodzie" (Świat Książki) – nowa powieść autorki największego bestsellera ostatnich lat, czyli „Dziewczyny z pociągu". Słaba.***
2. ***Anna Kamińska „Wanda. Opowieść o sile życia i śmierci" (Wydawnictwo Literackie) – biografia najsłynniejszej polskiej alpinistki, pierwszej Europejki na szczycie Mount Everestu.***
3. ***Jay Asher „Trzynaście powodów" (Rebis) – śmierć nastolatki objaśniana przez nią samą na taśmach pozostawionych po samobójstwie. Także serial Netflixa.***
4. ***William P. Young „Chata" (Nowa Proza) – bestseller ewangelizacyjny: ponad 20 mln egzemplarzy sprzedanych na całym świecie. Ojciec obwiniający się o śmierć dziecka spędza weekend z Trójcą Świętą.***
5. ***Katarzyna Michalak „Czerwień jarzębin" (Znak) – bestseller literatury kobiecej, drugi tom „Leśnej Trylogii".***

(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarskiej BookBook)

eprasa.pl 1390f19820

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Bronię źródeł

Sebastian Karpiel-Bułecka FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

Kiedy w 1994 r. tworzyliśmy w TVP1 „Swojskie klimaty", nieocenioną pomoc okazało nam Radiowe Centrum Kultury Ludowej. Dzięki redaktorom RCKL udało się zaprezentować muzykę źródeł jako fascynujący obszar kultury narodowej w sposób dotąd w telewizjach niespotykany.

Jestem dumny, że choć w niewielkim procencie uczestniczyłem w przedsięwzięciu, które zaowocowało kulturową zmianą. Jeszcze nikomu się nie śniło o sukcesach braci Golców, Sebastiana Karpiela-Bułecki czy Brathanków. W klubie Riviera-Remont pierwsze kroki stawiał Dom Tańca. Potem RCKL zorganizował festiwal Nowa Tradycja – przestrzeń startu dla młodych, folkowych artystów. W tym czasie zapaleńcy, pasjonaci – z Andrzejem Bieńkowskim, Januszem Prusinowskim, Remigiuszem Hanajem na czele – jeździli już na wieś, dokumentując, ucząc się, a przede wszystkim budując środowisko przekazu żywej tradycji, rekonstruktorów wiejskiej muzyki. Ich odkrycia upowszechniały audycje radiowej Dwójki. Bez RCKL praca pasjonatów, badaczy, rekonstruktorów nie byłaby tak skuteczna.

W minionym dwudziestoleciu Program II Polskiego Radia wypracował wyjątkową w polskich mediach przestrzeń. Na jednej antenie znakomicie współgrają właśnie folklor, muzyka klasyczna, współczesna, opera, jazz i wspaniale prezentowana muzyka dawna. Dzisiaj uniwersalny i cenny charakter Dwójki jest zagrożony. Planowane przez zarząd radia zmiany ramówki marginalizujące obecność muzyki źródeł likwidują wypracowany balans i brzmienie anteny. Zmiana stałych godzin nadawania audycji o takim zasięgu, które jako jedyne prezentują polską muzykę tradycyjną, to decyzja szkodliwa, niezrozumiała, a wizerunkowo dla zarządu radia fatalna.

Media publiczne mają obowiązek promocji i prezentacji narodowej kultury. Wiejska muzyka jest naszym niematerialnym dziedzictwem. Oprócz troski o historię i pamięci o bohaterach właśnie folklor należy do najcenniejszych elementów tożsmości. Nie rozumiem, dlaczego muszę to przypominać właśnie temu zarządowi. ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Jubileusze

50 lat temu ukazał się „Sierżant Pieprz" Beatlesów, 30 lat temu „The Joshua Tree" U2, a przed 20 wiosnami pojawił się „OK Computer". Te tytuły są symbolami czasów, w jakich powstawały, i pokoleniowymi wyznacznikami.

„OK Computer" wywindował Radiohead do pozycji megagwiazdy (nr 1 w Anglii, trzy single w Top 10, 2 mln egzemplarzy sprzedanych w USA). W czasach britpopowej zabawy Thom Yorke zadumał się nad własnymi neurozami i depresją ogarniającą korporacyjny świat. Porzucił śpiewanie pełnym głosem i dzięki mamrocząco-jęczącym wokalizom stworzył postać wrażliwca balansującego na samobójczej krawędzi. Zespół w sposób nadzwyczaj twórczy wkomponował do swojej muzyki nowinki ze świata elektroniki, hip-hopu, a nawet twórczości Pendereckiego i stworzył album wyprzedzający swój czas.

Edycja jubileuszowa została wzbogacona o B-strony singli i trzy niepublikowane piosenki: piękny hymn „I Promise", melodramatyczną „Man of War" powstałą z myślą o filmie „The Avengers" i nostalgiczną „Lift" ze staromodnym brzmieniem syntezatora Korga w tle.

Płyta Radiohead była prawdopodobnie ostatnią, której ukazanie się zelektryzowało ogół fanów rocka. W drugiej połowie XX w. rock definiował kulturę popularną. Teraz już nie. Dlatego wydawcy kochają jubileusze, by sprzedać ten sam towar w nowym opakowaniu. Luksusowa winylowa wersja „OK Computer" zawiera trzy płyty i waży 1 kg! ©℗

★★★★★★
RADIOHEAD
„OK COMPUTER/ OKNOTOK 1997–2017"
XL

★★★★★☆
MAREK GAŁĄZKA & ZESPÓŁ
„PISTOLET W DŁONI OJCA"
FUNDACJA PO DRODZE

Ceniony interpretator poezji Stachury nagrał gorzki osobisty album. Słychać na nim Dylana, a także Cave'a. Teksty chwytają za gardło. Młodzi trójmiejscy muzycy nadali płycie nowoczesne brzmienie. ©℗

★★★★★☆
ARCA
„ARCA"
XL

28-letni Alejandro „Arca" Gheris zachwycił na tegorocznym Open'erze. Jego trzecia płyta przypomina porywający dźwiękowy teatr na operowy głos i elektronikę. Z talentu Wenezuelczyka skorzystali m.in. Björk i Kanye West. ©℗

eprasa.pl 1390f19820

Czarną pobiedą po Wrocławiu

Czarna wołga – którą podróżował tajemniczy wampir, wcielenie Szatana, imperialistyczny agent, krwiożerczy komunista (w zależności od przekonań) porywający małe dzieci, względnie wysysający z nich krew – siała przerażenie na ulicach PRL-owskich miast i urosła do roli jednej z miejskich legend. Ba, niczym upiory ze słowiańskich wierzeń, odnalazła się w twórczości „ludowej". Konkretnie w jednym z utworów Kasi Nosowskiej śpiewającej: „Nie strasz mnie/ Nie boję się/ Czarów, klątw/ Biurowych mątw/ [...] Matki, siostry i psa, ojca z zaświatów i lwa/ I czarnej wołgi".

Straszliwy „demon" spędzający sen z oczu matkom i ojcom, milicjantom oraz ubekom znów powraca – tym razem pod postacią czarnej pobiedy (po 1951 r. znanej Polakom jako samochód Warszawa), która nocami krąży po ulicach Wrocławia. W pobliżu miejsc, gdzie się pojawia, wrocławianie znajdują pozbawione krwi zwłoki ofiar, a na domiar złego w stolicy Dolnego Śląska uaktywnia się tajemnicza i groźna sekta szukająca zaginionych w czasie wojny relikwii przedwojennego Breslau. Gdy milicjanci i ubecy bezradnie rozkładają ręce, na trop tajemniczej Pobiedy i zbrodniarzy wpadają majster, student, staruszek i dociekliwy funkcjonariusz MO.

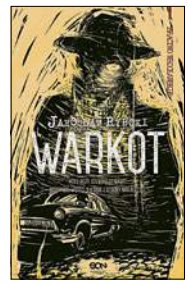

JAROSŁAW RYBSKI „WARKOT" PREMIERA: 19 LIPCA 2017, SINE QUA NON

A wszystko to w książce Jarosława Rybskiego „Warkort" – całkiem udanej powieści kryminalnej, której akcja toczy się we Wrocławiu czasów stalinowskich. Kto pamięta i zaczytywał się wydawanymi w PRL „czarnymi kryminałami" z serii „z jamnikiem" albo „kluczykiem", całkiem niezłymi jak na tamte czasy i nie zawsze gloryfikującymi ludową władzę i komunistyczny system, z lektury „Warkotu" Rybskiego będzie całkiem zadowolony. Autorowi udaje się bowiem nieźle odzwierciedlić zarówno klimat lat 50., jak i styl peerelowskich kryminałków, udanie mieszając czarny kryminał z elementami literackiej fantasy i doprawiając humorem w nienajgorszym stylu. Jest tajemnica, odrobina mistycyzmu, bohaterowie bynajmniej nie szablonowi, wartka akcja, sprawnie skonstruowane dialogi i zaskakująca puenta.

A jeśli ktoś w ostatnim czasie miał nieszczęście oddać się lekturze „Inwazji" Wojciecha Miłoszewskiego i po lekturze tego wykwitu nieudolnej, infantylnej grafomanii popadł w depresję tudzież zafrasował się poziomem polskich pisarzy, tym bardziej powinien sięgnąć po „Warkot" Rybskiego. I chociaż jeszcze nie jest to powieść na miarę Mroza, Komudy czy Dębskiego, przekona się, że polskich twórców da się czytać.

Wojciech Wybranowski

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

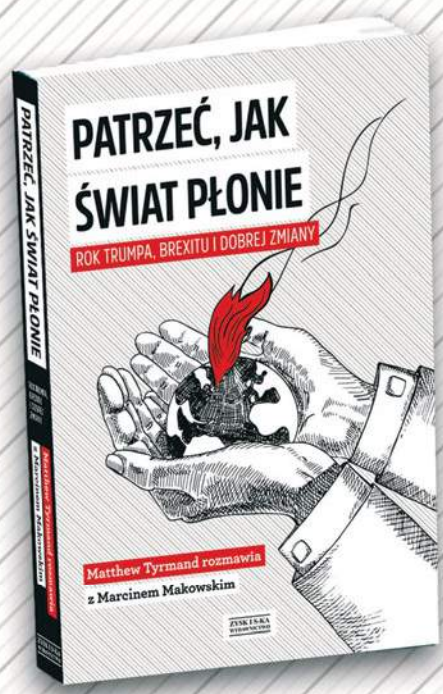

PATRZEĆ, JAK ŚWIAT PŁONIE

ROK TRUMPA, BREXITU I DOBREJ ZMIANY

— MATTHEW TYRMAND ROZMAWIA Z MARCINEM MAKOWSKIM

Nie zawsze się zgadzamy, ale Matthew Tyrmand to autor bardzo interesujący, niekiedy frapujący. Wojownik pióra i nie tylko pióra. Mogę powiedzieć jedno: warto przeczytać. Nawet jeśli ktoś będzie zgrzytał zębami, co i mnie się zdarzyło, to jednak warto, bardzo warto.

JAROSŁAW KACZYŃSKI

patronat medialny

ZYSK I S-KA WYDAWNICTWO

eprasa.pl 1390f19820

prof. Andrzej Nowak

My chcemy Boga

Nie prosili o bogactwa. Nie prosili o przywileje. Słowami pieśni wypowiedzieli trzy proste słowa: My chcemy Boga". Te trzy proste słowa przypomniał w Warszawie prezydent Stanów Zjednoczonych. Ktoś może zauważyć, próbując zdezawuować te słowa, ich znaczenie, że wypowiedział je amerykański miliarder, który korzystał z wielu przywilejów, by umiejętnie powiększać swój majątek. A więc hipokryzja? Niekoniecznie.

Może powinniśmy zastanowić się nad specyfiką amerykańskiego eksperymentu, którego jednym z najpotężniejszych symboli są dolar i wypisana na nim dewiza: „In God we trust" (w Bogu pokładamy ufność)? Ten napis noszą wszystkie amerykańskie monety od roku 1938 (sześć lat temu, za prezydenta Obamy, Izba Reprezentantów potwierdziła status tej dewizy jako narodowego motta Stanów Zjednoczonych: „za" było 395 kongresmenów, przeciw – dziewięciu). W tym samym 1938 r. w krakowskich Łagiewnikach odeszła do Boga s. Faustyna, która na całym świecie rozpowszechniła inne, ale przecież podobne motto: „Jezu, ufam Tobie". I w tym samym roku do Krakowa przybył, żeby tu studiować, młody Karol Wojtyła.

CYWILIZACYJNA ROZGRYWKA

Donald Trump przywołał właśnie doświadczenie św. Jana Pawła II walki z komunizmem i jego pielgrzymkę do ojczyzny z roku 1979 jako znak duchowej tożsamości Polski. Takiej, którą Ameryka rozumie i podziela: tożsamości Zachodu, opartego nie na walce z religią, tylko na odwołaniu do Boga. Na stałej świadomości, że jesteśmy pod Jego okiem, pod okiem Opatrzności. Nawet jeśli upadamy, nawet kiedy grzeszymy. Bóg jest nawet wtedy, kiedy próbujemy Go nie dostrzegać, pomijać lub kiedy ktoś próbuje nas zmusić czy przekonać przemyślną manipulacją, że Boga nie ma, że jest pomijany.

Wtedy właśnie pojawia się to wołanie, które wyrażają pierwsze trzy słowa znanej pieśni: „My chcemy Boga", świadomie przez prezydenta Trumpa zacytowanej. Nie jest to bynajmniej, jak często nam się wydaje, polska pieśń religijna. To jest tylko tłumaczenie (rozszerzone we wspaniałej sarmackiej zwrotce: „My chcemy Boga w naszym kraju / Wśród starodawnych polskich strzech / W polskim języku i zwyczaju / Niech Boga wielbi chrobry Lech"). Oryginał powstał we Francji, w roku 1882, napisany przez księdza z Turenii, François-Xaviera Moreau, prowadzącego pielgrzymkę do Lourdes. To była odpowiedź na ukaz, wprowadzony w owym roku przez republikańskiego ministra edukacji, Jules'a Ferry'ego, który „wydezynfekował" ostatecznie szkołę francuską z religii. Komunizm, pamiętajmy, nie był pierwszy na polu walki z religią, z Bogiem. Antyreligijne ustawodawstwo w krajach Europy Zachodniej,

eprasa.pl 1390f19820

FOT. KACPER PEMPEL/REUTERS/FORUM

– American way

z Francją na czele, ma znacznie starszą proweniencję. Podobnie jak poczucie wyższości emanujące z tak rozumianego centrum „oświecenia". Ten sam Ferry ogłosił trzy lata później, już jako premier, że „wyższe rasy mają obowiązek cywilizować niższe rasy", i z tym hasłem na ustach uzasadnił skolonizowanie Tunezji, Madagaskaru, Konga oraz Indochin… Dzisiaj „cywilizatorzy" tacy jak prezydent Emmanuel Macron próbują wykorzystać swoje prawo „wyższej rasy" do „cywilizowania" pogrążonych w przesądach niższych ras z naszej części Europy.

W 1882 r. wyrugowano w „cywilizowanym" kraju Boga ze szkoły. Obecnie jednak ważniejszym niż szkoła polem cywilizacyjnej rozgrywki o nasze dusze jest kultura masowa. Warto może przyjrzeć się aktualnemu stanowi owej walki, sporządzić swoisty raport z jej pola. Jako konsument kultury masowej pozwolę sobie na kilka obserwacji, które mogą być przydatne w odpowiedzi na to pytanie: Gdzie jest w owej kulturze Bóg? Gdzie w Europie (Zachodniej)? Gdzie w Ameryce?

POSTRELIGIA W KINIE

Nad Europą nie będę się zatrzymywał długo. Podam tylko kilka przykładów.

eprasa.pl 1390f19820

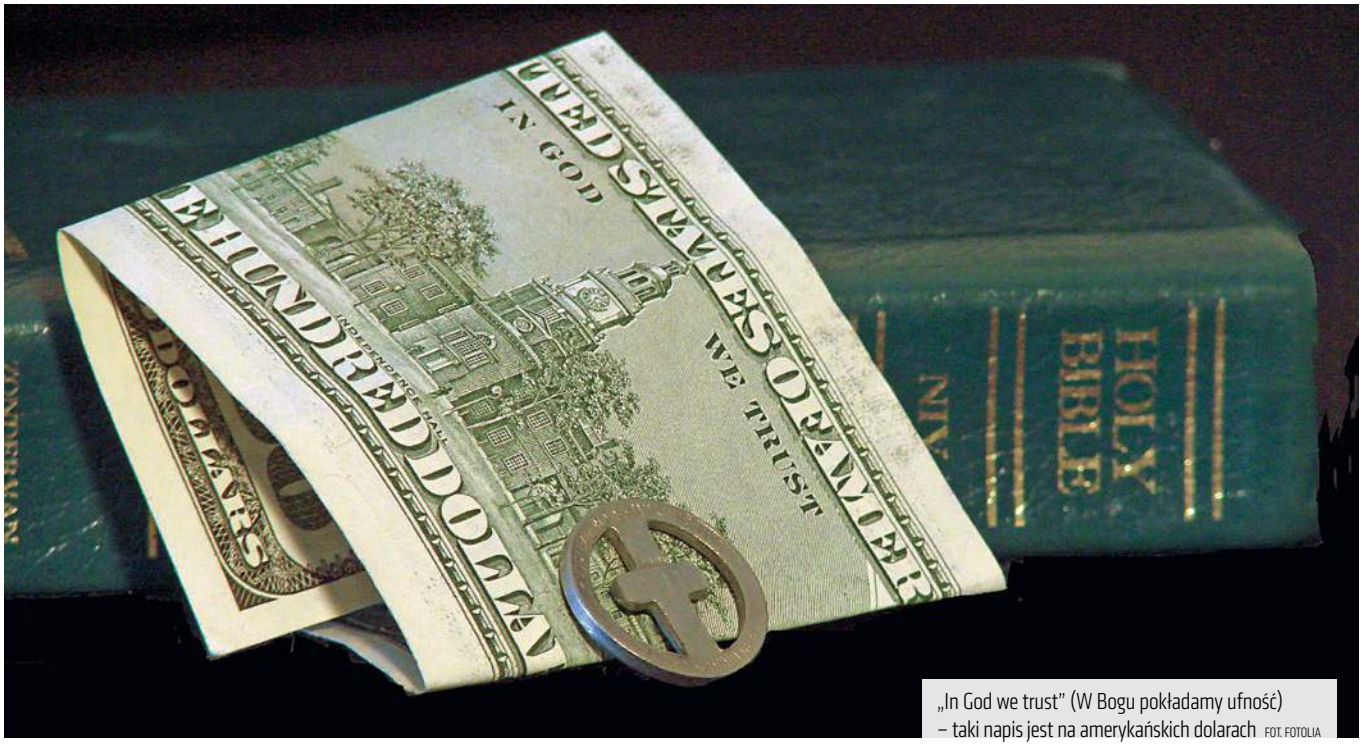

„In God we trust" (W Bogu pokładamy ufność) – taki napis jest na amerykańskich dolarach FOT. FOTOLIA

Filmy ostatnio najbardziej nagradzane, najczęściej na salonach europejskich podziwiane i komentowane: austriacko-niemieckiego reżysera Michaela Hanekego i holenderskiego – Paula Verhoevena. Tego pierwszego – „Biała wstążka" – opowieść o katuszach, które zadaje dzieciom protestancki, protofaszystowski klecha. Potem „Amour" („Miłość"). Jej najwyższym, poruszającym wyrazem jest uduszenie żony (sparaliżowanej po wylewie) przez kochającego męża. Za te dwa filmy dwie Złote Palmy w Cannes. Nie oceniam ich jakości artystycznej. Oceniam ich stosunek do Boga. Bóg, jeśli w ogóle jest, to tylko w roli totemu opresji, którą wyrażają jego „autorytarne" przykazania. Doskonalszy jeszcze pod tym względem jest film Paula Verhoevena (w Hollywood realizował takie filmy jak „Robocop", „Basic Instinct", „Showgirls") – „Elle". Obraz zimnej jak lód patologii, stężonej nienawiści do „starego porządku moralnego". Jej symbolem jest gwałcona kobieta, która znajduje w roli ofiary swoistą przyjemność, by gwałcić samej wszystkie normy, by pogrążyć zwłaszcza świat niewinnej żony swego sąsiada-gwałciciela, „groteskowo" pobożnej katoliczki. Tutaj Bóg jest tylko wytworem żałosnej wyobraźni tej ostatniej. Film otrzymał Złoty Glob.

Wreszcie ostatni przykład, może najdoskonalszy. To nie pretendujący wcale do laurów dla kina artystycznego, ale z założenia popularny, „miły" film „dla każdego": francuskie dziełko z tego roku, wyświetlany w świecie anglojęzycznym jako „Two Is a Family", we francuskim oryginale „Demain tout commence" (u nas: „Jutro będziemy szczęśliwi"). Sympatyczny murzyński olbrzym, Omar Sy, gra tutaj króla życia z Riwiery, któremu niespodziewanie jedna z zapomnianych przygodnych „miłości" przywozi i zostawia owoc ich związku, maleńką dziewczynkę. Matka nie chce zajmować się córką, wciska ją więc dosłownie głównemu bohaterowi. Ten, także chcąc się pozbyć niechcianego ciężaru, rusza w pościg za matką dziecka do Londynu. Nie znajduje jej, ale znajduje życzliwego opiekuna-przyjaciela, namiętnego geja. U niego może zamieszkać i odnaleźć swoje powołanie jako tatuś (kolega gej jest w pewnym sensie współtatusiem). Dziewczynka cudownie dorasta w takiej rodzinie, zjeżdżając codziennie – znów dosłownie – w basen szczęścia. Jedynym symbolem opresji jest odpychająca nauczycielka, oczywiście z krzyżykiem na dekolcie. To ostatnie miejsce dla Boga: smętny dekolt starej panny, niezdolnej cieszyć się życiem. Reszta jest słodką tragikomedią, postreligijną i postrodzinną. A właściwie religijną i rodzinną. Religią jest tu indywidualne szczęście – które usprawiedliwia porzucenie rocznego dziecka przez matkę poszukującą swej „samorealizacji" gdzie indziej. Najlepszą rodzinę tworzą bohater grany przez Omara Sy (który zresztą, okaże się, nie jest faktycznie ojcem dziewczynki) i jego przeuroczy gospodarz w Londynie – i to oddaje sens tytułu: „Two Is a Family". Dziewczynka umiera z powodu wady serca. To jednak nic: „Jutro wszystko zaczyna się od nowa, jutro będziemy [ci, którzy żyją] szczęśliwi".

Oczywiście, można wymieniać, także na pęczki, podobne filmy powstające w Ameryce. I można znaleźć w filmach europejskich piękne wątki religijne, choćby we francuskim obrazie o trapistach zamęczonych w Algierii („Ludzie Boga"). To jest jednak margines, nisza. Mainstream jest całkowicie postreligijny, jakby Bóg nie tylko umarł, ale nawet jakby Go nigdy nie było. Kino ambitne natomiast to kino takie, jak definiuje to Haneke. Mówi: „Moje filmy są zamierzone jako polemika z amerykańskim kinem »pistoletowym« [»barrel-down cinema«] i uprzedmiotowieniem widza. Są wołaniem o kino natarczywych pytań zamiast fałszywych odpowiedzi, o odsłonięcie dystansu zamiast naruszania bliskości, o prowokację i dialog zamiast konsumpcji i konsensusu".

Podobny bełkot można znaleźć także u niektórych amerykańskich reżyserów. To prawda. Specyfikę amerykańskiej kul-

eprasa.pl 1390f19820

tury masowej oddaje jednak co innego. Otóż nie tylko na jej marginesie (w niszy z nazwą: kino apologetyczne, jakie reprezentuje np. film „Bóg nie umarł"), lecz także w jej centrum utrzymuje się wciąż religijna perspektywa, wracają pytania zadawane Bogu, trwa spór Dobra ze Złem, wprost nazywane są wątki biblijne. Nie znika imię Chrystusa. Pojawia się w decydujących momentach.

Za przykład niech posłużą dwa seriale: „Detektyw" [„True Detective"], wyemitowany przez telewizję HBO w 2014 r., a także trzy już serie „Fargo", nadawanego przez kanał telewizyjny FX. Oba w ślad za europejskim artystą można nazwać „amerykańskim kinem pistoletowym". W obu bowiem trup ściele się gęsto, kryminalna historia jest za każdym razem brutalna. Oba nie tylko zdobyły jednak wielką popularność wśród widzów, lecz także zyskały najwyższe uznanie krytyki. „Detektyw" był nominowany do siedmiu nagród Emmy – zdobył cztery. „Fargo", sezon pierwszy, zdobył trzy nagrody Emmy oraz dwa Złote Globy. Sezon drugi został oceniony przez krytyków jeszcze wyżej. Sezon trzeci, który był nadawany w USA od 15 kwietnia do 23 czerwca tego roku, jest opisywany także (nawet przez takie lewackie media jak „The New York Times" i „Guardian") jako arcydzieło.

PYTANIA O BOGA

Przyjrzyjmy się im zatem pokrótce, od strony pytania o Boga i moralny porządek ludzkiego życia. Serial HBO opowiada historię 17-letniego śledztwa w sprawie seryjnego mordercy, grasującego w dusznym stanie Luizjana. Ściga go para detektywów, koncertowo granych przez Matthew McConaugheya i Woody'ego Harrelsona. Obaj ścigają się z demonami swojego życia. Ten pierwszy jest pesymistą – stracił córkę w tragicznym wypadku, opuściła go żona. W niekończących się dialogach ze swoim partnerem z pracy stara się wykazać, że życie nie ma sensu, że religia jest ponurą bajką, jest „jak wirus, który zaciemnia krytyczne myślenie". Najwłaściwszym rozwiązaniem, wyjściem z tego absurdu jest samobójstwo, zbiorowe samobójstwo ludzkości, ale go nie popełnia. Odsuwa od siebie także inne pokusy. Uważa się za złego człowieka, który jednak jest potrzebny, żeby odsunąć innych, dużo gorszych jeszcze od drzwi zwyczajnych ludzi. Jego partner to zupełnie inny, jowialny, towarzyski typ, lubi się napić, jest zdolny do „skoku w bok", choć ma piękną żonę. Nie jest święty na pewno, ale wie, że to są chwile jego słabości, że musi za nie odpokutować; wie, że rodzina jest najważniejsza, żeby utrzymać prostą postawę w życiu. Namawia swego partnera pesymistę, żeby spojrzał na życie od strony tych, którzy „cieszą się życiem we wspólnocie", którzy rozumieją „wspólne dobro". Obu łączy walka z szatanem wcielonym, z potworem, którego naprawdę trudno się w tym filmie nie bać. Z mordercą dzieci, z którym mierzą się w ostatnim, apokaliptycznym odcinku. Po tym doświadczeniu Rust (McConaughey) ujawnia swoją ludzką tęsknotę – za spotkaniem ze swoimi najbliższymi, których stracił: z ojcem, z córką. Oni czekają na niego na „tamtym świecie", „poza ciemnością". Czekają z miłością. Tutaj jednak walka się nie kończy. Jej sens oddaje końcowa rozmowa obu sponiewieranych bohaterów. Rozmowa o niebie i gwiazdach. Można tam zobaczyć „jedną historię, najstarszą". O walce światła (nadziei, miłości) z ciemnością. Kiedy spojrzymy na nocne niebo, możemy powiedzieć, że „ciemność zajmuje dużo więcej miejsca". Jednak ostatnie słowa mówi dotychczasowy pesymista, nawrócony przez osobiste zmaganie ze złem: „Kiedyś była tylko ciemność. Jeśli mnie pytasz, to światło wygrywa". Scenarzysta tego serialu, Nic Pizzolatto, wychowany w katolickiej rodzinie włoskiego pochodzenia, nie idzie dalej (owszem, zrobił jeszcze drugą serię „Detektywa", w innej obsadzie, niestety z bardzo marnym artystycznie rezultatem).

Dalej, dużo dalej idzie nowojorczyk Noah Hawley, kreator trzech serii „Fargo". Początek nawiązuje oczywiście do jednego z arcydzieł filmowych braci Coen, fabularnego filmu z roku 1996 pod tym właśnie tytułem. Zauważmy na marginesie, że filmy braci Coen, zanurzone po uszy w biblijnej wizji zła ścierającego się z dobrem w człowieku, pod surowym okiem Boga (wymieńmy choćby poza „Fargo" takie tytuły jak „Prawdziwe męstwo", „To nie jest kraj dla starych ludzi", „Poważny człowiek"), zasługują na osobne potraktowanie w antologii kina inspirowanego religijnym światopoglądem, dodajmy: konserwatywnym. Film braci Coen kończy się pytaniem policjantki, reprezentującej zwyczajne, moralne, codzienne, zakotwiczone w rodzinie dobro. To pytanie wyraża niezrozumienie, zdumienie banalnością zła, które prowadzi do zbrodni: „I o to tylko chodziło? O tę garść pieniędzy?".

ŚCIANA ODWAGI I WIARY

Seria pierwsza „Fargo", osadzona tak jak Coenowski oryginał i jak kolejne dwie, w śnieżnej scenerii północnej amerykańskiej prowincji, Minnesoty, nawiązuje także schematem fabularnym do filmu z 1996 r. Źródłem zła są chciwość i poczucie niedocenienia, stała pokusa porównywania się z innymi. Główny bohater (Martin Freeman), żeby rozładować swoje frustracje i pomścić upokorzenia, ulega podszeptowi zła wcielonego (przypadkowo spotkanego „killera", granego przez Billa Boba Thorntona) i uruchamia lawinę morderstw. Zło nie da się jednak wynająć. Zło wciąga. Niszczy nie tylko rodzinę. Niszczy wszelkie reguły i do tego namawia, kusi swoje ofiary: uwierzcie, że nie ma żadnych reguł, na tym ma polegać „dojrzałość". Są tylko zjadający i zjedzeni. Morderca mówi o tym tak: „Rzymianie, wychowani przez wilki, kiedy zobaczyli faceta, który przemienia wodę w wino – co robią? Zjadają go. Ponieważ nie ma świętych w królestwie zwierząt. Jest tylko śniadanie i obiad". Naprzeciwko demonicznego zabójcy staje jednak raz jeszcze odważna kobieta, policjantka, i przełamujący swój strach policjant z sąsiedniego miasta, który wolałby służyć ludziom jako listonosz, roznosić prezenty na Boże Narodzenie. Sens ich wspólnego zadania określa ojciec policjantki, także stary strażnik prawa. Mówi do swej córki, że trzeba bronić świata przed „dzikością, mordem, nienawiścią. Diabłami z martwymi oczyma. Kiedyś wyjdziesz za mąż, będziesz miała dzieci i kiedy na nie popatrzysz, musisz widzieć, jaki jest sens tego świata (co jest w świecie dobrego: what's good in this world), bo jeśli nie, to jak będziesz żyła?". Potworna, pociągająca za sobą kolejne morderstwa, spirala zła zatrzymuje się w końcu na tej ścianie, zbudowanej z odwagi i wiary w moralny ład.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Druga część tekstu w kolejnym numerze „Do Rzeczy".

prof. Andrzej Nowak *– historyk, sowietolog, publicysta, wykładowca akademicki, członek powołanej przez prezydenta Narodowej Rady Rozwoju.*

eprasa.pl 1390f19820

Tomasz P. Terlikowski

Wszyscy jesteśmy Charliem Gardem

To nie jest zwyczajny spór rodziców z lekarzami o to, jak leczyć dziecko. Sprawa Charliego Garda to element fundamentalnej debaty na temat przyszłości medycyny i praw rodziców

Historia życia Charliego rozpoczęła się 10 miesięcy temu – 6 sierpnia 2016 r. Chłopiec przyszedł na świat w terminie, jak się wówczas wydawało, zdrowy i z pełną wagą. Miesiąc później jego rodzice – Chris Gard i Connie Yates – zauważyli jednak, że ich synek nie rozwija się tak, jak powinien, i zgłosili się do szpitala. Tam lekarze zdiagnozowali niezmiernie rzadko spotykaną chorobę mitochondrialną, która powoduje zanik mięśni oraz uszkodzenie mózgu. Chłopiec obecnie nie słyszy, ma problemy z przełykaniem, a także nie może się poruszać. Jego rodzice jednak, zamiast się poddać losowi, rozpoczęli trudną walkę o jego życie.

W Stanach Zjednoczonych znalazła się klinika, która zaproponowała chłopcu całkowicie eksperymentalną terapię (innych nie ma, bo na całym świecie tylko 16 osób cierpi na podobne do Charliego schorzenie), a oni zaczęli zbierać konieczne do tego fundusze. I wtedy stał się pierwszy cud: w ciągu zaledwie kilkunastu dni udało się im zebrać 1 mln 300 tys. funtów. Leczenie mogło zostać rozpoczęte.

ZABIĆ TO DZIECKO

Mogło, ale nie zostało, bo lekarze z brytyjskiego szpitala Great Ormond Street, gdzie przebywa chłopiec, uznali, że jego leczenie nie ma sensu. Powód? Za „niska jakość życia", a także rzekome cierpienie, jakie miał znosić chłopiec! Tym terminem określa się wszystkie schorzenia, które sprawiają, że stan chorego znacząco odbiega od tego, jaki mają ludzie zdrowi. „Niska jakość życia" jest wskazaniem do likwidacji poprzez aborcję lub aborcję pourodzeniową (bo i taka istnieje, choćby w Holandii) także osób z zespołem Downa, choć wszystkie wskaźniki pokazują, że są one o wiele szczęśliwsze niż tzw. zdrowi ludzie. Rodzice odmówili zgody na odłączenie synka od aparatury podtrzymującej życie. – On nie odczuwa bólu i nie cierpi – przekonywała matka chłopca. – Nie mogłabym spokojnie się przyglądać, jak moje dziecko cierpi – mówiła Yates. – Nie jesteśmy złymi rodzicami. Jesteśmy z nim cały czas, poświęciliśmy mu wszystko – zapewniała.

Brytyjskich lekarzy jednak argumentacja ta nie przekonała, tak jak nie przekonało ich to, że jeden z amerykańskich ośrodków zaproponował terapię, która mogła pomóc chłopcu. I dlatego podjęli oni, wbrew woli rodziców, decyzję o odłączeniu chłopca od aparatury i – co za tym idzie – uśmierceniu go. Tyle że inaczej niż wielu rodziców w takiej sytuacji Chris Gard i Connie Yates nie poddali się. A media, które wcześniej towarzyszyły im przy zbieraniu pieniędzy, stanęły po ich stronie. I w ten sposób rozpoczęła się wielka walka o życie chłopca, o umożliwienie mu dalszego leczenia, a także o to, czy o życiu i śmierci chorych decydować mają lekarze czy jednak bliscy chorych. Brytyjskie sądy w całości opowiedziały się po stronie lekarzy. W kolejnych instancjach orzekano, że mają oni prawo do odłączenia chłopca od aparatury, a wola rodziców nie ma znaczenia. Identyczne stanowisko zajął także Europejski Trybunał Praw Człowieka.

W praktyce decyzje te są niezwykle niebezpieczne, bo oznaczają w istocie, że rodzina i bliscy chorego tracą jakikolwiek wpływ na jego leczenie czy nawet umoż-

eprasa.pl 1390f19820

FOT. CARL COURT/GETTY IMAGES

liwienie mu dalszego życia. Jeśli lekarze uznają, że stan zdrowia nie rokuje albo… że „jakość życia jest za niska", to mogą – nie pytając bliskich o zdanie – odłączyć chorego od aparatury i dokonać tzw. eutanazji biernej (określanej w tej sprawie „godną śmiercią", i to nawet wtedy, gdy istnieją możliwości dalszego leczenia. Dysponentem życia i śmierci chorych stają się w takiej sytuacji instytucje medyczne, a nie rodzina. To one będą decydować (nie oszukujmy się, często kierując się względami finansowymi), kogo ratować, a kogo nie. A to oznacza niezmiernie mocny atak na więzi rodzinne.

W IMIĘ BOGA, ZATRZYMAJCIE SIĘ!

Stawka, o jaką toczy się ta walka, dość szybko otrzeźwiła nie tylko część opinii publicznej (w obronie chłopca zebrano już ponad 350 tys. podpisów, a kolejne placówki amerykańskie zaczęły proponować mu opiekę medyczną na najwyższym poziomie), lecz także przywódców światowych. W obronie Charliego wypowiedział się prezydent USA Donald Trump, a wiceprezydent Mike Pence zapewniał, że w Białym Domu wciąż trwają modlitwy za chłopca. – Modlimy się i mamy nadzieję, że małemu chłopcu zostanie dana szansa – mówił Pence.

Stolica Apostolska po początkowej skandalicznej wypowiedzi Papieskiej Akademii Życia, która przyznała rację… szpitalowi, dość szybko przeszła na stronę obrony życia i rodziny. Papież Franciszek dwukrotnie wypowiadał się w obronie chłopca, a sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej kard. Pietro Parolin podkreślał, że „Watykan zrobi wszystko, co możliwe, aby uratować życie i pomóc Charliemu Gardowi". Co miało to oznaczać w praktyce? Odpowiedź, zdaniem źródeł, jest dość oczywista. Otóż nie jest wykluczone przyznanie chłopcu watykańskiego obywatelstwa i paszportu, co umożliwi prostsze przewiezienie go do Włoch i tam poddanie koniecznym operacjom. Dzięki tej decyzji chłopiec będzie podlegał – na powrót – władzy rodziców, którzy chcą jego leczenia, a nie – czego domaga się szpital – odłączenia od aparatury.

Jeszcze ostrzej i jednoznaczniej wypowiedział się w obronie chłopca kard. Carlo Caffarra, emerytowany metropolita Bolonii i jeden z założycieli Instytutu Jana Pawła II – Studiów nad Małżeństwem i Rodziną. Ten hierarcha określił decyzje sądów, w tym Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, „barbarzyństwem". – Doszliśmy do końca drogi cywilizacji śmierci – mówił kardynał w rozmowie z „National Catholic Register". – Teraz to instytucje publiczne, sądy będą decydowały, czy dziecko ma prawo do życia czy go nie ma – i to nawet wbrew woli rodziców. Czy jesteśmy dziećmi instytucji? Czy to im zawdzięczamy życie? Biedny Zachód: odrzucił Boga i Jego ojcowską opiekę i teraz jest w szponach biurokracji – mówił kardynał. – Zatrzymajcie to, w imię Boga! – apelował kard. Caffarra. – Mówię do Was z Jezusem: „Byłoby lepiej dla Was, gdyby kamień młyński zawieszono wam u szyi i wrzucono was w morze" (Łk 17, 2) – zaznaczał.

A co na to konserwatywne władze Wielkiej Brytanii? Nic! Premier Theresa May pytana o sprawę odpowiedziała, że choć niezwykle współczuje rodzicom, to jednocześnie nie ma wątpliwości, że lekarze podejmują najlepsze możliwe, z punktu widzenia dziecka, decyzje. I nie zrobiła nic, by pomóc w walce o prawo do decydowania o własnym dziecku Chrisowi Gardowi i Connie Yates. W tej sprawie lepiej od konserwatystki zachowuje się deputowana Partii Pracy z okręgu rodziców Charliego Seema Malhotra, która podejmuje kolejne działania, by zablokować odłączenie chłopca od aparatury.

NACISK MA SENS

Kilkanaście dni nacisków, zbierania podpisów, wypowiedzi międzynarodowych przywódców, jak się okazało, miało sens. W ubiegłym tygodniu, choć decyzja o odłączeniu chłopca od aparatury była ostateczna, sąd zadecydował, że rodzice i eksperci mogą ponownie przedstawić argumenty za dalszym leczeniem. I choć prawniczka szpitala Katie Gollop zapewnia, że nie ma nic, co można by uznać za nowe elementy sprawy, a wysłuchanie w sądzie jedynie odsunie odłączenie od aparatury chłopca, to jest już wielkim sukcesem obrońców Charliego, że udało się wymusić przedstawienie argumentacji medycznej. Co o tym zadecydowało? Być może dramatyczne słowa matki chłopca, która powiedziała do sędziego, że szanse na polepszenie stanu Charliego „wynoszą 10 proc.". – A gdyby to było wasze dziecko, pozwolilibyście mu żyć? – pytała.

W momencie, gdy piszę ten tekst, nie wiem, jaka będzie decyzja sędziego. Czy Charlie otrzyma szansę na życie i leczenie? Czy sąd odstąpi od skandalicznych decyzji? Czy rodzice odzyskają prawo do decydowania o życiu dziecka? A może sąd uzna, że to jednak szpitalna biurokracja jest powołana do decydowania o tym, kto ma żyć i być leczony, a kogo można skazać na śmierć? Wszystko to są absolutnie fundamentalne pytania, bo tak się składa, że to właśnie tego rodzaju dramatyczne historie są wykorzystywane do tego, by budować nowy konsensus moralny, nową moralność życia i śmierci, w której rolą lekarzy nie jest już ratowanie życia oraz leczenie, ale decydowanie o tym, kto ma umrzeć. I choć na razie rzecz dotyczy ciężko chorego chłopca i jego rodziców, to nikt nie może zapewnić, że za kilka lat, gdy oswoimy się z sytuacją, iż to lekarze wbrew rodzinie uśmiercają chorych, to i na nas, gdy będziemy nieprzytomni, wydany zostanie wyrok. W tym sensie każdy z nas jest Charliem Gardem. A walka o jego życie to walka o absolutnie fundamentalne standardy w medycynie. Wygrana lub przegrana w tej sprawie to przede wszystkim życie lub śmierć tego chłopca, ale to także kwestia być albo nie być cywilizacji. Wybór między barbarzyństwem a cywilizacją, między cywilizacją życia a antykulturą śmierci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1390f19820

Ze Sławomirem Neumannem, przewodniczącym Klubu Parlamentarnego Platformy Obywatelskiej
rozmawia Marek Migalski

Nie wierzę w polskiego Macrona

WYWIAD NIEAUTORYZOWANY

FOT. ALEKSANDRA SZMIGIEL-WIŚNIEWSKA/REPORTER

MAREK MIGALSKI: Jest środa, godz. 12.45. Jakie na tę chwilę stanowisko zajmuje PO w sprawie „500+"?

SŁAWOMIR NEUMANN: Ono się nie zmienia od samego początku.

Czyli nie chcecie tego pomysłu?

Nie. Już na początku mówiliśmy o tym, że to program niesprawiedliwy, bo nie obejmuje pierwszego dziecka. I dziś mówimy to samo.

Czyli kiedyś chcieliście dać mniej, a teraz chcecie dać więcej niż PiS?

Nie. Cały czas chcemy tego samego. Myśmy w kampanii wyborczej mieli inny pomysł, ale program „500+" został zaakceptowany przez ludzi i my mówimy, że trzeba nim objąć także pierwsze dziecko. Myśmy się wstrzymali od głosowania nad „500+" właśnie dlatego: że ten program nie obejmuje pierwszego dziecka.

Przecież wcześniej twierdziliście, że to jest rozdawnictwo i że to rozwali budżet.

W kampanii wyborczej twierdziliśmy, że mamy lepsze pomysły na politykę prorodzinną. W 2015 r. myśmy na tę politykę zagwarantowali 39 mld zł.

Jak pan twierdzi, że jesteście tacy konsekwentni, to dlaczego ludzie uważają inaczej?

Bo jest paru publicystów i komentatorów, którzy nie rozumieją, co się do nich mówi.

To ja należę do grupy odcinającej was od waszego elektoratu, bo ja tej spójności w waszym przekazie nie widzę.

Być może dał się pan zwieść tym nic nierozumiejącym komentatorom. Chcemy, by program „500+" był rozszerzony na wszystkie dzieci.

Ale...

Ale żeby był uzależniony od pracy.

Czyli jeśli ktoś nie będzie miał pracy i nie będzie jej poszukiwał, to nie dostanie ani grosza?

Nie dostanie „500+". Dla takich ludzi są inne środki wsparcia rodziny.

A według waszych szacunków ten wasz pomysł zwiększy czy zmniejszy wydatki państwa?

Zwiększy.

Czyli Nowoczesna ma rację, że wy się ścigacie z PiS na populizm?

Nie, bo ten program już jest. I mówienie, że zabierzemy „500+", jest idiotycz-

epras 1390f19820

ne. Nie wycofamy się z tego programu. Uczynimy go jedynie bardziej sprawiedliwym.

A w sprawie uchodźców też jesteście tak samo konsekwentni? Jest godz. 12.53. Jakie w tej chwili jest wasze stanowisko?

Jesteśmy konsekwentni w tym, że chcemy, by do Polski trafiały tylko te osoby, które nie zagrażają naszemu bezpieczeństwu. To już Ewa Kopacz zabezpieczyła.

A potem Grzegorz Schetyna powiedział, że nie chcecie przyjąć ani jednego uchodźcy.

Chodziło mu o nielegalnych imigrantów.

Chyba jednak nie.

Natomiast dzieci i kobiety, które uciekają przed bombami i śmiercią, możemy czasowo w Polsce przyjąć.

W jakiej liczbie? Nieograniczonej, tak jak powiedział rzecznik rządu Ewy Kopacz?

Oczywiście, że nie. Nie jesteśmy krajem, do którego chce płynąć rzeka uchodźców. Potrzebujemy jednak w polityce zagranicznej gestów, które Europa odbierze jako wyraz solidarności z nią.

To znów wina publicystów, że wszyscy mają wrażenie, iż wy kluczycie w tej sprawie?

Akurat w tej materii przyznaję, że kilka naszych komunikatów było sprzecznych i ten dysonans w dyskusji wystąpił z naszej winy. W tej debacie padło z naszej strony kilka zdań, które zmąciły nasze jasne stanowisko. Chcemy w tej kwestii współpracy z samorządem, z organizacjami społecznymi, z Caritasem, z Kościołem. Musimy pokazać ludzką twarz Polski i tę solidarność, którą wnieśliśmy do Europy. Dzisiaj Polska ma twarz Błaszczaka, który mówi, że nikogo nie przyjmie, bo te kobiety i dzieci to terroryści. To jest głupia i niemądra twarz.

A czy nie jest waszym błędem, że sami wrzuciliście temat uchodźców do debaty o samorządzie? Zobowiązujecie część samorządowców z PO do przyjmowania uchodźców. Przecież to polityczny błąd.

Do tego projektu zgłosili się samorządowcy nie tylko z PO. Trzeba być ślepym, żeby nie widzieć tragedii dzieci z Aleppo. I trzeba nie mieć serca, by im nie pomóc w takiej strasznej sytuacji. Czasami należy iść pod prąd i być przyzwoitym.

Bardzo fajnie to brzmi i jako politolog to doceniam, ale jako były cyniczny polityk uważam, że trzeba być ślepym, żeby nie widzieć, iż przyzwoitość nigdy się w polityce nie opłaca.

Są kwestie, które wymagają takiej postawy i o które trzeba walczyć nawet wówczas, gdy przejściowo się traci. Polacy zrozumieją, że nie zagraża ich bezpieczeństwu przyjęcie do kraju małej liczby uchodźców.

Akurat Polacy tak właśnie uważają. Że jedna rodzina uchodźców w jednej gminie jest dla nich czymś strasznym.

Jeżeli pokażemy, że to nie są terroryści, ale że to ludzie uciekający przed terrorystami, to wtedy zdołamy ich do tego przekonać.

Dlaczego przespaliście te półtora roku, w czasie którego nastroje się zmieniały, z pozytywnych na paranoicznie lękliwe?

To prawda, że przez ten czas nachalna propaganda PiS wprowadziła znak równości między dzieckiem z Aleppo a terrorystą.

Gdzie była wtedy PO?

Rozumiem, że wszystko ma być naszą winą, ale nie tylko myśmy to przespali. Wszyscy to przespaliśmy.

REKLAMA

KLINIKA UZDROWIskowa
„Pod Tężniami" im. Jana Pawła II w Ciechocinku

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Czy cierpisz na?
- bóle kręgosłupa, dyskopatie
- rwę kulszową
- migreny kręgopochodne
- bóle mięśni i stawów
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- ostrogi piętowe
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu

Przyjedź na pobyt leczniczy z zabiegami.
Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 16.07-27.08.2017 r. oraz 27.08 - 01.10.2017 r.

25 zabiegów na 7 dni pobytu
posiłki w formie bufetu szwedzkiego
- dwa badania lekarskie oraz badanie postawy lub stóp
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl
rezerwacja@podtezniami.pl
tel. 54 416 70 00

eprasa.pl 1390f19820

Czy to jednak nie oznacza, że wy nie zasługujecie na powrót do władzy? Przespaliście „500+", przespaliście uchodźców.

Nie przyjmuję tej krytyki odnośnie do „500+".

A w sprawie uchodźców?

W tej sprawie mogę uderzyć się w pierś i przyznać, że czasami nasza narracja nie była spójna.

PiS, a nie wy, ustawia debatę. Wciąż mówimy o „500+", o uchodźcach.

Na pewno PiS właśnie dziś ustawił debatę o podwyżce cen paliw. I będziemy o tym dyskutować za dwa lata. I będzie to bardziej dotykać Polaków niż temat uchodźców.

Fajna ironia, ale to pokazuje, że możecie jedynie liczyć na błędy PiS. I ewentualnie na Tuska. Dwie wasze nadzieje.

Mamy o wiele więcej atutów. Jest pan politologiem…

Tutaj można dodać „dobrym".

Nawet bardzo dobrym. I pan wie, że to zawsze rządzący mają większą możliwość narzucania tematów debaty publicznej. A opozycja jest od tego, by pokazywać alternatywę. Pokazywanie przez nas wszechobecnego kłamstwa PiS będzie skutkować coraz słabszym poparciem dla tej partii. Dzisiaj PiS nie ma premii za zwycięstwo, ma sondaże zaledwie na poziomie z wyborów w 2015 r.

Wy też.

Dlatego wszystko jest przed nami. Arogancja, buta, zamknięcie na rzeczywistość będą działać na niekorzyść partii rządzącej.

Jednak zauważa pan, że wiele środowisk chce was wyeliminować z roli głównej partii opozycyjnej wobec PiS? Nowoczesną pokonaliście, ale pojawiają się pomysły „patronażu" trzech prezydentów, pojawia się Frasyniuk, Wałęsa. Ktoś was chyba chce obejść.

Rok temu wielu wieszczyło koniec PO, bo był KOD, a myśmy nie weszli do koalicji Wolność Równość Demokracja. Wszyscy nas za to atakowali…

Oprócz mnie.

I zaledwie kilku innych komentatorów. A dziś widać, że to była słuszna taktyka. Mamy okres wakacyjny, szuka się potwora z Loch Ness. Powstają wakacyjne konstrukcje, pomysły, które w sezonie ogórkowym świetnie się sprzedają.

Na przykład komiksy.

Na przykład komiksy, jak przewodniczący Schetyna określił akcję wokół Władysława Frasyniuka. Jednak na końcu przeciwko PiS będzie musiała stanąć regularna armia. I tę armię ma PO. I tylko wokół nas można zbudować silne listy opozycji, które w kampanii wyborczej zderzą się z PiS.

Widzi pan jednak, że jest próba stworzenia czegoś trochę przeciwko wam?

Ależ oczywiście! Tak powstały KOD, Nowoczesna, po części także Kukiz'15. A wcześniej Ruch Palikota. Jednak ci, którzy wierzą w polskiego Macrona, będą rozczarowani. Są tacy potencjalni kandydaci na Twitterze, którzy chcieliby zostać kimś takim.

Kto na przykład?

Aktywni użytkownicy Twittera widzą tych potencjalnych Macronów. Tylko że na starcie z PiS, które jest zaciężną, dobrze zorganizowaną armią, musi stanąć inna zaciężna armia. Zbudowana wokół PO. To my mamy 6 tys. radnych i struktury w każdym powiecie. I wokół nas można zbudować szerokie listy opozycji.

Także do wyborów samorządowych?

Tak. Trzeba iść razem. Tym bardziej że PiS zmieni ordynację wyborczą na taką, która będzie promowała duże bloki. Partie na 5–7 proc. w rzeczywistości będą działać na rzecz PiS, bo te głosy będą de facto trafiać do kosza. Jeśli okręgi będą trzymandatowe, to to będzie 2 do 1.

Albo dwa mandaty dla PiS, albo dla tej zjednoczonej opozycji?

Właśnie tak. I wtedy nie trzeba będzie podnosić progu wyborczego, bo naturalny próg będzie wówczas na poziomie 17–18 proc. I wszyscy przywódcy partii opozycyjnych muszą o tym wiedzieć. A drugi mit, obok tego czekania na nowego Macrona, to taki, że wróci Tusk i tu pozamiata.

Pan w to nie wierzy?

Takie czekanie na Tuska to alibi dla nicnierobienia. On tu nie wróci przed 2020 r. i musimy sobie sami poradzić z PiS. On kończy swoją kadencję w grudniu 2019 r. i wierzę, że wróci do Polski po wygranych przez PO wyborach parlamentarnych po to, by startować pół roku później w wyborach prezydenckich.

Macie z nim w tej sprawie deal?

Nie ma czegoś takiego jak deal na dwa i pół roku przed wyborami, ale to jest scenariusz, który uważam za możliwy. Jeżeli PO, otwarta na inne środowiska, partie, ruchy, wygrywa wybory samorządowe, to ta fala może dotrzeć do kolejnych wyborów, czyli do europejskich.

A ta na pewno by się przełożyła na falę w elekcji parlamentarnej pięć miesięcy później?

Tak. I wtedy przyjeżdża Donald Tusk i wygrywa nam wybory prezydenckie. I wtedy dopiero Polska, pod rządami PO i z Tuskiem jako głową państwa, może zacząć odbudowywać swoją pozycję w Europie i świecie.

Czyli nie wierzy pan w te scenariusze, że Tusk chce coś stworzyć przeciwko wam?

Panie redaktorze kochany, Tusk jest honorowym przewodniczącym PO.

Naprawdę?

Tak. Zatem te wszystkie…

Dyrdymały – chciał pan powiedzieć?

Niech będzie, że zmyślone historie. Otóż te zmyślone historie o tym, że on stanie przeciwko nam, są mało realne. Rozumiem chęć niektórych kolegów, którzy nie potrafią się zmieścić w polityce i szukają do niej powrotu, ale to ich fantazje. Ktoś, kto zna Donalda Tuska, wie, że on rozumie, iż do wygrywania wyborów trzeba mieć silną, zwartą partię, która go będzie wspierać.

Chce mi pan wmówić, że Tusk będzie wspierał Schetynę w jego dziele budowania wielkiej partii i zwyciężania w wyborach? Przecież to psychologicznie niemożliwe.

Zrobi to właśnie po to, by potem Grzegorz Schetyna i cała PO wspierali go w wyborach prezydenckich.

Jeśli wówczas taka będzie wola zwycięskiego premiera Schetyny.

Tusk zawsze będzie miał nasze poparcie, jeśli chciałby walczyć o prezydenturę, bo to jest w interesie Polski. Będziemy go do tego namawiać. Bo premier Schetyna, po wygranych wyborach parlamentarnych, będzie miał ciężkie zadanie odbudowy Polski po rządach PiS. Z prezydentem Tuskiem ma to sens i da się to łatwiej oraz lepiej zrealizować. To wspólny interes: Platformy, Tuska i Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1390f19820

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Pochwała milczenia

Znów oberwało się Agacie Dudzie – za to, że się nie wypowiada w sprawach publicznych. A mnie się to milczenie podoba i chętnie wyjaśnię dlaczego.

Ano dlatego, że żyjemy w czasach, kiedy absolutnie nikt nie milczy. Wszyscy zajmują stanowisko. Wszyscy komentują. Wszyscy ogłaszają, deklarują, mądrzą się, wypowiadają, pohukują, wyśmiewają, grillują, krzyczą, nadają.

Dla mnie osobiście to dość męczące. Zwłaszcza że ogromna większość tych mówiących nie wnosi do żadnej sprawy nieczego nowego, oryginalnego czy choćby zabawnego. A jednak, z niezrozumiałych dla mnie powodów, uważają, że powinni zabrać głos. Nawet jeśli mówią coś, co zostało powiedziane setki, tysiące i miliony razy. Nawet jeśli powtarzają najstraszliwszy banał, który został już wyśmiany w „Słowniku komunałów", czyli w wieku XIX.

Mam po dziurki w nosie ludzi, którzy nie mają nic ciekawego do zakomunikowania, a jednak to komunikują. Nawet wtedy, gdy cały świat daje im do zrozumienia, że nie chce słuchać. W młodości miałem kolegę, którego ojciec był szalonym wędkarzem. I sądził, że wszyscy oczekują od niego opowieści o tym, gdzie był na rybach i co złowił. Wyglądało to mniej więcej tak: „Dzień dobry, panie Stanisławie" – mówimy do ojca kolegi. – Dzień dobry – odpowiada. – Słuchajcie, dziś rano wstałem o wpół do czwartej. Umówiliśmy się z Zenkiem, że jedziemy do Smęciszewa, nad jezioro Nudy Wielkie. Nęciliśmy tam od tygodnia ciastem i larwami. I wiecie co? Przyjeżdżamy, jest już szósta, siadamy, zarzucamy, mijają dwa kwadranse i jest branie. Ale tylko trącał. Pewnie leszcz albo ciernik. A może karasek. Albo okonek? No nic, siedzimy dalej…". I tak w nieskończoność. I zamęczał tak każdego, kto tylko wpadł mu w łapy. Wystarczyło powiedzieć „dzień dobry".

Dzisiaj świat jest pełen takich ludzi, którzy dostali straszliwe narzędzia do emitowania swych opowieści i przemyśleń. Są na Twitterze, Facebooku, w programach publicystycznych, na forach dyskusyjnych. Wykorzystują każdą okazję, by nadawać.

Natomiast Agata Duda milczy. I uwielbiam ją za to. Przytłaczająca większość światowej populacji nie ma najmniejszych oporów, by wydać z siebie jakieś błahe odgłosy, które potęgują szum, z którego absolutnie nic nie wynika. Jak rozumiem, wychodzi z założenia, że planeta Ziemia nie straci czegoś fundamentalnie istotnego, jeśli ona nie wypowie się w jakiejś kwestii. Cóż za oryginalna kobieta!

Powiedziałbym, że to postawa ekologiczna. Skoro wyłączamy zbędne oświetlenie dla dobra świata, to możemy też nie wypowiadać słów, które nie są konieczne. Od tego też się lepiej oddycha. I robi się jakoś czyściej. Naprawdę. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Bezsilność demokracji

Demokracja umiera zazwyczaj na własne życzenie. Od antyku poczynając, na dramatycznym XX w. kończąc – kłopoty pojawiały się wtedy, gdy brakowało sił i determinacji, by jej bronić. Kiedy z lenistwa, mylnej kalkulacji lub zwyczajnej głupoty wydawało się, że sprawy rozwiążą się same. Ci, którzy podpuszczali Hitlera do władzy, byli przekonani, że przywódca NSDAP skompromituje się i w następnych wyborach odda władzę… Tyle że nie było już następnych wolnych wyborów. Ruchawka w Petersburgu (nazwana później rewolucją październikową) wydawała się jednym z wielu drobnych przewrotów, przeciw któremu demokratyczny rząd Kiereńskiego nie użył wszystkich swoich sił (których sam się pozbawił).

Dla tych, którzy stosują siłę, jedyną odpowiedzią może być wyłącznie siła

Obserwując płonący Hamburg czy rakową tkankę dzielnic muzułmańskich w wielu miastach Zachodu, do których legalne władze nie mają wstępu, można myśleć: Co dalej? Skorumpowane elity i zidiociałe media stworzyły system, w którym nie tylko reakcja na zagrożenie, ale nawet zdefiniowanie go stają się możliwe. „Zło absolutne" to kilku neofaszystów pijących nostalgicznie piwo czy polscy katolicy opierający się post-nowoczesności. Natomiast lewaccy podpalacze to „trochę narwana młodzież", która musi się wyszumieć, a islamiści z prawem szariatu przybyli tylko po to, żeby nas ubogacić.

Paradoksem jest, że z perspektywy historycznej obrońcami demokracji okazują się głównie ci, których lewica uczyniła symbolami tyranii. Generał Franco, który zapobiegł zamienieniu Hiszpanii w czerwony gułag, powstrzymał rzeź księży, a przy okazji uratował setki tysięcy Żydów, czy Augusto Pinochet, dzięki któremu Chile nie stało się kubańskim przyczółkiem w Ameryce Południowej.

Demokracja skuteczna to rządy większości, które tolerują wprawdzie prawa mniejszości, ale nie pozwalają wejść im sobie na głowę. Stanowczość wobec tych, którzy łamią prawo, to skuteczność. „Gwałt niech się gwałtem odciska" – powiedział wieszcz – czym naraziłby się obecnym politrukom poprawności. A przecież dla tych, którzy stosują siłę, jedyną odpowiedzią może być wyłącznie siła. Jeśli potraktuje się anarchistów i antyglobalistów tak jak chuliganów stadionowych, to problem zniknie. Dla tych, którzy nie akceptują europejskich norm, jest prosta metoda – won do buszu, na pustynię czy otwarte morze! Nawet gdy są obywatelami w trzecim pokoleniu! Gdyby po puczu monachijskim Hitler i jego kumple dostali czapę, to Niemcom i światu oszczędzono by miliony ludzkich istnień. Demokracja nie może udusić się sama swoimi hasłami. Wcale nie byłaby to bowiem piękna śmierć. ©℗

eprasa.pl 1390f19820

Grzegorz Majchrzak

Prezydent „mniejsze zło”

19 lipca 1989 r. Wojciech Jaruzelski został, nie bez pomocy swych niedawnych przeciwników – ludzi Solidarności – prezydentem PRL. Warto przypomnieć, jak do tego doszło

FOT. WOJTEK LASKI/EAST NEWS

W wyborach 4 czerwca 1989 r. władze PRL poniosły klęskę. W pierwszej turze ich kandydaci wywalczyli zaledwie trzy miejsca w Sejmie (dwa z listy Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego oraz jedno z PZPR, zresztą przy nieformalnym poparciu Solidarności) i żadnego w Senacie. Najbardziej dotkliwa była jednak dla nich porażka listy krajowej do izby niższej. Z 35 kandydatów, w tym przywódców partii tworzących koalicję, wymagane 50 proc. głosów uzyskało jedynie dwóch.

Rozmiaru tego sukcesu przestraszyli się liderzy opozycji. Tymczasem PZPR – „przewodnia siła narodu” – znalazła się w stanie rozkładu i kilka miesięcy później zeszła ze sceny. Jednak w międzyczasie przywódcy Polski Ludowej osiągnęli swój ostatni sukces – 19 lipca Sejm i Senat wybrały na prezydenta PRL Wojciecha Jaruzelskiego. Było to jednak pyrrusowe zwycięstwo. Jak pisał Jerzy Urban, jeden z jego najbliższych współpracowników i wieloletni, znienawidzony przez Polaków rzecznik prasowy rządu, ten dzień był dla niego „dniem bardziej przerażającym niż dzień po wyborach”. I nic dziwnego, skoro los jego byłego przełożonego, a nawet – jak twierdził Urban – los całego kraju „dosłownie zależał od tego, czy jakiś facet zasiedział się, czy nie zasiedział w bufecie, czy jakiś gość wyszedł, czy nie wyszedł za swoją potrzebą”. Dla niepodzielnie rządzących PRL musiał być to szok.

„JARUZELSKI MUSI ODEJŚĆ”

Czy Jaruzelski musiał zostać wybrany na to stanowisko? Przywódcy umiarkowanej opozycji, na czele z Lechem Wałęsą, uznali, że tak. Opozycjoniści bardziej radykalni mieli w tej sprawie zupełnie inne zdanie, jednak mogli je wyrazić

eprasa.pl 1390f19820

jedynie podczas ulicznych manifestacji. Ich hasłem było: „Jaruzelski musi odejść". Kornel Morawiecki, przywódca Solidarności Walczącej, próbował nawet forsować kandydaturę Jerzego Giedroycia. Ten jednak nie zgodził się kandydować. To ich niedawni koledzy z opozycji podejmowali realne decyzje. Wpływ na nie miały zarówno działania władz PRL (nacisk, a wręcz zawoalowany szantaż), Kościół, jak i Stany Zjednoczone.

Jaruzelski od początku był głównym pretendentem do prezydentury. Zdawały mu się sprzyjać okoliczności, w tym wystarczająca do takiego wyboru liczba posłów z PZPR, ZSL i SD. Szybko się jednak okazało, że na koalicjantów nie można do końca liczyć i niezbędna może się okazać pomoc opozycji. A to komplikowało sytuację. Tym bardziej że niespodziewanie oliwy do ognia dolał Urban, który 11 czerwca oświadczył w TVP, iż takie były ustalenia Okrągłego Stołu. Wywołało to wzburzenie członków Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego skupiającego opozycjonistów zasiadających w Sejmie i Senacie oraz zwiększyło ich niechęć do tej kandydatury. 23 czerwca podjęli oni decyzję, aby nie głosować na Jaruzelskiego. Przeważyło stanowisko Wałęsy: „Nie możemy go popierać – więc należy głosować przeciw, ale własnego kandydata wysuwać nie powinniśmy". Dwa inne wnioski – własny kandydat oraz wyjście z sali w celu uniemożliwienia wyboru – przepadły w głosowaniu, ten ostatni poparł tylko wnioskodawca – Zbigniew Romaszewski.

Nie jest jasne, czy całe to zamieszanie było efektem prywatnej inicjatywy Urbana czy elementem gry w obozie władzy prowadzonej przez grupę związaną z premierem Mieczysławem Rakowskim, mającym własne ambicje. Wojciechowi Jaruzelskiemu nie pomogły również działania zakulisowe jego zwolenników, np. ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszczaka. 27 czerwca, podczas rozmów z przedstawicielami Kościoła, miał on stwierdzić – jak odnotował ks. Alojzy Orszulik – „Nastroje w MON, MSW i partii są złe. Jeśli gen. Jaruzelski przepadnie w wyborach, nie wiadomo, czym się skończy cała sytuacja. Istnieje wielkie zaniepokojenie »wielkiego brata« sytuacją w Polsce". Liczono zapewne, że strona kościelna wpłynie na opozycję parlamentarną. Tym bardziej że miała deklarować poparcie dla jego kandydatury.

Jednak nawet te zawoalowane groźby nie przyniosły oczekiwanego skutku. W efekcie 29 czerwca Jaruzelski podczas posiedzenia biura politycznego KC PZPR postanowił zrezygnować z ubiegania się o prezydenturę i zaproponował na to stanowisko Kiszczaka, dla którego już wcześniej poparcie zadeklarował – w imieniu opozycji – Wałęsa. Zapewne nie bez wpływu na taką decyzję pozostawało to, że celowość wyboru Jaruzelskiego na prezydenta mieli kwestionować nawet sojusznicy PZPR – ZSL i SD. I to mimo że w stosunku do nich używano podobnych argumentów jak wobec strony kościelnej.

KISZCZAK WCHODZI DO GRY

Wysunięcie dzień później kandydatury ministra spraw wewnętrznych poprzedziły poufne, zakulisowe rozmowy z opozycją – miał o nich nie wiedzieć m.in. Mieczysław Rakowski, którego kandydaturę na prezydenta (jak sam twierdzi) miał również rozważać Jaruzelski. Pominięty Rakowski uznał, że wystawienie ministra spraw wewnętrznych było „poważnym błędem, wcale już nie szkolnym". W jego ocenie miało ono świadczyć o tym, że Jaruzelski był „zbyt mocno przywiązany do koncepcji przeniesienia w nową sytuację układu personalnego, który nie miał szans na akceptację ze strony społeczeństwa".

Tymczasem, o dziwo, Lech Wałęsa deklarował: „W sytuacji, która obecnie panuje w Polsce, gen. Kiszczak ma większe szanse wyboru […] niż gen. Jaruzelski". I przekonywał członków OKP do poparcia jego osoby, argumentując przy tym, że „powinien mieć silne poparcie, gdyż tylko silny prezydent będzie w stanie zapewnić otrzymanie przez Polskę zachodnich kredytów [starała się o nie wówczas Solidarność – przyp. G.M.]". Powoływał się też na obietnicę Czesława Kiszczaka przeprowadzenia za cztery lata wolnych wyborów. Wałęsa był – a przynajmniej tak twierdził – skłonny nawet do zrobienia sobie (podobnie jak przed wyborami czerwcowymi z kandydatami strony solidarnościowej) fotografii z ministrem spraw wewnętrznych.

W tym miejscu nie sposób nie zadać pytania. Czy na postawę Lecha Wałęsy nie miała wpływu jego przeszłość, a dokładniej współpraca z SB w latach 70.? Zapewne pozostanie ono bez odpowiedzi.

Co ciekawe – jak wynika z zapisków abp. Bronisława Dąbrowskiego – w trakcie rozmów przedstawicieli Komitetu Centralnego PZPR i strony solidarnościowej w Episkopacie Polski 3 lipca to ci drudzy zdecydowanie bardziej opowiadali się za kandydaturą Kiszczaka, podczas gdy ci pierwsi byli co najmniej wstrzemięźliwi. Jak stwierdzał wręcz Stanisław Ciosek: „Członkowie KC PZPR niejako »odmawiają modlitwy« do Jaruzelskiego, aby zechciał kandydować".

Nowym elementem tej skomplikowanej układanki stał się opublikowany tego samego dnia na łamach „Gazety Wyborczej" artykuł Adama Michnika „Wasz prezydent – nasz premier", w którym zaproponował on władzom PRL poparcie ich kandydata na prezydenta w zamian za powierzenie stanowiska premiera przedstawicielowi opozycji. Z jednej strony zapowiadał on bowiem poparcie kandydatury przedstawiciela władz na prezydenta, z drugiej jednak – wbrew wcześniejszym deklaracjom strony solidarnościowej – oznaczał chęć udziału w rządzeniu, a nawet więcej – przejęcia jego sterów.

PIĘĆ MINUT KISZCZAKA

Tymczasem – jak podkreślał 4 lipca Kiszczak w rozmowie z Wałęsą – „nie zapadła jeszcze formalna decyzja, kto będzie kandydatem na stanowisko prezydenta: gen. Jaruzelski czy on". Jednocześnie jednak szef MSW próbował przekonać przewodniczącego Solidarności do jak najszybszego przeprowadzenia głosowania – jeszcze przed 6 lipca – oraz forsował swą kandydaturę: „Proszę dotrzymać słowa […] trzeba nakazać opozycji, żeby głosowała na mnie". Zrywał więc z wcześniej głoszoną lojalnością wobec Wojciecha Jaruzelskiego i próbował wykorzystać swoje pięć minut.

Rozmówcy ustalili, że zostanie zgłoszony jeden kandydat na prezydenta, głosowanie będzie jawne, a Kiszczak udzieli wywiadu prasie, który będzie jego „formą samookreślenia". Propozycje zgłaszane przez przewodniczącego Solidarności – dwóch kandydatów, publiczne ich przesłuchanie przed tajnym głosowaniem – zostały odrzucone. Ponadto – jak odnotował uczestniczący w spotkaniu Orszulik – Wałęsa miał zadeklarować, że „udzieli Kiszczakowi wyraźnego poparcia, zobowiązując Obywatelski Klub Parlamentarny do głosowania" na jego osobę.

Nowym elementem w sprawie stało się stanowisko Moskwy. Jeszcze 6 lipca

eprasa.pl 1390f19820

przedstawiciele władz w rozmowach ze stroną kościelną stwierdzali: „ZSRR daje różne sygnały, że sprawy polskie zostawiają samym Polakom i że akceptują rząd opozycji. Są to tylko sympatyczne sygnały". To oczywista aluzja do deklaracji Władimira Zagładina, doradcy Michaiła Gorbaczowa, sprzed kilku dni w reakcji na artykuł Michnika. Jednak jeszcze tego samego dnia (6 lipca) Gorbaczow deklarował na forum Rady Europy: „Wszelka – jakiejkolwiek natury – ingerencja w sprawy wewnętrzne państw zaprzyjaźnionych czy sojuszniczych […] jest niedopuszczalna".

Tymczasem w kolejnych dniach szanse Kiszczaka na prezydenturę spadły. Wpłynęły na to zarówno wydarzenia wewnętrzne, jak i zewnętrzne. Przede wszystkim wbrew deklaracjom Wałęsy jego kandydatura nie budziła nadmiernego entuzjazmu w OKP.

Co więcej, przeciwni jej byli partyjni towarzysze nadal popierający Jaruzelskiego – w tym przypadku szefowi MSW zaszkodziły również otwarte deklaracje poparcia ze strony opozycyjnej. Jak sam zresztą oceniał, zyskanie wsparcia Solidarności spowodowało, że został „spalony we własnych szeregach". Poza tym – z czego chyba zdawał sobie sprawę – na jego niekorzyść przemawiał czas, stąd jego dążenie do jak najszybszego przeprowadzenia wyboru.

W kolejnych dniach Wojciech Jaruzelski otrzymywał wsparcie z zagranicy i to nie tylko od „bratnich partii". Pośrednio wsparł go również prezydent Stanów Zjednoczonych George Bush, który w dniach 9–11 czerwca złożył wizytę w Polsce. Na niekorzyść Kiszczaka przemawiał ponadto fakt brutalnego spacyfikowania przez jego podwładnych manifestacji Konfederacji Polski Niepodległej 4 lipca pod budynkiem Sejmu, a także – w mniejszym już stopniu – odnalezienie tydzień później przy dworcu PKS w Krynicy Morskiej zwłok ks. Sylwestra Zycha. Notabene to pierwsze wydarzenie było przez niektórych członków władz interpretowane jako prowokacja przeciwko Kiszczakowi.

COME BACK JARUZELSKIEGO

Jaruzelski umocniony uzyskanym w ostatnich dniach poparciem ponownie zmienił zdanie w sprawie kandydowania na urząd prezydenta.

Jak argumentował 13 lipca w rozmowie z marszałkiem Senatu Andrzejem Stelmachowskim, skłoniły go do tego: postawa generalicji, reakcje zewnętrzne (w tym stanowisko Busha) i stanowisko KC PZPR. Jak stwierdzał, „przeszkodą" było to, że „Solidarność jednoznacznie opowiedziała się" za szefem MSW.

Nic zatem dziwnego, że sugerował: „Byłoby dobrze, żeby poparcie b. wyraźne [ze strony solidarnościowej – przyp. G.M.] dla Kiszczaka mogło zostać zrewidowane". Zapowiedział też, że w przeciwieństwie do tego ostatniego jest gotów do spotkania ze wszystkimi klubami parlamentarnymi, w tym z OKP. Doszło do niego 17 lipca.

Jaruzelski zdobył o jeden głos więcej, niż wynosiła wymagana większość. Było to możliwe tylko dzięki poparciu opozycji.
Gdyby nie opuszczenie sali przez 11 członków OKP, oddanie głosów nieważnych przez kolejnych siedmiu i głosowanie na jego kandydaturę przez senatora Bernatowicza nie zostałby prezydentem

„Wystąpień pozytywnych prawie nie było […]. Powitanie było ponure, najmniejszego gestu grzecznościowego. Mnóstwo pytań i odpowiedzi" – nie, to nie relacja z tego spotkania, lecz z innego z klubami ZSL i SD. I gorzka refleksja: „Są tam posłowie myślący tak samo jak opozycja". Mimo że spotkania nie były dla Jaruzelskiego nazbyt pomyślne, tym razem już nie hamletyzował i zdecydował się już ostatecznie na kandydowanie.

Dwa dni później – 19 lipca – Zgromadzenie Narodowe wybrało go na prezydenta PRL. Na 544 obecnych posłów i senatorów głosowało na niego 270 (233 było przeciw, a 34 wstrzymało się od głosu). Oznaczało to, że zdobył o jeden głos więcej, niż wynosiła wymagana większość. Było to możliwe tylko dzięki poparciu opozycji. Tym bardziej że przeciw niemu opowiedziało się sześciu przedstawicieli ZSL, czterech SD i jeden PZPR (Marian Czerwiński), a czterech innych nie wzięło udziału w głosowaniu.

Gdyby zatem nie opuszczenie sali przez 11 członków OKP (m.in. Marka Jurka), oddanie głosów nieważnych przez kolejnych siedmiu (z inicjatywy senatora Andrzeja Wielowieyskiego) i głosowanie na jego kandydaturę przez senatora Stanisława Bernatowicza, nie zostałby prezydentem. „Wy macie pakt z diabłem […] to wszystko było wymyślone […] Zegarmistrzowska precyzja" – komentował wynik głosowania Stanisław Ciosek.

AMERYKAŃSKIE WSPARCIE

Jak się okazuje po latach – jeśli wierzyć ambasadorowi USA w Polsce w 1989 r. Johnowi R. Davisowi – to właśnie on miał już 22 czerwca doradzić polskim opozycjonistom (niestety, nie wymienia ich nazwisk) takie zachowanie. Zaprezentował im „zachodnią praktykę polityczną znaną jako head-counting", która polegała na kontrolowanej nieobecności podczas głosowania, wpływającej na rozkład głosów. Miał nawet wyliczać, ilu przedstawicieli opozycji musiałoby nie wziąć udziału w głosowaniu, aby możliwe było przeforsowanie kandydatury Jaruzelskiego.

Czy przedstawiciel strony komunistycznej musiał w lipcu 1989 r. zostać prezydentem? I czy musiał być nim akurat Jaruzelski? Z perspektywy czasu wiemy, że nie. Zwyciężyły jednak obawy przed rozwojem sytuacji w przypadku jego przegranej. Jak stwierdzał 15 lipca podczas posiedzenia prezydium OKP Jacek Kuroń: „Musimy sobie zdawać sprawę, co oznacza przepadek prezydenta, rolnicy nie dostają urynkowienia, lekarze podwyżek, utrzymany zostaje rząd, wchodzimy w straszliwe bagno". Co prawda Bronisław Geremek tonował: „Wybory można powtórzyć", a Gabriel Janowski proponował nawet zgłoszenie kandydata solidarnościowego w przypadku ponownego niewybrania kandydata władz. Jednak Kuroń był przeciwny. „To wchodzimy z nimi w wojnę" – ostrzegał. Ostatecznie więc, choć ustalono, że członkowie OKP będą głosować zgodnie z wolą swych wyborców, i choć ta była oczywista, to właśnie postawa części z nich spowodowała, że Jaruzelski został prezydentem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1390f19820

Gniew rzek

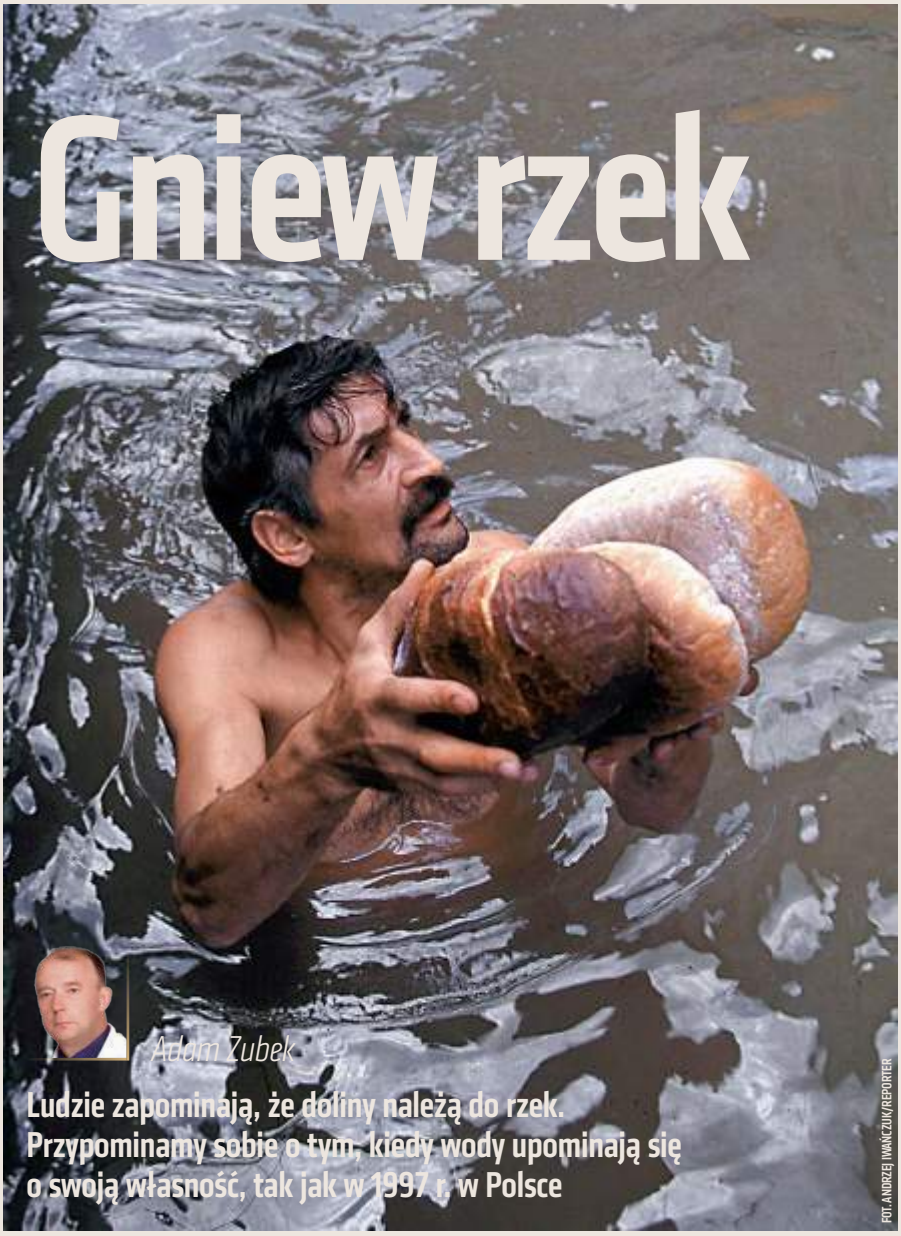

Adam Zubek

Ludzie zapominają, że doliny należą do rzek. Przypominamy sobie o tym, kiedy wody upominają się o swoją własność, tak jak w 1997 r. w Polsce

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Dokładnie 20 lat temu, pod koniec czerwca, nad Morzem Śródziemnym, u podnóża Alp, układ cyklonalny, zwany niżem genueńskim, obrał trasę, która w ciągu kilku dni doprowadziła go nad polskie góry. W tym momencie nie pomogłoby nawet wstawiennictwo św. Jana Nepomucena. „Powódź tysiąclecia" była przesądzona.

PECH KŁODZKA

Kotlina Kłodzka ma właściwie wszelkie dane po temu, żeby być jeziorem. Ze wszystkich stron otaczają ją góry. Spływające z nich rzeki i strumienie urządziły sobie zlot gwiaździsty w centrum kotliny, w rejonie Kłodzka. Ten potencjalnie groźny układ hydrolodzy nazywają węzłem hydrograficznym. Szczęściem Kłodzka i całej kotliny jest Nysa, która rozładowuje ten węzeł. Niestety, na drodze Nysy wyrosły przed milionami lat Góry Bardzkie i cała woda z kłodzkich Sudetów może wydostać się na przedpole gór jedynym, wąskim przesmykiem. Każdy gwałtowny wzrost ilości wody w Nysie sprawia, że przesmyk – przełom Nysy przez Góry Bardzkie – się zatyka. Następstwem muszą być powodzie we wnętrzu kotliny. Wiedzieli o tym dobrze dawni mieszkańcy miasta. Wątpliwe jednak, by w 1945 r., gdy nastąpiła całkowita wymiana ludności, polscy pionierzy mieli świadomość, że zaledwie siedem lat wcześniej przetoczyła się przez Kłodzko i całą kotlinę równie niszczycielska fala powodziowa jak później, w 1997 r., że podobna katastrofa wystąpiła w roku 1903, a wcześniej w 1883 r., a jeszcze wcześniej w 1783 r. i jeszcze... i jeszcze – mniej więcej dwa razy na stulecie.

Któryś z francuskich hydrologów podzielił powodzie na... pocztowe, telegraficzne i radiowe. Rzeczywiście, podczas pamiętnej powodzi 1997 r. ostrzeżenie dla Opola czy Wrocławia można było swobodnie wysłać pocztą. Dla takich miast jak Racibórz czy Nysa zapewne wystarczyłby telegraf, w Kotlinie Kłodzkiej zdałaby egzamin jedynie łączność radiowa. W dolinach górskich rzek największe bowiem zagrożenie wynika z prędkości zachodzących zjawisk.

Doliny są wąskie, o dużym spadku i najczęściej skaliste (nie ma więc mowy o pochłanianiu wody przez nadrzeczne gleby). Stosunkowo niewielki opad potrafi błyskawicznie wypełnić dolinę wodą pędzącą z olbrzymią prędkością. Obliczono, że przepływ w rzece górskiej może się zwiększyć od 800 do 1000 razy (stosunek między największym wielkim przepływem a absolutnie najmniejszym).

W latach 60. ubiegłego wieku nie znaleziono przeciwwskazań dla budowy osiedla mieszkaniowego Nysa (nomen omen) dokładnie w korycie rzeki. Czymże bowiem innym jest piaszczysta łacha między dwoma ramionami rzeki, czyli miejsce starannie omijane w niemieckich planach rozbudowy miasta? W lipcu 1997 r. Nysa popłynęła sobie swobodnie poprzez mieszkania dwu kondygnacji budynków tego osiedla. Pod wodą znalazły się poniemieckie tabliczki upamiętniające poziom wody z roku 1938, umieszczone ku przestrodze zaledwie kilkaset metrów dalej, na murach kościoła Franciszkanów oraz na ścianie dworcowego wiaduktu. Dokładnie to samo, tylko na większą skalę spotkało wrocławskie osiedle Kozanów, wzniesione na terenie zalewowym, przez wieki uznawanym za naturalny polder.

FATALNE MILIMETRY

Pierwsza faza powodzi miała charakter „importowany" – wielka fala na Odrze narodziła się bowiem w Czechach. To po tamtej stronie granicy doszło w ciągu kilku kolejnych dni do nieprawdopodobnych rekordów opadowych – stacja na Łysej Górze (Beskid Śląsko-Morawski) zanotowała 586 mm, a na Pradziadzie – 455 mm. Nic więc dziwnego, że już w nocy z 5 na 6 lipca stan wody na Odrze po polskiej stronie przekroczył strefę stanów wysokich. W dniach 8 i 9 lipca

eprasa.pl 1390f19820

zanotowano absolutną kulminację – w Krzyżanowicach 912 cm, w Miedoni 1045 cm. Być może z tą falą dolina Odry by sobie poradziła, ale wtedy bardzo mocno padało już po naszej stronie Sudetów. Zalane zostały Racibórz, Kędzierzyn-Koźle, wkrótce Opole zostało zmuszone do poświęcenia lewobrzeżnych dzielnic.

Na tę falę nałożyła się kolosalna fala na Nysie Kłodzkiej, powiększona wskutek opróżniania zbiornika w Nysie. W tej sytuacji nie miał szans Wrocław, tym bardziej że nie zdecydowano się na wysadzenie wałów, co pozwoliłoby spłaszczyć falę powodziową. Fala na Odrze, już katastrofalna, zamiast spływać w miarę spokojnie ku morzu, była kolejno potęgowana przez praktycznie wszystkie lewobrzeżne dopływy Odry. Wezbrania bliskie absolutnemu maksimum wystąpiły bowiem także na Ślęzy, Bystrzycy i Kaczawie. W następstwie ucierpiały Głogów i Legnica. Druga seria opadów, która rozpoczęła się 18 lipca, wywołała drugą powódź na górnej Odrze, Kaczawie, Bobrze i Nysie Łużyckiej. Dla sytuacji na dolnej Odrze niemałe znaczenie miało też przekroczenie stanów alarmowych na Warcie i jej dopływach.

Żeby uzmysłowić sobie, co oznaczają te niewinne milimetry opadu, przypomnijmy, że roczna suma opadów wynosi w Polsce średnio 600 mm, przy czym w wysokich partiach gór sumy roczne przekraczają znacznie 1000 mm, natomiast na nizinach środkowej Polski spadają do 500 mm. Znając specyfikę opadową obszarów górskich i podgórskich, można przyjąć, że 100 mm opadu „miało prawo" spaść w ciągu całego lipca, tymczasem nastąpiło to w ciągu kilkudziesięciu godzin. A przecież punktowo, jak wynika z danych IMGW, pojawiły się opady przekraczające 250 mm, m.in. w dorzeczach Nysy Kłodzkiej, Soły i Małej Wisły.

SPRAWCA JEST ZNANY

Już pod koniec XIX w. wybitni meteorolodzy (W. Köppen, van Bebber) zauważyli, że ośrodki niżowe nad Europą mają swoje zwyczaje – często wędrują pewnymi utartymi szlakami. Większość przemieszcza się mniej więcej równoleżnikowo, z zachodu na wschód. Jednak funkcjonuje także szlak, oznaczony przez van Bebbera symbolem Vb, który biegnie południkowo przez Europę Środkowo-Wschodnią od Adriatyku aż do wschodniej Skandynawii. To ulubiony szlak niżów powstających nad Morzem Śródziemnym. Trajektoria szlaku, a także fakt, że są to niże w niezwykłym stopniu nasycone wilgocią, sprawiają, że są one niezwykle opadonośne. Scenariusz najczęściej wygląda następująco: tworzy się ośrodek niżowy w rejonie Alp, po ich południowej stronie. Niektórzy nazywają go niżem genueńskim. Wkrótce rozpoczyna energiczną wędrówkę na północ i na wschód. Przemyka się u podnóża Alp, mija, kropiąc nieco deszczem, Austrię, rozpędza się nad Morawami, zachodnią Słowacją oraz Niziną Węgierską i pomknąłby dalej nad Ukrainę, dając obfite, ale niekoniecznie katastrofalne opady w Karpatach, ale nagle… stop. Wyhamowuje go ośrodek wysokiego ciśnienia nad wschodnią częścią kontynentu. Niż szturmuje bezowocnie Karpaty. Próbując się przedrzeć Bramą Morawską (czyli doliną górnej Odry), w ciągu trzech–siedmiu dni pozbywa się całej wilgoci, którą nasiąkł w strefie śródziemnomorskiej.

W pamięci społecznej mieszkańców południowej Polski ta rytmiczność w przebiegu zjawisk pogodowych jest od wieków zakodowana, a tzw. świętojanka – wezbranie lub powódź w okolicach ostatniej dekady czerwca – nie jest niczym nadzwyczajnym.

BYŁY, SĄ I BĘDĄ

Powódź – pisał wybitny polski hydrolog prof. Zdzisław Mikulski – jest to wezbranie rzeki przynoszące szkody człowiekowi (w tym szkody moralne) i gospodarce narodowej. Wezbranie zaś jest zjawiskiem hydrologicznym. Nie każde wezbranie powoduje powódź, lecz każda powódź jest spowodowana wezbraniem.

W polskich warunkach klimatycznych wezbrania były, są i będą. Sprzyja temu nie tylko klimat, lecz także ukształtowanie terenu – geomorfologia Polski. Przy dzisiejszej gęstości zaludnienia i poziomie urbanizacji prawie każde wezbranie przynosi szkody gospodarcze, a więc staje się powodzią. Wiemy od dawna, jak często dochodzi w Polsce do wezbrań powodujących szkody powodziowe – mniej więcej co 3–3,5 roku (w ostatnim stuleciu jakby częściej). Są to oczywiście średnie, które nie mają żadnego praktycznego znaczenia dla prognozowania dokładnego terminu powodzi. Powodzie potrafią nierzadko przychodzić grupami

eprasa.pl 1390f19820

Wrocław podczas powodzi w 1997 r. FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

– po trzy–cztery w ciągu roku. Bywają też lata bez znaczących wezbrań. Katastrofalne powodzie „powinny" pojawiać się średnio co 20 lat, a szczególnie katastrofalne – mniej więcej raz na 100 lat.

Wiemy też, gdzie i w jakiej porze roku trzeba liczyć się z ryzykiem powodzi. Hydrolodzy dzielą Polskę na dwie części – krainę powodzi wiosennych i krainę powodzi letnich. Wiosną, czasem zimą, występują powodzie w północnej i środkowej Polsce, a spowodowane są gwałtownymi roztopami, zatorami lodowymi i śryżowymi oraz – na Wybrzeżu – sztormami.

Jak rozwija się sytuacja w „krainie powodzi letnich", wiemy dokładnie z doświadczeń lat 1997, 2001 i 2010. Powodzie takie hydrolodzy nazywają powodziami opadowo-rozlewnymi. Taki charakter miał największy kataklizm w XX w. – powódź z lipca 1903 r. Wielkie szkody (55 ofiar) wyrządziła powódź z 1934 r. W okresie powojennym do największych tego typu powodzi doszło w latach 1958, 1960, 1970 i 1977.

RACHUNEK SUMIENIA

Nasze oddziaływanie na klimat, jego ocieplanie, to właściwie jeden z najmłodszych grzechów ludzkości, który – jak twierdzą specjaliści i jak sami widzimy – nie pozostaje bez wpływu na powodzie. Jednak lista grzechów, za które przyroda karze nas powodzią, jest dłuższa.

Pierwszy i główny grzech człowieka wobec natury to grzech przeciw prawu własności. Zupełnie zapomnieliśmy, że właścicielem dolin są rzeki (strumienie, potoki, jak mówią hydrolodzy – cieki). Może nie wszyscy zapamiętali to z lekcji geografii, ale do doliny należy także ta płaska przestrzeń wzniesiona nieco nad lustro wody po obu stronach rzeki – równina zalewowa zbudowana z osadów niesionych przez rzekę. Rzeka ma prawo do tej równiny. Przez wieki uznawano to prawo. Dzisiaj na równinach tych powstają całe osiedla. Tylko dlatego, że rzeka przez kilkanaście, może kilkadziesiąt lat nie upomniała się o swoje prawa. Trzeba to nieustannie powtarzać: na równinie zalewowej domy nie będą nigdy do końca bezpieczne.

Ryzyko można zmniejszyć, stosując środki zabezpieczające, np. sypiąc wały lub budując domy odpowiedniej konstrukcji, a przede wszystkim inwestując w niezawodny system ostrzegania. Trzeba to robić, trzeba umacniać brzegi, wznosić zapory, ale najkorzystniejsza jest „zabudowa biologiczna zlewni", czyli maksymalizowanie powierzchni zalesionych i zakrzewionych. Roślinność to bowiem naturalna „gąbka", która nie tylko zmniejsza groźbę powodzi, lecz także przeciwdziała erozji gleb, zapobiega lawinom błotnym i osuwiskom. To ważne zwłaszcza w naszych Karpatach, gdzie specyficzna budowa podłoża (flisz karpacki) sprzyja tym dramatycznym zjawiskom. Objawiło się to podczas powodzi z roku 2010 – domy stały z dala od rzek, a jednak zostały zniszczone.

Grzeszą także mieszkańcy miast, bez umiaru lejąc beton i asfalt na powierzchnie, które niejednokrotnie mogłyby pozostać zielone. Dziwią się potem, że każdy większy deszcz zalewa chodniki, ulice, tunele czy piwnice. Przecież te hektolitry opadu nie mają szans zmieścić się w studzienkach kanalizacyjnych czy tzw. burzowcach.

Są jeszcze inne grzechy. Należą do nich krótka pamięć i niechęć władz do wsłuchiwania się w rady oraz opinie naukowców. Chociaż, trzeba przyznać, po każdej większej powodzi powstają mądre i dalekosiężne programy ochrony przeciwpowodziowej. Tak też było po powodzi tysiąclecia. Niestety, o wielu rozsądnie sformułowanych zadaniach wciąż mówi się i pisze w czasie przyszłym, a kolejne terminy są nieustannie przesuwane. Zakończono, co prawda, modernizację zbiornika Nysa (Jezioro Głębinowskie), a na oficjalne otwarcie czeka gotowy zbiornik w Świnnej Porębie na Skawie, niezbędny dla Wadowic i Krakowa. Ślimaczy się jednak budowa zbiornika Racibórz. Zbiornik Kamieniec Ząbkowicki na Nysie Kłodzkiej w ogóle zniknął z planów. O czterech suchych zbiornikach zaplanowanych chyba 10 lat temu w Kotlinie Kłodzkiej nadal mówi się, że będą.

Faktem jest jednak, że w ogóle w Polsce i na świecie osłabł nieco entuzjazm do tego typu rozwiązań. Doświadczenie uczy, że są to zabezpieczenia kosztowne, ale jednak nie stuprocentowe. Przyroda lubi sobie nieraz zakpić z inżynierskich wyliczeń i zawsze może zdarzyć się np. tak kolosalne natężenie opadów, że nie wystarczy żadne zabezpieczenie. Można mówić jedynie o ograniczeniu ryzyka w zakresie zdrowego rozsądku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1390f19820

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Gdy Murzyn zabija Murzyna

Każdy, kto mówi głośno o tym, że przestępczość wśród czarnych Amerykanów jest znacznie wyższa niż wśród białych, naraża się na przylepienie mu łatki rasisty. Każdy, kto opowiada się za surowszym karaniem sprawców tych przestępstw, może być pewny, że zostanie okrzyknięty „faszystą".

Dlatego podziwiam odwagę Jill Leovy. Reporterka „Los Angeles Times", aby napisać swoją książkę, musiała bowiem przeciwstawić się własnemu środowisku. Zmierzyć się z największymi tabu politycznej poprawności.

O czym jest ta książka? O zatrważającym zjawisku, jakim jest fala brutalnych morderstw popełnianych przez czarnych amerykańskich mężczyzn na innych czarnych amerykańskich mężczyznach. Jest to prawdziwa plaga, która dotyka głównie młodych ludzi z wielkomiejskich gett.

Czarni Amerykanie strzelają do siebie, dźgają się nożami i katują kijami bejsbolowymi. Często są to rozmaite przestępcze porachunki, ale często przypadkowe sprzeczki i napady furii. W efekcie czarni padają ofiarą zabójstw siedmiokrotnie częściej niż biali i czterokrotnie częściej niż Latynosi.

Według Jill Leovy przyczyną tego zjawiska jest nie tylko kultura przemocy panująca na ulicach czarnych dzielnic. Problemem jest również obojętność amerykańskiej policji. W przypadku zabójstw białych obywateli funkcjonariusze stosują wszelkie możliwe techniki kryminalistyczne i prowadzą długoletnie śledztwa mające doprowadzić do sprawców.

W przypadku zabójstw czarnych obywateli policja często umywa ręce. W wielu przypadkach ogranicza się do „sprzątnięcia z ulicy" konającej ofiary, a następnie rutynowego zamknięcia sprawy. „Skoro czarnuchy same się zabijają, po co w to się mieszkać? Każdy kolejny zamordowany dealer czy bandzior to dla nas kolejny kłopot z głowy" – uważa część policjantów.

Problem w tym, że takie podejście daje czarnym zabójcom poczucie bezkarności. Skoro policja nie pali się do ich ścigania, to zabijają po raz kolejny i kolejny. A w strzelaninach giną również niewinni, całkowicie przypadkowi ludzie…

Dlatego – zdaniem Jill Leovy – amerykański wymiar sprawiedliwości powinien wziąć się do roboty i zastosować wobec czarnych morderców politykę „zero tolerancji". Dla amerykańskich lewicowców podobny pogląd to największa herezja. ©℗

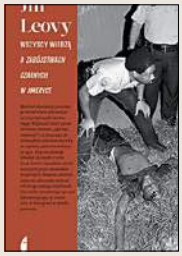

★★★★★★
JILL LEOVY
„WSZYSCY WIEDZĄ. O ZABÓJSTWACH CZARNYCH W AMERYCE"
CZARNE

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Rabin i kapitan

Powstająca flota morska II RP nie mogła obejść się bez jednostek pasażerskich, jednak zbudowanie od podstaw linii transatlantyckiej przekraczało możliwości młodego państwa. W tej sytuacji w 1930 r. rząd polski zakupił duńską firmę dysponującą trzema starymi statkami pasażerskimi, powołując do życia Polskie Transatlantyckie Towarzystwo Okrętowe (późniejszy GAL). Duńskie jednostki pod polską banderą nosiły nazwy: „Pułaski", „Kościuszko" oraz „Polonia" i niebawem zdystansowały bardziej luksusowe jednostki konkurencyjnych firm.

Podczas szabasu prawowici Izraelici powinni unikać podróży

Zagranicznych pasażerów przyciągała bowiem tradycyjna polska gościnność, a jeszcze bardziej znakomita kuchnia. Dania à la carte „były najgłośniejszą reklamą" polskich jednostek, „okrzyczaną jako niegodny chwyt konkurencyjny przez inne linie pasażerskie".

Nasze transatlantyki służyły także jako statki wycieczkowe, a w lipcu 1931 r. „Polonia", jako pierwszy polski statek pasażerski, dotarła do Przylądka Północnego (Nordkapp).

Gdy do służby wprowadzono nowoczesne jednostki: „Piłsudski" i „Batory", starsze skierowano na linię palestyńską, gdzie ich pasażerami byli głównie polscy Żydzi emigrujący na Bliski Wschód. Podczas szabasu prawowici Izraelici powinni unikać podróży. Rejs trwał jednak osiem dni, co uniemożliwiało przestrzeganie zaleceń Talmudu.

„Na szczęście płynął kiedyś na »Polonii« mądry rabbi – opisywał Karol Borchardt – i on to znalazł sposób na rozwiązanie tego trudnego problemu: wystarczy, jeśli gmina zakupi statek, a wszyscy podczas szabasu będą w domu.

Interes ten ubił z pierwszym oficerem koszer statkowy, kucharz kuchni koszernej dla tych, co bali się strefnić. Pierwszy oficer kilkanaście razy »sprzedał« już »Polonię«, biorąc za każdym razem dziesięć groszy od rabina i przedstawiciela gminy".

Pomysł był genialny, jednak podczas jednego z kolejnych rejsów doszło do brzemiennej w skutki pomyłki. Delegacja „kupująca" statek pomyliła kabiny i trafiła przed oblicze nieświadomego procederu kapitana „Polonii" Mamerta Stankiewicza. Dowodzący transatlantykiem długo nie mógł zrozumieć, o co petentom chodzi, wreszcie oburzył się, że Żydzi chcą „oszukiwać swego Pana Boga" i namawiają go do udziału w oszustwie. W zamian spotkał się z miażdżącą ripostą rabina:

„Uj, jak pan dużo o sobie myśli. Pan Bóg nie ma nic lepszego do roboty, tylko pilnować, co pan robi. Ja jeszcze takiego zarozumiałego człowieka nie widziałem!".

W efekcie ubito interes. ©℗

eprasa.pl 1390f19820

TYLKO U NAS!

BLISCY OFIAR OPOWIADAJĄ O BESTIALSTWIE BOLSZEWIKÓW

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA DO RZECZY

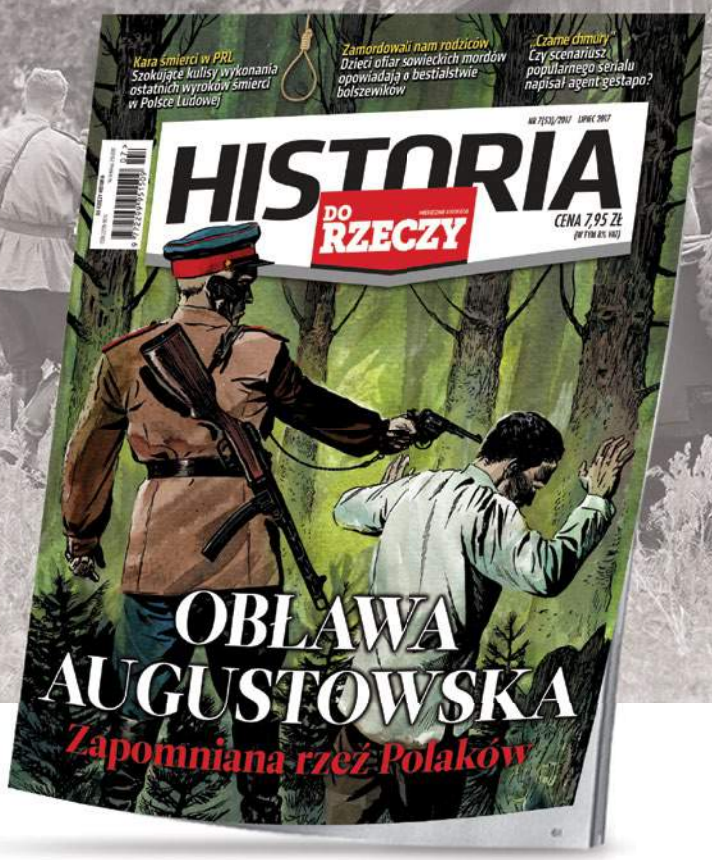

NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Krzysztof Jasiewicz – **Zginęli, bo byli Polakami** / Mary Beard – Upadek Imperium Rzymskiego / **Marcin Bartnicki** – **Ostatnie wyroki śmierci w PRL** / Rafał A. Ziemkiewicz – Niepotrzebny bombowiec Łoś / Piotr Zychowicz – Ludobójstwo sowieckich jeńców / Piotr Semka – Saga Vidkuna Quislinga / **Jakub Ostromęcki** – **Kłamstwa „Czarnych chmur"**

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl 1390f19820

Ofensywa brytyjskiego wdzięku

Jacek Przybylski

Witani niczym gwiazdy show-biznesu książę William i księżna Kate wraz z dwojgiem królewiąt to najlepsza dyplomatyczna broń Londynu. Nikt inny nie potrafi tak ocieplać wizerunku Zjednoczonego Królestwa

Najpierw Warszawa i Gdańsk, potem Berlin, Heidelberg oraz Hamburg – to najważniejsze miejsca w programie trwającej od poniedziałku tygodniowej książęcej podróży po Europie. To pierwsza oficjalna wizyta Ich Królewskich Wysokości w Polsce i Niemczech. Jego Królewska Wysokość William książę Cambridge i Jej Królewska Wysokość Catherine księżna Cambridge przybędą do środkowej Europy na pokładzie prywatnego samolotu. Będzie im towarzyszyć sztab kilkunastu osób, w tym m.in. doradca książęcej pary sir David Manning, asystenci ds. komunikacji, dwóch oficerów logistyki, koniuszy, a także fryzjer księżnej Kate oraz urodzona w Madrycie Maria Teresa Turrion Borrallo. Pochodząca z zamożnej katolickiej rodziny opiekunka królewskich dzieci ukończyła elitarną szkołę dla niań Norland College w Bath i przez ponad 20 lat opiekowała się potomkami brytyjskich bogaczy i arystokratów. Oprócz charakterystycznych dla zwykłych niań kompetencji związanych z szyciem, gotowaniem czy udzielaniem pierwszej pomocy, potrafi m.in. samodzielnie uciec samochodem z pułapki zastawionej przez terrorystów czy ukrywać się przed wścibskimi obiektywami paparazzich. W razie konieczności potrafi też osobiście obronić podopiecznych – jest bowiem posiadaczką czarnego pasa w koreańskiej sztuce walki taekwondo.

POGROMCY WROGÓW MONARCHII

Książęca para wyruszyła w tę podróż na prośbę resortu spraw zagranicznych w Londynie – wizyta ma być bowiem elementem ofensywy brytyjskiego wdzięku, której celem jest doprowadzenie do ocieplenia wizerunku wyspiarskiego kraju i wzmocnienia relacji Londynu z innymi stolicami Europy podczas procesu opuszczenia Unii Europejskiej przez Wielką Brytanię. Tego typu wizyty nie tylko mają bowiem wymiar polityczny czy medialny (tabloidy z pewnością będą zachwycały się nową kolekcją ubrań, w których wystąpi seksowna księżna Kate), lecz także przyczyniają się np. do polepszenia kontaktów handlowych. Aby cieszącej się statusem celebrytów książęcej parze jeszcze łatwiej było wywiązać się z obowiązków rodziny królewskiej i zdobyć serca Polaków oraz Niemców, fotogeniczna para ma zabrać ze sobą dwójkę swoich pięknych królewiąt: czteroletniego księcia George'a i dwuletnią księżniczkę Charlottę. To gwarantowany patent na medialny sukces. W kwietniu 2016 r. internetowym przebojem na całym świecie stało się nagranie ze spotkania Baracka Obamy z ubranym w biały szlafrok trzyletnim

eprasa.pl 1390f19820

Ich Królewskie Wysokości do Warszawy zabiorą dwoje swoich dzieci: księcia George'a i księżniczkę Charlottę FOT. ANDREW PARSONS/I-IMAGES/EAST NEWS

wówczas księciem George'em, który – gdy amerykański prezydent pojawił się w pałacu Kensington – szykował się już powoli do królewskiego snu. Krótki filmik z tego oficjalnego bądź co bądź spotkania obejrzały miliony internautów.

Mały książę George prawdziwą gwiazdą był też podczas oficjalnej podróży Ich Królewskich Wysokości do Australii i Nowej Zelandii w 2014 r. W oficjalną podróż z dwójką dzieci książęca para do tej pory wybrała się jednak tylko raz: wywołując tą decyzją euforię wśród niezwykle licznych fanów rodziny królewskiej w Kanadzie. Ich Królewskie Wysokości wraz z królewiętami wzbudziły w Kanadzie taki zachwyt, że dziennikarze nazywali potomków Williama i Kate „pogromcami republikanów" i najlepszymi promotorami brytyjskiej monarchii.

I chociaż w Polsce i Niemczech księcia Williama i księżną Kate z dziećmi będzie można prawdopodobnie fotografować głównie podczas oficjalnego powitania i pożegnania, to i tak jest to niezwykła okazja, aby zobaczyć młode pokolenie rodziny królewskiej w pełnym składzie. Od września kończący w tym tygodniu cztery latka książę George – trzeci w kolejce do tronu – zacznie bowiem chodzić do „zerówki" w elitarnej prywatnej szkole podstawowej Thomas's Battersea na południu Londynu, w której za semestr nauki trzeba zapłacić równowartość 29 tys. zł. Dwuletnia księżniczka Charlotte zacznie zaś niebawem uczęszczać do żłobka.

DRUGI W KOLEJCE

Książę William i Kate Middleton pobrali się w 2011 r. Ich ślub ostatecznie pozbawił nadziei tysiące kobiet na całym świecie zakochanych w młodym monarsze. Przystojny książę Cambridge jest co prawda drugi po swym ojcu Karolu, księciu Walii, w kolejce do tronu Zjednoczonego Królestwa, ale długo był pierwszym w kolejce do serc Brytyjek i nie tylko Brytyjek. Wnuk Elżbiety II i księcia Filipa, syn księżnej Diany, miał tego świadomość. Podczas studiów cieszył się więc opinią łamacza niewieścich serc. Kobiety robiły zaś, co mogły, aby wpaść w królewskie oko. „William nie wiedział, że to możliwe, aby kochać tylko jedną kobietę… ale wtedy Kate przyjechała do miasta w seksownej sukience…" – tak rozwój romansu księcia z przyszłą księżną opisywał „Daily Mail". Kate Middleton błyskawicznie pokochali też poddani królowej. Miodowy miesiąc w tabloidach szybko się jednak skończył, a redaktorzy bulwarówek zaczęli oskarżać księżną Kate o to, że zbyt łatwo z (prawie) zwykłej dziewczyny z ludu stała się „królewską snobką". Książęca para jest zaś oskarżana przez plotkarską prasę o – łagodnie mówiąc – „alergię na pracę", a nawet o bycie „najbardziej leniwymi członkami rodziny królewskiej w historii brytyjskiej monarchii".

Od kilku lat para młodych Ich Królewskich Wysokości aktywnie wypełnia jednak monarsze obowiązki. Według portalu Condé Nast Traveler młodzi monarchowie każdego roku odbywają od 60 do 100 oficjalnych wizyt zagranicznych. W marcu książę William wraz z księżną Kate złożyli historyczną, dwudniową wizytę w Paryżu (do stolicy Francji nie zabrali jednak swoich dzieci). Sam książę tylko w czerwcu odwiedził zaś Singapur oraz Australię.

Książęcych wizyt jest tak wiele m.in. dlatego, że królowa Elżbieta II – uznawana za najskuteczniejszą dyplomatyczną broń Zjednoczonego Królestwa – nie wszędzie może się udać osobiście. Zgodnie z tradycją królowa oficjalną wizytę w danym kraju składa tylko raz w życiu. Mimo to Elżbieta II, określana mianem „królowej z walizką", mogłaby napisać niezwykły przewodnik. Gdyby bowiem zliczyć wszelkie jej podróże, to okazałoby się, że zdołała ponad 40 razy okrążyć kulę ziemską, odwiedzając około 130 państw.

Takim wynikiem nie mógł się pochwalić żaden z jej poprzedników. Królowa Elżbieta II zwiedziła większą część świata bez paszportu – brytyjskie paszporty są bowiem wystawiane w jej imieniu, ona sama nie potrzebuje więc takiego dokumentu.

eprasa.pl 1390f19820

Polskę brytyjska monarchini pierwszy i ostatni raz odwiedziła w marcu 1996 r. Spacerującą m.in. po Warszawie i Krakowie królową w towarzystwie męża, księcia Edynburga Filipa, witały wówczas tłumy sympatyków.

PLANY ICH WYSOKOŚCI

Książę i księżna „nie mogą się doczekać tej wizyty i są zachwyceni ekscytującym, zróżnicowanym programem" – ogłosił rzecznik Ich Królewskich Wysokości, podkreślając, że książęta są wdzięczni, że będą mogli całą rodziną spotkać się z Polakami i Niemcami – „ważnymi przyjaciółmi Wielkiej Brytanii".

Według programu ogłoszonego przez pałac Kensington w Londynie – który jest siedzibą pary książęcej – lądowanie księcia Williama i księżnej Kate w Warszawie zaplanowano na południe w poniedziałek 17 lipca. Oficjalnie w Pałacu Prezydenckim Ich Królewskie Wysokości powita prezydent Andrzej Duda wraz z pierwszą damą. Z pałacu para książęca przejedzie do Muzeum Powstania Warszawskiego, a następnie spotka się z kombatantami i zapali znicze dla upamiętnienia powstańców.

Ponieważ Ich Królewskie Wysokości przeważnie proszą gospodarzy o zorganizowanie spotkania również z młodymi ludźmi, z muzeum książę i księżna udadzą się do biurowca Warsaw Spire, gdzie w inkubatorze biznesu The Heart Warsaw poznają młodych polskich przedsiębiorców i start-upowców. Spotkanie da też początek nowemu projektowi współpracy technologicznej „Warsaw-London Bridge", którego celem jest pomoc małym polskim firmom w uzyskaniu dostępu do światowych rynków. Wieczorem książęca para weźmie zaś udział w przyjęciu wydanym przez ambasadora Wielkiej Brytanii w Warszawie z okazji 91. urodzin królowej Elżbiety II w Starej Oranżerii w Łazienkach Królewskich. Przemówienia wygłoszonego tam przez księcia Williama będzie słuchać ok. 600 zaproszonych gości.

Na wtorkowy poranek zaplanowano wyjazd do byłego nazistowskiego niemieckiego obozu koncentracyjnego Stutthof w Sztutowie, pierwszego obozu założonego poza granicami Niemiec (2 września 1939 r.) i jednego z ostatnich wyzwolonych przez aliantów. Przez ponad pięć lat w obozie Stutthof zarejestrowano łącznie ok. 110 tys. osadzonych z 28 państw. 18 lipca Ich Królewskie Wysokości spotkają się tam z grupą byłych więźniów obozu.

Następnie książę i księżna przejadą do Gdańska. Podczas spaceru po staromiejskim rynku książęca para zostanie obdarowana m.in. gdańską wódką Goldwasser, czyli likierem ziołowo-korzennym, który od kilku wieków jest na tyle znany, że wspominał o nim nawet Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu". William i Kate mają również skosztować tradycyjnych polskich pierogów. Ich Królewskie Wysokości będą też obserwować, jak miejscowi rzemieślnicy obrabiają bursztyny. Wysłuchają

Zgodnie z tradycją królowa Elżbieta II oficjalną wizytę w danym kraju może złożyć tylko raz. W Polsce była w 1996 r. FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

również występów lokalnych muzyków i artystów ulicznych.

We wtorek książęca para zwiedzi również Gdański Teatr Szekspirowski, którego patronem jest książę Walii. Zasiadając wśród dziecięcej widowni William i Kate obejrzą specjalne przedstawienie, a następnie wezmą udział w przyjęciu dla przedstawicieli świata sztuki, kultury i mediów. Brytyjska para przejdzie też przez słynną bramę Stoczni Gdańskiej, zwiedzi Europejskie Centrum Solidarności, a także spotka się z założycielami Solidarności. Wtorkowy program zakończą złożenie wieńca pod pomnikiem Poległych Stoczniowców i powrót do hotelu w Warszawie.

DYNASTIA „MADE IN GERMANY"

W środę Ich Królewskie Wysokości wyruszą w krótką podróż do Niemiec, gdzie spotkają się m.in. z kanclerz Angelą Merkel. Dla brytyjskiej monarchii to szczególnie ważny europejski kraj. Od ponad 300 lat na tronie Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej zasiadają bowiem władcy, których korzenie wywodzą się z niemieckich rodów panujących. W 1714 r. na mocy brytyjsko-hanowerskiej unii personalnej władcą Brytyjczyków został Jerzy I Hanowerski, który jednak większość czasu spędzał w ukochanym Hanowerze i nigdy nie nauczył się nawet porządnie mówić w języku Szekspira. Jego syn – Jerzy August – zapisał się na kartach historii jako ostatni brytyjski monarcha, który urodził się poza granicami Wielkiej Brytanii. Ostatnim władcą, który był jednocześnie królem Wielkiej Brytanii i Irlandii oraz królem Hanoweru był William IV. „Król żeglarzy" miał wiele nieślubnych dzieci, ale umierając w 1837 r., nie pozostawił żadnego prawowitego męskiego następcy tronu. Władzę w imperium brytyjskim objęła więc jego 18-letnia wnuczka Wiktoria. Kłopot w tym, że na tronie Hanoweru nie mogła wówczas zasiadać kobieta. Tym samym wygasła unia personalna Wielkiej Brytanii i Hanoweru.

Królowa Wiktoria, która zmarła w 1901 r., zasiadała na tronie imperium aż przez 63 lata i 7 miesięcy i była najdłużej panującym monarchą brytyjskim. Jej rekord pobiła jej praprawnuczka, czyli panująca obecnie Elżbieta II Windsor-Mountbatten, która władzę nad imperium sprawuje już ponad 65 lat.

I chociaż w XXI w. wielu Brytyjczyków wolałoby już zapomnieć o niemieckich korzeniach rządzącej dynastii, to Niemcy nadal są z tego faktu niezwykle dumni. Według portalu Deutsche Welle mieszkańcy kraju nad Odrą i Renem z wielką pasją śledzą więc wszelkie plotki i doniesienia dotyczące brytyjskiej rodziny królewskiej. Można się więc spodziewać, że wizyta książęcej pary zdominuje wakacyjny program telewizyjny niemieckich stacji, zapewniając im ogromny skok oglądalności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1390f19820

FOT. SIMONA GRANATI/GETTY IMAGES

RODZINA NA SWOIM PO NIEMIECKU

Nie minęło zbyt wiele czasu, a niemiecka polityka „Herzlich willkommen" (w skrócie: „Serdecznie witamy", a w rozwinięciu: „Przyjeżdżajcie do nas, gdyż właśnie zrezygnowaliśmy z ochrony granic i chętnie rozdamy wam zasiłki socjalne oraz wszelkie inne dobra") zamieniła się w politykę „Familie zusammen" (w skrócie: „Rodzina razem", a w rozwinięciu: „Teraz, kiedy pozwoliliśmy wam na niekontrolowane przekraczanie granic i osiedlanie się oraz korzystanie z przywilejów socjalnych, dajemy wam jeszcze możliwość ściągnięcia tutaj swoich krewnych, by i oni mogli z tego wszystkiego korzystać"). Gdy migracja do UE została trochę ograniczona, toczy się ona teraz – jak sprawdził dziennik „Welt am Sonntag" – innym kanałem i niemieckie ministerstwo spraw zagranicznych szacuje, że do tego kraju w ramach „łączenia rodzin" przybędzie niebawem nawet 300 tys. kolejnych imigrantów. W związku z tym w niemieckich ambasadach i konsulatach pracuje o 100 więcej urzędników zajmujących się wydawaniem wiz rodzinom imigrantów. Przedstawiciele partii Zielonych już ganią rząd, że akcja relokacji rodzin przebiega zbyt opieszale.

PODATEK PO WŁOSKU

Wielu Polaków od dawna zachodzi w głowę, dlaczego musi płacić podatek od psa, a od kota nie. Jednak kiedy przeczytają raport o lokalnych podatkach we Włoszech, poczują satysfakcję z obowiązków fiskalnych występujących nad Wisłą. W Italii płacić trzeba daninę np. od cienia, który na publiczny chodnik rzuca zainstalowana na budynku markiza, albo za flagi, które urzędnicy uznają za reklamę. W wielu miejscach opodatkowane jest też zbieranie grzybów i łowienie ryb.

DYSKRYMINUJĄCE TOALETY W BERLINIE

W poprzednim numerze „Do Rzeczy" w tej rubryce opisaliśmy pomysł fińskiej organizacji, która wymyśliła nowe oznaczenie toalet – by nie dyskryminowały tych, którzy nie czują się ani mężczyzną, ani kobietą. Myślenie to zakiełkowało także w Niemczech. Niejaki Dirk Behrendt, odpowiadający za prawa konsumenta w senacie Berlina, zamierza doprowadzić do przekształcenia toalet w rządowych budynkach – mają być one „koedukacyjne", by nie dyskryminować osób transseksualnych. – W pociągach czy samolotach toalety nie są podzielone na różne płcie i nikomu to nie przeszkadza – argumentuje Behrendt. I ma rację, bo np. w lesie w ogóle nie ma toalet i każdy może zrobić, co chce i jak chce.

MUZUŁMAŃSKIE GEJOWSKIE WESELE

Nie mają racji ci, którzy obawiają się, że napływ muzułmanów do Europy spowoduje wypieranie dzisiejszej kultury i religii chrześcijańskiej. Okazuje się, że nowoczesność wypiera nawet islam. Jak doniosły brytyjskie gazety, w urzędzie w Walsall odbyła się pierwsza uroczystość gejowskiego ślubu. Małżeństwem zostali 24-letni Jahed Choudhury i 19-letni Sean Rogan. Ten pierwszy wierzy, że jego ślub będzie znaczącym postępem dla społeczności muzułmańskiej i LGBT. – Pokażemy całemu światu, że można być gejem i muzułmaninem – stwierdził. Ciekawe, co powiedzą jego współwyznawcy, gdy uda się na jakąś wycieczkę poza Europę.

DŻINSY PRZYCZYNĄ GWAŁTÓW

Rada indyjskiej wioski Baldiyapura uznała, że trzeba zacząć przeciwdziałać źródłom „społecznego zła". Jej przedstawiciele są przekonani, że częściej dochodzi do gwałtów i molestowania, gdy kobiety noszą wyzywające stroje. Dlatego zaapelowali do rodziców dziewcząt, by zakazywali im noszenia dżinsów i innych zachodnich ubrań. Członkowie rady wioski przestrzegają również przed używaniem telefonów komórkowych i zakazali sprzedaży alkoholu. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **ŁUKASZ ZBORALSKI**

eprasa.pl 1390f19820

FOT. AP PHOTO/EAST NEWS

Z Michaelem Dukakisem, politologiem, kandydatem Partii Demokratycznej w wyborach prezydenckich w USA w 1988 r.
rozmawia Piotr Włoczyk

Jest gorzej, niż myślałem

PIOTR WŁOCZYK: Czuje pan, że pańskie wolności osobiste są od pół roku zagrożone?

MICHAEL DUKAKIS: Nie, nie mam takiego poczucia.

Pan, zdeklarowany demokrata, kandydat Partii Demokratycznej w wyborach prezydenckich, człowiek, który od samego początku mocno popierał Hillary Clinton, nie obawia się o przyszłość amerykańskiej demokracji?

Nie. Oczywiście zawsze trzeba być czujnym i dbać o wolność, ale nie wydaje mi się, żeby ten człowiek był w stanie zniszczyć naszą demokrację.

To ciekawe, bo generalnie krytykom Donalda Trumpa najwyraźniej puszczają nerwy. Demokratyczny kongresmen Gerry Connolly porównał działania Trumpa do zachowania Hitlera, a prof. Timothy Snyder, historyk z Uniwersytetu Yale, znawca totalitaryzmów, przestrzega, że Trump częściowo wykazuje „faszystowskie" tendencje. Co pan powie na takie argumenty?

Nie szedłbym w tej krytyce aż tak daleko. Proszę mnie jednak przy tym nie zrozumieć źle: jestem wprost osłupiały, gdy widzę, co ten człowiek wyrabia w naszej polityce wewnętrznej. Po prostu nie mam skłonności do popadania w przesadę. Jestem już na tyle stary, że pamiętam jeszcze nagonkę z czasów McCarthy'ego. Zresztą sam ją przeżyłem na własnej skórze – na początku służby w US Army byłem długo przesłuchiwany w sprawie mojej działalności politycznej. FBI miało wtedy na mnie całą teczkę! Nasza demokracja była wówczas naprawdę zagrożona.

Proszę mi wierzyć: nie stracimy demokracji pod rządami Donalda Trumpa. Jednym z powodów, dla których Trump ma tyle problemów z rządzeniem – np. w sprawie realizacji swojej polityki imigracyjnej – jest to, że Ameryka to silna demokracja i nie brakuje mechanizmów ograniczających Trumpa. Powstała nawet cała sieć aktywistów, którzy błyskawicznie reagują w takich przypadkach na płaszczyźnie prawnej. Świetnie było to widać w sprawie zaostrzania polityki imigracyjnej. Tak więc to raczej Trump ma problem z naszą demokracją, a nie odwrotnie.

Ta prezydentura jest gorsza czy lepsza w stosunku do pańskich wyobrażeń?

Jest zdecydowanie gorzej, niż to sobie wyobrażałem tuż po wyborach. Wydawało mi się, że skoro to facet z Nowego Jorku, to będzie jednak w miarę rozsądny. Proszę pamiętać, że Trump wspierał swego czasu liberalne projekty, a nawet w czasie wyborów w 1988 r. powiedział kilka dobrych słów na mój temat. Stwierdził wtedy w wywiadzie telewizyjnym, że Bush jest OK, ale tak naprawdę to lubi Dukakisa (śmiech). W każdym razie to, co teraz widzimy, to coś bardzo rozczarowującego jak na nowojorczyka. Weźmy choćby ten jego stosunek do aborcji.

Chodzi panu o mianowanie na sędziego Sądu Najwyższego człowieka o proliferskich poglądach czy zabranie pieniędzy federalnych organizacjom promujących aborcję poza granicami USA? Prezydent miał do tego pełne prawo. Gdzie tu ekstremizm?

Tylko że on sam przecież nie wierzy w to, co mówi na temat aborcji. To nonsens, czysta polityka, żeby przypodobać się konserwatywnej części elektoratu. Bardzo mnie tym rozczarował.

Część kongresmenów z Partii Demokratycznej wzywa do wszczęcia procedury impeachmentu wobec Donalda Trumpa. To realne postulaty?

Na razie taki scenariusz nie wydaje mi się prawdopodobny – Trump musiałby zostać bezpośrednio przyłapany na popełnieniu przestępstwa – ale nie mogę też zupełnie wykluczyć takiej opcji.

W niczym się z Trumpem nie zgadzam, jego prezydentura nie przyniesie niczego dobrego, ale moim zdaniem ludzie przejrzą na oczy. Przed nami wielka szansa dla demokratów, żeby go odesłać do Trump Tower. Myślę, że w 2020 r. uda się dramatycznie odmienić ten kraj siłom progresywnym.

eprasa.pl 1390f19820

Gwarancji pewnie pan jednak na to nie da...

Nie, po listopadowych wyborach nikt już w naszej polityce nie da na nic żadnych gwarancji (śmiech).

Tylko pytanie, czy Partia Demokratyczna odrobiła lekcję płynącą z ostatnich wyborów. Dlaczego pańskim zdaniem – pytam teraz pana jako politologa – Trump przekonał do siebie Amerykanów?

Ale przecież on nie przekonał do siebie Amerykanów!

Słucham?

Tylko przypomnę, że Trump w głosowaniu powszechnym dostał 3 mln głosów mniej od Hillary Clinton. Trump został prezydentem dzięki temu absurdalnemu systemowi elektorskiemu, który powinien zostać zniesiony już 200 lat temu. Zresztą działa u nas prężnie ruch, który zmierza do zmiany tego stanu rzeczy. Mam nadzieję, że uda się to szybko naprawić.

To brzmi trochę tak, jakby pan sugerował, że Trump grał na podstawie innych zasad. Tymczasem reguły gry były takie same dla obu stron. Trump po prostu lepiej rozegrał to taktycznie.

Jest trochę prawdy w tym, co pan mówi, ale krytykując system elektorski, jestem obiektywny. Jeżeli John Kerry w 2004 r. dostałby o 60 tys. więcej głosów w jednym, kluczowym stanie – Ohio, to zostałby prezydentem, mimo że to Bush dostał wtedy w całym kraju 3 mln głosów więcej. Taka sytuacja byłaby dla mnie również nie do przyjęcia.

Wrócę do swojego pytania: Czym Trump przekonał tak wielu Amerykanów?

To dosyć proste. Bardzo wielu Amerykanów czuje się wyalienowanych pod względem politycznym i ekonomicznym. Realne zarobki 80–85 proc. Amerykanów nie wzrosły praktycznie w ogóle w ciągu ostatniego półwiecza. Cały zysk z rozwoju trafił do kieszeni 10 proc. najbogatszych. Zwykli ludzie to widzą.

Tylko że poprzednie osiem lat to rządy Baracka Obamy, który dużo mówił o sprawiedliwości społecznej...

Pamiętajmy jednak, że Barack Obama rozpoczynał prezydenturę w szczycie potężnego kryzysu, więc to, w jakim stanie jest dziś amerykańska gospodarka, to olbrzymi sukces poprzedniego prezydenta. Mimo jego starań zwykli ludzie wciąż jednak nie czują się beneficjentami rozwoju. I to właśnie wykorzystał Trump: „Zostaliście wyautowani, ale ja się znam na biznesie i sprawię, że będzie wam się żyło lepiej".

A może po prostu był dla zwykłych Amerykanów bardziej autentyczny niż Hillary Clinton? Może demokraci powinni byli jednak postawić na innego kandydata w swoich prawyborach?

Tylko że z drugiej strony mieliśmy już takich prezydentów jak Franklin D. Roosevelt i John F. Kennedy, którzy cieszyli się ogromnym poparciem wśród robotników, chociaż sami pochodzili z wyższych sfer. Czyli chodziło chyba o coś innego.

O co?

To dobre pytanie (śmiech). Niech pan pamięta, że rozmawia pan z człowiekiem, który powinien był wygrać wybory z Bushem seniorem. Takie były początkowo prognozy. Dlaczego przegrałem? Z wielu przyczyn, ale większość winy spoczywa wyłącznie na mnie, na nikim innym. Tak to zwykle bywa z przegranymi kampaniami wyborczymi.

Dlaczego właściwie tak bardzo nie podoba się panu pomysł zbudowania muru na granicy z Meksykiem? Donald Trump twierdzi, że w pełni suwerenne państwo musi wiedzieć, kogo wpuszcza na swoje terytorium. Co w tym kontrowersyjnego?

Co to w ogóle znaczy? To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałem. Czy Trump nie wie, że z Meksykiem dzielimy również granicę morską, zarówno na Atlantyku, jak i na Pacyfiku? Że istnieją takie rzeczy jak łódki, którymi można ominąć ten jego wielki mur?

Nie od tego jest właśnie straż przybrzeżna, żeby dbać o szczelność granicy na morzu?

I da się ich wszystkich powstrzymać? Istnieje milion sposobów na obejście tego jego muru, więc wydawanie miliardów na ten projekt jest po prostu – delikatnie rzecz ujmując – idiotyczne.

Poza tym nikt jakoś nie mówi, że Obama deportował więcej ludzi niż jakikolwiek inny prezydent w historii. Naprawdę nie trzeba nam muru Trumpa, lepiej wydać te pieniądze na naprawę naszej infrastruktury drogowej.

Na koniec przejdźmy do najważniejszej dla Polaków sprawy. O NATO jest już pan spokojniejszy niż na początku tej prezydentury?

Zacznę od tego, że moim zdaniem błędem było rozszerzanie NATO. Kiedy skończyła się zimna wojna, Bush senior zapewnił Gorbaczowa, że nie poszerzy sojuszu o byłe kraje komunistyczne. Oczywiście stało się inaczej. Przyjaźnię się z Billem Clintonem, to świetny facet, ale nigdy nie rozumiałem, dlaczego zgodził się na rozszerzenie NATO aż do rosyjskich granic. Przecież wiadomo, że będzie to solą w oku dla każdego rosyjskiego przywódcy. Poza tym Finlandia ma długą granicę z Rosją, nie jest w NATO, a mimo to świetnie sobie radzi.

Jeżeli byłby pan Polakiem, to zrozumiałby pan, dlaczego to tak ważne.

O ile rozumiem, że NATO jest dla was ważne, o tyle proszę mi wytłumaczyć, co wam da wybudowanie tarczy antyrakietowej w Polsce. Ta instalacja jest ponoć po to, żeby zatrzymać irańskie pociski, ale przecież wiemy, że to bzdura. To jest przecież najlepszy sposób, żeby antagonizować Rosjan.

Nie za miękko podchodzi pan do tych spraw?

To nie jest miękkość, tylko chęć budowania dobrych relacji z innymi. Pragnę, by mój kraj pracował wraz z innymi państwami w celu minimalizowania ryzyka konfliktów. Chcę, byśmy zmierzali do świata, w którym nie będzie wojen. Nie jestem naiwnym optymistą, ale jestem optymistą. Myślę, że uda się zbudować taki świat. To, że mamy wydać bilion dolarów na modernizację naszego arsenału jądrowego, nie mieści mi się w głowie. Ja cały czas myślałem, że chcemy się go w końcu pozbyć!

Musimy próbować dogadywać się również z krajami, które nie podzielają naszych demokratycznych ideałów.

Nie widzi pan, jak ciężko współpracuje się z Rosją?

Wystarczy mi już zimnej wojny. Pamiętam doskonale, jak wtedy było. Myślałem, że tamten rozdział został zamknięty, ale teraz wygląda na to, iż niektórzy chcą go na nowo otwierać. Początkowo podejście Trumpa w tej sprawie wydawało mi się sensowne: dogadajmy się z Rosją i skończmy tę minizimną wojnę. Teraz jednak wydaje się, że Trump idzie inną drogą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Michael Dukakis (ur. w 1933 r.) jest profesorem politologii, byłym politykiem Partii Demokratycznej. W latach 1975–1979 oraz 1983–1991 był gubernatorem stanu Massachusetts. W 1988 r. Michael Dukakis przegrał wybory prezydenckie z George'em H.W. Bushem.

eprasa.pl 1390f19820

Łukasz Warzecha

Polska musi wyciągnąć wnioski z tego, jak poprawność polityczna pozwala wzrastać lewicowym bojówkarzom. Wystarczy przyjrzeć się Niemcom

Hodowanie ekstremistów

Duże straty materialne, 123 rannych policjantów i zamieszki trwające długo po tym, gdy skończyły się formalne protesty. Nie, to nie Hamburg w lipcu 2017 r., ale Berlin dokładnie rok wcześniej, w lipcu 2016 r. Tak wyglądała próba usunięcia lewackich squatersów (nielegalnych mieszkańców) ze słynnej nieruchomości przy Rigaer Strasse 94, w dzielnicy Friedrichshain na wschodzie stolicy Niemiec. Adres przy Rigaer Strasse stał się symbolem skrajnie lewackiego, często siłowego sprzeciwu wobec „kapitalizmu" czy też „gentryfikacji". Ten ostatni termin – będący częścią specyficznej nowomowy, hołubionej przez lewicę – oznacza przekształcanie danej okolicy w uporządkowaną i czystą przestrzeń, dostępną raczej dla obywateli o wyższym statusie materialnym.

Niemcy mają potężny problem z lewicowym ekstremizmem, czego kulminacją okazały się zamieszki, a właściwie wojna domowa na ulicach Hamburga podczas szczytu G20. Do wielu komentatorów, a pewnie i zwykłych Niemców, dotarło dopiero wówczas, jakim zagrożeniem jest lewacki ekstremizm, dotąd bowiem żyli w przekonaniu, że głównym, a na pewno poważniejszym niebezpieczeństwem jest ekstremizm prawicowy.

LEWACKI NAJAZD

Skala agresji i zniszczeń w Hamburgu przeszła być może oczekiwania samych organizatorów lewackiego najazdu. Agresywni bandyci zranili ponad 200 policjantów, złupili trudną do oszacowania liczbę sklepów, podpalili wiele samochodów. Zatrzymano blisko 100 osób. Bojówkarze byli świetnie przygotowani. Mieli ze sobą nawet lasery dużej mocy, którymi starali się oślepić policjantów oraz pilotów policyjnych helikopterów, krążących nad obszarem zamieszek.

Mieszkańcy Hamburga, cytowani przez zagraniczne media, o sytuację obwiniali – i słusznie – władze miasta. Jak napisała do mnie znajoma, na stałe mieszkająca właśnie w Hamburgu – nikt tam szczytu G20 nie chciał, ale też nikt hamburczyków o zdanie nie pytał. A przecież można było przewidzieć, co się wydarzy. Niemcy przechodzili to wielokrotnie. W 2007 r. szczyt G8 w Heiligendamm nad Bałtykiem pozostawił po sobie – poza zniszczeniami – 400 rannych policjantów. Lewackie demonstracje przeciwko Europejskiemu Bankowi Centralnemu we Frankfurcie w 2015 r. przerodziły się w zamieszki, w których obrażenia odniosło 220 osób. Zatrzymano niemal 30 uczestników. Rannych zostało 150 policjantów. Komentatorzy zwracali wówczas uwagę, że organizatorzy oficjalnego protestu, w tym przede wszystkim lokalny lider lewicowej partii Die Linke i zarazem członek landowego parlamentu Hesji Ulrich Wilken, nie potępili bandyckich działań bojówkarzy.

Po zamieszkach w Hamburgu jedna z liderek Die Linke, Ulla Jelpke, oznajmiła, że za agresję odpowiada policja, która miała zachowywać się prowokująco. W rzeczywistości prowokacyjnie zachowało się radykalne lewactwo. Niemieckie prawo zabrania bowiem zasłaniania twarzy podczas zgromadzeń publicznych. Mimo to znaczna część uczestników protestu przeciwko G20 pojawiła się na demonstracji z zakrytymi obliczami. Policja zaapelowała do zebranych, aby odkryli twarze. Gdy duża grupa nie wypełniła polecenia, funkcjonariusze ruszyli do akcji, by oddzielić ich od reszty demonstrantów. To wtedy zaczęły się starcia.

Władze Hamburga mogły się spodziewać takiego rozwoju wypadków również dlatego, że o przygotowywaniu przez lewicę wielkiej akcji wiadomo było od dawna. Można było o tym przeczytać między innymi w corocznym raporcie, publikowanym regularnie przez niemiecki Federalny Urząd Ochrony Konstytucji (Bundesamt für Verfassungsschutz), odpowiednik polskiej ABW. W materiale dotyczącym sytuacji w roku 2016 urząd ostrzegał, że niewielki spadek liczby aktów przemocy ze strony lewackiej ekstremy w stosunku do 2015 r. wynikał wyłącznie z faktu, że

eprasa.pl 1390f19820

Antyglobaliści 7 lipca przed szczytem G20 zdemolowali Hamburg FOT. OMER MESSINGER/GETTY IMAGES

w ubiegłym roku nie było w Niemczech żadnego istotnego wydarzenia, które byłoby dogodnym pretekstem do zorganizowania wielkiej awantury. G20 nadawało się do tego idealnie. „Na 7 lipca 2017 r. planowane są masowe blokady oraz akcje nieposłuszeństwa obywatelskiego. Na 8 lipca sympatycy są zwoływani na wielką demonstrację w Hamburgu" – pisali autorzy raportu.

W organizowaniu lewackiej bandyterki pomocne są media społecznościowe, lecz prócz Twittera i Facebooka, poddanych jednak moderacji, niemieccy lewacy cenią sobie również te, które pozostają poza kontrolą. Takim miejscem jest platforma internetowa Linksunten.indymedia.org. Na niemieckojęzycznej stronie znajdziemy dziś wiele tekstów o wydarzeniach w Hamburgu, a także apele w rodzaj: „Wspieraj swój miejscowy obóz Antify!" – czyli radykalnej lewackiej bojówki. To właśnie członkowie niemieckiej Antify zostali zaproszeni do Polski przez lewicowe środowiska na zadymy związane ze Świętem Niepodległości w 2011 r. Policja odkryła wówczas w kawiarni Nowy Wspaniały Świat, prowadzonej przez „Krytykę Polityczną", skład pałek, kastetów i miotaczy gazu łzawiącego. Stało się to tuż po tym, jak członkowie niemieckiej Antify pobili na Nowym Świecie rekonstruktorów w mundurach z okresu Księstwa Warszawskiego, po czym umknęli do lokalu „Krytyki Politycznej".

W Polsce również istnieje i działa Antifa. Ma nawet swój oficjalny profil na Facebooku (jako Akcja Antyfaszystowska). Dowiemy się z niego m.in., że hamburskie zamieszki były skutkiem policyjnych prowokacji. Niewykluczone, że właśnie z tego środowiska wywodzą się Polacy zatrzymani w Hamburgu w związku z rozruchami.

EKSTREMISTÓW PRZYBYWA

We wspomnianym raporcie Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji znajdujemy także informację, że platformy internetowe – w szczególności te poza kontrolą i cenzurą – służą nie tylko do zwoływania się na zadymy, lecz także do typowania domniemanych „faszystów", których następnie lewaccy bojówkarze atakują.

Raport podaje konkretne liczby. W roku 2016 było sześć usiłowań zabójstwa, których sprawcami byli lewaccy bandyci, w 2015 zaś – osiem. Liczba lewackich ekstremistów wyraźnie wzrosła rok do roku. W 2015 r. było ich 27,4 tys., rok później już o 2 tys. więcej. Liczba tych, którzy w szczególności nastawieni są na przemoc, wzrosła z 7,7 tys. do 8,5 tys. Wydaje się, że to niewiele na ponad 80-milionowe państwo, ale w przypadku sytuacji takiej jak w Hamburgu – aż nadto.

Niemałą rolę w podtrzymywaniu lewackiej ekstremy odgrywają mieszkańcy nielegalnych komun, takich jak ta przy Rigaer Strasse 94 w Berlinie, gdzie legalny właściciel przez długi czas nie mógł podjąć planowanej inwestycji. Winą za tolerowanie istnienia takich miejsc obarcza się nie tylko władze lokalne, lecz także centralne. W styczniu 2016 r. ekstremiści właśnie z komuny przy Rigaer Strasse pobili policjanta. Następstwem był policyjny szturm na squat – wzięło w nim udział aż 500 funkcjonariuszy. Policja opublikowała następnie zdjęcia znalezionych na terenie nieruchomości przedmiotów. Były wśród nich miotacze gazu, długie gwoździe czy wózki sklepowe, wypełnione kamieniami wielkości idealnej do rzucania w czasie starć z siłami porządkowymi. Szczęśliwie bandyci nie zdążyli z nich skorzystać.

Decyzja o szturmie, krytykowana przez niektórych jako nadmierna reakcja na pobicie funkcjonariusza, była broniona przez policyjny związek zawodowy (Gewerkschaft der Polizei), który w oświadczeniu stwierdził, że nie wolno tolerować istnienia w miastach stref wyjętych spod prawa.

ZABÓJCZA POPRAWNOŚĆ

Tu dochodzimy do istoty sprawy. Niemcy – w znacznie większym stopniu niż Polska – padły ofiarą poprawności politycznej, która zagrożenie, nierzadko urojone, kazała widzieć wyłącznie po prawej stronie. Lewackie komuny w niemieckich miastach były tolerowane przez władze, a właściciele nieruchomości musieli toczyć długie sądowe wojny o eksmisję nielegalnych lokatorów. Zadziwiała przy tym postawa niemieckich sądów. W lutym tego roku przed berlińskim sądem nie odbyła się rozprawa o usunięcie lewaków z Rigaer Strasse 94, ponieważ – zdaniem sędziego – adwokat reprezentujący właściciela nie był w stanie udowodnić, że ma jego pełnomocnictwo. Tak się składa, że potrzebny do tego papier został wcześniej skradziony z biura prawnika podczas włamania. Co ciekawe, nie zginęło wówczas nic poza kilkoma dokumentami.

Taki stosunek niemieckiego państwa do radykalnej lewicy tworzy sprzyjające warunki dla sytuacji takich jak w Hamburgu, Frankfurcie czy Heiligendamm. Polska powinna z tego wyciągnąć wnioski. Nie wolno pozwolić na to, aby lewactwo nielegalnie zajmowało nieruchomości, co przecież zdarzało się i w Polsce – by przypomnieć słynny squat Przychodnia, którym zachwycała się „Gazeta Wyborcza". Lewacka ekstrema powinna być pod ścisłą kontrolą służb, szczególnie że bojówkarze lubią występy wyjazdowe. Nie można też pozwolić, aby lewacka bandyterka znalazła sobie protektorów wśród akceptowanych i pełnoprawnych uczestników życia politycznego, a taką rolę w Niemczech odgrywa partia Die Linke.

Przede wszystkim jednak – i to jest czynnik, który różni Polskę od Niemiec oraz działa na naszą korzyść – większość Polaków traktuje lewacką ekstremę tak jak na to zasługuje – jako dziwaków, ekscentryków albo po prostu zwyczajnych bandziorów, nie zaś jak pełnoprawnych uczestników życia publicznego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1390f19820

SZEWACH WEISS

Czytanie demokracji po nowemu

Kto zna Awiego Gabbaja? W Polsce prawie nikt, na świecie też niewielu, w Izraelu – już wszyscy. Awi Gabbaj przeszedł na świat w Izraelu w rodzinie Żydów pochodzących z Maroka. Skończył dobre szkoły w Hajfie, jest absolwentem dwóch uniwersytetów, specjalistą w sprawach gospodarczych, ekonomicznych i zarządzaniu.

Po służbie w armii (wszyscy w Izraelu służą w wojsku) rozpoczął karierę zawodową – tworzył niewielkie przedsiębiorstwa i zarządzał nimi, a później stanął na czele ogromnego przedsiębiorstwa Bezeq (to spółka z udziałami prywatnymi i państwa, świadcząca m.in. usługi telekomunikacyjne). Bardzo dobrze sprawdził się w tej roli, stał się znany w środowisku ekonomistów, chwalono go w dodatkach gospodarczych wszystkich ważnych dzienników jako sprawnego dyrektora, który jest skuteczny w biznesie i potrafi nawiązać bardzo dobre stosunki z pracownikami. Nie będąc posłem w Knesecie, został ministrem z ramienia partii My Wszyscy (Kullanu). To młode ugrupowanie, które zdobyło 10 mandatów, co jak na izraelskie warunki, mocno rozdrobniony parlament, jest wynikiem bardzo dobrym.

Zrezygnował jednak z pełnienia tej funkcji, mówiąc, że nie zgadza się z polityką rządu, zwłaszcza gospodarczą i zagraniczną. Zapisał się do Partii Pracy. To ugrupowanie z bogatą tradycją po wyborach dwa lata temu, razem z innym ugrupowaniem koalicyjnym, wprowadziło do Knesetu 24 posłów (w Knesecie, jednoizbowym, bardzo małym i sprawnym parlamencie, zasiada 120 posłów). To sporo, ale nie wystarczyło, żeby stworzyć koalicję rządzącą, więc Partia Pracy jest w opozycji. Na czele ugrupowania od kilku lat stał Jicchak Herzog, syn byłego prezydenta Izraela Chaima Herzoga, wnuk Isaaca Herzoga, który był naczelnym rabinem w Łomży, a później w Dublinie. Niedawno odbyły się wybory wewnętrzne w Partii Pracy na przywódcę ugrupowania i kandydata na premiera w przyszłych wyborach do Knesetu. No i zdarzyła się wielka niespodzianka. Awi Gabbaj, który jest w partii ok. pół roku, został jej liderem.

Zmienia się podejście do podstawowych spraw, inaczej pojmuje się demokrację i jej używa. Nie jest to jakieś chwilowe „szaleństwo", ale głębokie procesy, do których musiało dojść w epoce Internetu

Nowy przywódca partii staje przed trudnym zadaniem. Będzie rywalizował z koalicją rządzącą w Izraelu już czwartą kadencję, kierowaną przez Beniamina Netanjahu, zrzeszającą partie prawicowe, religijne. Awi Gabbaj będzie próbował zmienić izraelski ekosystem polityczny, a jego misja łączy się z bardzo ciekawymi zjawiskami, które możemy obserwować niemal w całym demokratycznym świecie. To jakieś pragnienie szybkich zmian, protest przeciwko establishmentowi partyjnemu, marzenie o polityce „czystej" od tego establishmentu.

Każdy socjolog, psycholog, politolog, kulturoznawca, polityk z pewnością zgodzi się z tym, że z takim zjawiskiem mieliśmy do czynienia w Stanach Zjednoczonych, gdy wybory wygrał Donald Trump, kilka lat temu w Grecji i być może również dwa lata temu w Polsce. Również w Hiszpanii obecna opozycja identyfikowana z tymi falami protestu ma duże szanse na stworzenie rządu. Być może wyniki referendum w sprawie brexitu też są owocem tego, że nagle zmienia się podejście do podstawowych spraw, a być może nawet wartości, iż inaczej pojmuje się i używa demokracji. Być może kiedyś, jeśli dojdzie do poważnych zmian w kierunku demokratycznym w Iranie, to będzie to przejawem tego samego zjawiska. Podobne trendy czuć w Japonii, a nawet w Indiach, gdzie w ostatnich wyborach zwyciężyła partia „odnowiona", która zmieniła znaczną część swoich działaczy.

Dokąd nas to zaprowadzi? Nie wiadomo. Jednak warto podkreślić, że nie jest to jakieś chwilowe „szaleństwo", ale głębokie procesy, do których musiało dojść w epoce Internetu i portali społecznościowych, które pobudzają ciekawość świata oraz polityki ludzi, którzy wcześniej nie głosowali. Znajdujemy się w stanie próby stworzenia innej polityki, pewnego powrotu do bezpośredniej polityki.

Mogę się przyznać, że jako osoba od wielu lat związana z polityką i Partią Pracy, jako weteran, który należał do kilku establishmentów politycznych – popieram to zjawisko. ©℗

oprac. raw

eprasa.pl 1390f19820

ZAINWESTUJ W APARTAMENT

Z WIDOKIEM NA JEZIORO W SERCU KARKONOSZY

JUŻ OD **199 000 zł**

8%
stopa zwrotu

10 lat
umowa najmu z operatorem

30 lat
doświadczenia operatora

widok na góry i jezioro

wykończenie i wyposażenie w cenie

wprost

22 299 11 55 sprzedaz@lakehill.pl www.lakehill.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego. Podana cena jest ceną netto, cena brutto 244 770 zł i nie obejmuje miejsca postojowego, którego koszt to 10 000 zł netto, 12 300 zł brutto.

eprasa.pl 1390f19820

Tomasz Wróblewski

UE kontra

UE, która tak troszczy się o imigrantów, robi wszystko, by wciąż ekonomicznie wykorzystywać biedne afrykańskie kraje

Imigranci podzielili Europę na empatyczny zachód i ksenofobiczny, rasistowski wschód. Krajom, które nie otwierają swoich granic przed migrującymi z południa, zarzuca się łamanie postanowień traktatu lizbońskiego i art. 222 „klauzuli solidaryzmu". Próby dyskusji spotykają się z zarzutami rasizmu, faszyzmu i obsesji narodowych. Po drugiej stronie mamy miłosiernych Niemców, Włochów i Szwedów, którzy nie szczędzą pomocy, a nam słów oburzenia. Do tego stopnia, że szef Komisji Europejskiej Juncker już otwarcie nawołuje do wstrzymania wypłaty funduszy unijnych krajom, które nie chcą wpuszczać imigrantów. Zadaje przy tym filozoficzne pytanie: Czy Zachód powinien solidarnie przelewać nam miliardy unijnej pomocy, skoro my sami nie wykazujemy solidarności z potrzebującymi?

Zatrzymajmy się przy tej solidarności i cofnijmy do 2001 r. Do czasów, kiedy uchodźcy rzadko porywali się na mordercze wyprawy przez Morze Śródziemne. Migracja głodowa była jeszcze śladowa. Żeby zapobiec tragedii w przyszłości, zachodni przywódcy zebrali się na konferencji WTO (Światowej Organizacji Handlu) w Doha w nadziei, że uda się otworzyć dostęp afrykańskiemu rolnictwu i przemysłowi do europejskich rynków. Rozwój rodzimego przemysłu uznano za najlepszą receptę na powstrzymanie głodu i migracji ludów. Ówczesny dyrektor generalny WTO Mike Moore wystąpił z płomiennym przemówieniem: „Zachodni świat musi zrozumieć, że pewnego dnia, nie dziś, nie za pięć lat, ale może już za 10, 15 lat, głodni ludzie Trzeciego Świata ruszą na północ. Musimy uzgodnić nowe ramy handlu międzynarodowego, żeby dać szansę rozwoju narodom Afryki". Ot, jeszcze jeden konferencyjny bon mot, po którym nie zostało śladu w ustaleniach z pierwszej konferencji. Potem było jeszcze kolejnych 14 konferencji. Przywódcy spotykali się i rok w rok publikowali mnóstwo dokumentów, z których każdy kończył się nadzieją, że za rok uda się wreszcie osiągnąć trwałe porozumienie Doha Round. Ostatecznie w 2016 r. – jak to napisał „The New York Times" – „Niemożność osiągnięcia porozumienia spowodowała, że przywódcy postanowili szukać sobie nowych ambitnych celów". Znaleźli je w wojnie z dymem papierosowym, ze zmianami klimatycznymi, z pracą nieletnich, a ostatnio w tępieniu cukru. Szczytne cele, z których żaden dotychczas nie zatrzymał fali migracji.

UNIJNA „POMOC" WYKAŃCZAJĄCA

Unia Europejska jest największym partnerem handlowym Afryki. 83 proc. produktów importowanych do większości afrykańskich państw pochodzi z Europy. Zaledwie 17 proc. wymiany handlowej odbywa się między państwami afrykańskimi. Kontynent w praktyce zdany jest na Europę, a w szczególności na pięć największych państw UE. Od 2011 r. eksport do Afryki (po załamaniu w 2008 r.) systematycznie rośnie. W 2016 r. nadwyżka w handlu z Afryką osiągnęła rekordową sumę 258 mld euro, przy tylko nieznacznie większej liczbie wyeksportowanych produktów. W tym samym czasie import z Afryki skurczył się o 2 proc., podczas gdy wartość importowanych produktów spadła aż o 11 proc. Wiele można wytłumaczyć spadkiem cen ropy i gazu, które stanowią jedną piątą całego afrykańskiego eksportu do Europy. Pytanie raczej: Dlaczego nie zmieniły się inne wskaźniki? Dlaczego nie rośnie eksport bardziej zaawansowanej produkcji afrykańskiej, z wyższą marżą?

eprasa.pl 1390f19820

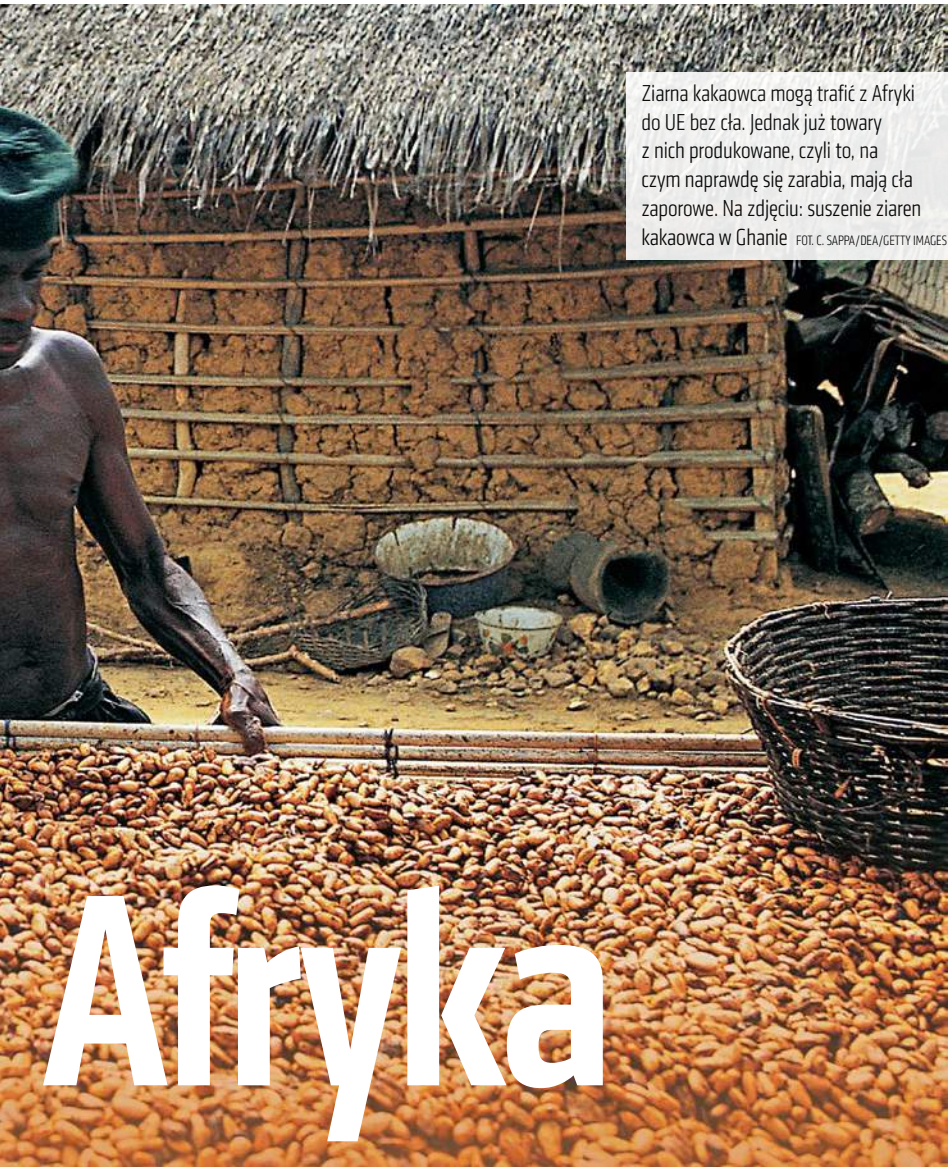

Ziarna kakaowca mogą trafić z Afryki do UE bez cła. Jednak już towary z nich produkowane, czyli to, na czym naprawdę się zarabia, mają cła zaporowe. Na zdjęciu: suszenie ziaren kakaowca w Ghanie FOT. C. SAPPA/DEA/GETTY IMAGES

Afryka

Pierwszy lepszy przykład – kawa. W 2014 r. kraje afrykańskie, największy producent kawy na świecie, zarobiły na jej eksporcie niemal 2,5 mld dol. Największe niemieckie firmy przerabiające kawę zarobiły 3,9 mld dol. na samym tylko reeksporcie prażonej kawy. Wszystko dzięki zmyślnej konstrukcji ceł. W ramach dobroci i solidarności z narodami Afryki UE zgodziła się na zerową stawkę celną na nieobrobione ziarna kawy. Na wypaloną kawę cło wynosi jednak już 5 proc. Podobnie rzecz ma się z kakao. Zero na samo ziarno, ale już na masę kakaową cło wynosi 7,5 proc., na tabliczkę czekolady zaś 30 proc. Dlatego każde dziecko wie, że czekolada „rośnie" w Szwajcarii, a nie w Afryce. Mało tego, cło na inne produkty z wykorzystaniem czekolady dochodzi do 60 proc. wartości produktu. Czy ktoś przy zdrowych zmysłach zainwestowałby w linię produkcyjną czekolady w Afryce, mimo że 70 proc. afrykańskich zbiorów eksportowane jest do Europy?

Komisja Europejska chętnie publikuje listy produktów rolnych importowanych z Afryki całkowicie zwolnionych z ceł. Wśród nich są pomidory, które bez żadnych przeszkód mogą wjeżdżać do Europy. Prawdziwe pieniądze zarabia się jednak nie na samych warzywach, tylko na przetworach. Stąd też UE wprowadziła 14-procentowe cło na afrykańskie pomidory w puszce. Stawka idzie dalej w górę w miarę, jak pomidor przeistacza się w sos czy ketchup. To jednak dopiero początek pomidorowego eldorado. Komisja Europejska w trosce o rodzimych farmerów subsydiuje puszkowane pomidory wyprodukowane w UE. Te same puszki z afrykańskimi pomidorami przeznaczone na eksport do Japonii i Stanów Zjednoczonych mogą liczyć na specjalne dotacje. Ponieważ nikt w Afryce nie inwestuje w przetwory pomidorowe, najtańsze przetworzone afrykańskie pomidory pochodzą z Europy i – uwaga! – ze Stanów Zjednoczonych.

Komisja Europejska od lat forsuje specjalnie skrojone pod państwa afrykańskie umowy wolnocłowe. Często prezentowane na międzynarodowych kongresach troski jako dowód europejskiego miłosierdzia. W rzeczywistości ta „pomoc bardziej przypomina pistolet przystawiony do skroni" – jak oceniła w jednym z wystąpień na forum Parlamentu Europejskiego niemiecka poseł Ska Keller. Jako przykład podawała casus kenijskich kwiatów ciętych. Kenia jest jednym z największych eksporterów w regionie. Kilka tygodni przed świętami 2014 r. Unia Europejska niespodziewanie zapowiedziała jednak specjalne cła na kenijskie kwiaty. Urzędnicy nawet nie udawali, że była to forma szantażu. Próba wymuszenia na Kenii podpisania wolnocłowej umowy handlowej – o gospodarczym partnerstwie (EPA). Ponad 80 proc. produktów europejskich i afrykańskich miało być objęte zerową stawką. Im bardziej Kenia broniła się przed umową, tłumacząc, że tani niemiecki czy holenderski przemysł wykończy raczkujące zakłady produkcyjne w Kenii, tym gwałtowniej KE naciskała, tłumacząc swoje radykalne posunięcie mobilizacją afrykańskich przedsiębiorców do większej konkurencyjności. Sama już zapowiedź cła spowodowała, że europejscy importerzy zaczęli szukać nowych rynków. W rezultacie kenijscy eksporterzy kwiatów w ciągu kilku tygodni stracili blisko 3 mln euro. I to zmobilizowało rząd do podpisania niechcianej umowy w dniu przed Bożym Narodzeniem. Umowa nazywana była później sarkastycznie „prezentem bożonarodzeniowym". Szybko jednak się okazało, że niektóre odmiany kwiatów zagrażały europejskim, a w szczególności holenderskim kwiaciarzom. KE uznała więc, że niektóre cebulki kwiatowe są niewiadomego pochodzenia i jako takie tracą preferencyjne warunki handlowe.

SYSTEM PRZEMOCY EKONOMICZNEJ

Namibia to kolejny oporny kraj, z przerażeniem myślący o zalewie niemieckich czy francuskich produktów i wolnocło-

eprasa.pl 1390f19820

Sprzedaż wołowiny z Namibii do UE jest utrudniona z uwagi na niejasne przepisy dotyczące GMO, ale europejskie krowy mogą dostawać paszę, która nie jest ekologicznie czysta FOT. EDWIN REMSBURG/VW PICS/GETTY IMAGES

wej umowie rozkładającej na łopatki rodzimą produkcję. Została postraszona cłami na swój najważniejszy produkt eksportowy – wołowinę. Wszystko to oczywiście w duchu solidarności.

Wbrew pięknej solidarnościowej retoryce wspierania rozwoju i niezależności gospodarczej państw afrykańskich Europa wkłada sporo wysiłku w blokowanie modernizacji afrykańskiego przemysłu. Paraliżujący rozwój systemu ceł i subsydiów dla własnych producentów już 15 lat temu został uznany za główne źródło postępującej zapaści Afryki. Niezależnie od wyrafinowanego systemu barier handlowych europejskie rolnictwo i tak ma dużą przewagę konkurencyjną nad Afryką. Hodowla i uprawy w Europie są drogie, ale stopień zmechanizowania oraz wydajność powodują, że hurtowa produkcja w przeliczeniu na jednego pomidora czy jedno jabłko jest tańsza. Na to nałóżmy rozmaite programy preferencyjnego traktowania rodzimych wytwórców i dotacje dla pojedynczych farm i fabryk (tak silne, że niektóre produkty unijne wypierają droższe produkty importowane z sąsiednich państw afrykańskich). Same tylko unijne dotacje dla producentów przetworów pomidorowych, brzoskwiń, gruszek, owoców cytrusowych i suszonych owoców wzrosły z 75 mln euro w 2001 r. do ponad 300 mln w 2016 r. Także wszelkie ulgi celne dla afrykańskich farmerów niwelowane są unijnymi subsydiami dla europejskiego rolnictwa.

Wszędzie tam, gdzie afrykańskim farmerom mimo barier udaje się osiągnąć przewagę konkurencyjną nad Zachodem, natychmiast pojawiają się przeszkody środowiskowe czy zdrowotne, uniemożliwiające eksport. W ostatnim czasie najpopularniejsze są zarzuty o nadużywanie technologii genetycznie modyfikowanych. Charakterystyczne, że Unia Europejska zakazuje importu jakichkolwiek roślin czy nawet niektórych kwiatów GMO, natomiast w przypadku genetycznie modyfikowanej paszy dla zwierząt zakaz już nie obowiązuje. Po prostu nikt tego w Europie nie produkuje w obawie przed normami i karami KE. Farmerzy potrzebują jednak specjalnych odmian zbóż czy kukurydzy, a rząd im umożliwia ich pozyskanie, zwalniając je z ceł i nie stawiając większych przeszkód przy imporcie. Jednym słowem, sprzedaż wołowiny z Namibii jest utrudniona z uwagi na niejasne przepisy GMO, ale już pasza, którą żywią się europejskie krowy, nie musi być ekologicznie czysta.

OD GENETYKI DO OSADÓW

Ostatnio Komisja Europejska zagroziła zakazem importu bananów z Ugandy tylko dlatego, że lokalni naukowcy wspólnie z Amerykanami zamierzali podjąć prace badawcze nad genetycznymi sposobami pokonania bakterii *Banana xanthomonas wilt*, która powoduje przedwczesne dojrzewanie i gnicie bananów. Ani UE, ani nikt na świecie dotychczas nie znaleźli sposobu na pokonanie tych bakterii. Unia tłumaczyła swój sprzeciw brakiem unijnych certyfikatów na badania, ale prawda zdaje się znacznie bardziej prozaiczna. Uganda co roku z powodu bakterii traci ok. 500 mln dol., a uczeni do dziś nie odważyli się opatentować nowej techniki GMO. Z kolei nigeryjscy uczeni z Uniwersytetu Ahmadu Bello opracowali technologię GMO do walki z ćmą MarcuaVitara, która niszczy rokrocznie plony czarnej fasoli warte 300 mln dol. Nigeria wcześniej sprowadzała z Francji pestycydy do oprysków roślin za 500 mln dol. Gdy tylko pojawiła się możliwość zastąpienia drogich pestycydów technologią GMO, KE zagroziła sankcjami celnymi.

Ostatnio ulubionym narzędziem KE i ekspertów od solidarnościowej polityki handlowej z Afryką są współczynniki dopuszczalnego stężenia osadu zanieczyszczeń – Maximum Residue Levels (MRL). I tak aflatoksyny, osad, który naturalnie pojawia się na oczyszczonych czy suszonych owocach i nie ma nic wspólnego z ingerencją człowieka, uznany został przez KE za czynnik dyskwalifikujący produkt, bo jakiś uczony, bez żadnych badań, stwierdził kiedyś, że nadmiar tej substancji może okazać się rakotwórczy. Niezależne badania komisji ONZ do spraw ryzyka zatruć chemicznych JECFA dowiodły, że gdyby maksymalnie restrykcyjnie wdrażać przepisy antyaflatoksynowe, to możliwe, że na całym świecie na milliard ludzi umierających rokrocznie z różnych przyczyn dwie osoby mniej zmarłyby na raka wywołanego aflatoksynami. Dla tysięcy afrykańskich plantatorów i ich pracowników utrata kontraktów na dostawy owoców do Europy to znacznie łatwiejsze do zmierzenia konsekwencje ekonomiczne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Klauzula solidarności, czyli art. 222 traktatu lizbońskiego

„Unia mobilizuje wszystkie będące w jej dyspozycji instrumenty, w tym środki wojskowe…". To, że nie ma w nim ani słowa o obowiązku relokacji i przyjmowania na siłę uchodźców, można oczywiście wytłumaczyć typową dla traktatów ogólnością zapisów. Jednak tego, że te wszystkie instrumenty nie rozciągają się już na pomoc Grecji w redukcji jej kosmicznego zadłużenia albo na stworzenie sprawiedliwych zasad handlu z Afryką, tak żeby imigrantów można było relokować z powrotem w ich rodzimych państwach, miastach i pewnych miejscach pracy, nie da się już wytłumaczyć skrótowością zapisów.

eprasa.pl 1390f19820

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Tak dobrze czy tak źle?

Skoro jest tak dobrze, jak zachwala Mateusz Morawiecki, wicepremier oraz minister rozwoju i finansów, skoro miliardy złotych z podatków płyną do kasy państwa coraz szerszym strumieniem, a wydatki są pod kontrolą, w tym wydatki na budowę dróg, ergo: skoro deficyt finansów publicznych jest rzeczywiście niespotykanie niewielki i niczym niezagrożony, to dlaczego jest tak źle, że rząd musi podnosić podatki? Specjalnie się z tym, rzecz jasna, nie afiszując.

Jak się niedawno okazało, przed nami podwyżka podatku od paliw. I to niemała, bo pociągająca za sobą wzrost cen każdego litra benzyny, oleju napędowego i LPG o ok. 25 gr. Tym razem odbędzie się to pod hasłem: „Więcej pieniędzy na drogi lokalne". Rząd uznał, że nie wystarczy jeden, istniejący Krajowy Fundusz Drogowy (KFD) i trzeba powołać do życia kolejny – Fundusz Dróg Samorządowych (FDS), a nade wszystko zdobyć dużo więcej pieniędzy. Wpływy z nowej „opłaty drogowej" mają być rozdzielone między KFD i właśnie FDS. Wkrótce znowu zdrożeją też polisy – tym razem wskutek nałożenia 23-procentowej stawki VAT na usługi pomocnicze świadczone na rzecz firm ubezpieczeniowych. Jednak to nie koniec złych wieści. Sejm pracuje bowiem nad „opłatą węglową", przeznaczoną na rozbudowę przemysłu energetycznego, która będzie doliczana do rachunków za prąd. Ta operacja ma kosztować przeciętną polską rodzinę ok. 60 zł rocznie. Na horyzoncie także spora podwyżka podatku za wodę.

A ile jeszcze takich niespodzianek czyha na nas w najbliższym czasie? I czy ich powodem jest „tylko" obawa przed osłabieniem koniunktury, które przecież – prędzej czy później – nadejdzie, i związanym z tym co najmniej obniżeniem tempa wzrostu dochodów budżetowych? Czy jednak wicepremier Morawiecki obawia się kłopotów finansowych już teraz – w związku z większymi, niż zakładano, wydatkami na program „Rodzina 500+" oraz – zwłaszcza – kosztami czekającego nas od października obniżenia wieku emerytalnego? I na wszelki wypadek – na wypadek, gdyby wzrost przychodów kasy państwa z uszczelniania odziedziczonego po rządach Platformy i PSL dziurawego systemu podatkowego nie wystarczył na pokrycie rosnących wydatków socjalnych pod rządami ekipy PiS – stara się je już teraz możliwie jak najbardziej powiększyć?

A może – i to jest trzecia ewentualność – Morawiecki podnosi podatki, by mieć więcej pieniędzy na inwestycje infrastrukturalne, bo z faktycznie coraz wyższych obecnych wpływów podatkowych, przy jednocześnie jeszcze szybciej rosnących wydatkach na cele socjalne, już na nie po prostu nie wystarcza? Ta ewentualność oznaczałaby, że nie jest ani tak dobrze, jak zapewnia wicepremier Morawiecki, ani tak źle, jak chcieliby jego oponenci.

A jak jest naprawdę, przekonamy się mniej więcej za rok. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Polska wymiera

Nowa prognoza demograficzna ONZ w wariancie ostrzegawczym (przy utrzymaniu się niskiej dzietności) przewiduje, że w 2100 r. Polaków będzie 12 mln. To oznacza, że netto zginie 26 mln. Poprzednia prognoza ostrzegawcza ONZ, sformułowana w okresie połowy rządów PO, mówiła, że w 2100 r. będzie nas 16 mln. Cóż, można pogratulować poprzedniemu rządowi, swoją polityką „długookresowo uśmiercił" 4 mln Polaków.

Problem jest śmiertelnie poważny. Celem każdego narodu, jako wspólnoty języka, kultury, wartości, historii jest jego przetrwanie. Jeżeli naród wymiera, to znaczy, że rządzący prowadzą złą politykę. Obecnie mamy politykę prorodzinną, która prawdopodobnie doprowadziła do niewielkiego wzrostu dzietności. Nie mamy polityki demograficznej. Różnica w uproszczeniu polega na tym, że polityka prorodzinna daje pieniądze (u nas 500 zł) na każde dziecko, a polityka demograficzna daje pieniądze tylko na każde nowo narodzone dziecko. Polityka prorodzinna w obecnym kształcie będzie nieskuteczna. Standard życia rodzin wielodzietnych się poprawi, ale nie zatrzymamy procesu wymierania narodu polskiego.

Do zatrzymania wymierania narodu potrzeba 2,1 dziecka na rodzinę

Kilka lat temu burmistrz jednego z podwarszawskich miasteczek stworzył wręcz idealne warunki dla rodzin wielodzietnych. Ponadto rodzice często pracowali w Warszawie, więc zarabiali więcej niż w innych regionach Polski. A mimo to dzietność wynosiła tylko 1,6 na rodzinę, wobec 1,3 średnio w Polsce. A do zatrzymania wymierania narodu potrzeba 2,1 dziecka na rodzinę.

Polsce potrzebna jest polityka demograficzna. To oznacza wiele działań naraz. Przy uczelniach i dużych zakładach pracy trzeba uruchomić bezpłatne żłobki i przedszkola. Trzeba kreować pozytywny wizerunek studentki-matki. Można wprowadzić podatek od rodzin bez dziecka lub tylko z jednym dzieckiem. Kluczowa jest jednak realizacja pomysłu, który przedstawiłem w 2013 r. Zapisać w konstytucji, że rodzice otrzymają 1 tys. zł za każde nowo narodzone dziecko, co miesiąc, od narodzin do ukończenia 18 lat. Tylko wtedy pojawi się szansa na skuteczne zatrzymanie procesu wymierania Polski. To oznacza, że obecną politykę „500+" trzeba zakończyć, bo na wszystko nie starczy pieniędzy.

Jeżeli tego nie zrobimy, to w XXII w. nie będzie komu po polsku gadać. Tylko czy to kogoś obchodzi? ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl 1390f19820

Katarzyna Pinkosz

Placówki, które nie znalazły się w sieci, boją się, że przestaną istnieć, jeśli stracą kontrakt z NFZ. Jak to odbije się na naszym leczeniu?

Walka o sieć

Pieniędzy na ochronę zdrowia w Polsce jest niewiele, więc te, które są, powinny być wydawane racjonalnie – to podstawowe założenie koncepcji sieci szpitali, sztandarowej reformy ministra Konstantego Radziwiłła. Sieć ma zracjonalizować wydawanie pieniędzy i zwiększyć stabilność finansowania szpitali.

DLA PACJENTÓW?

Ministerstwo zapewnia, że sieć pomoże pacjentom. Dzięki niej mają częściowo zmniejszyć się niektóre kolejki. Po pierwsze, na szpitalnych oddziałach ratunkowych, gdzie powinny znaleźć się tylko osoby wymagające szybkiej pomocy z powodu zagrożenia zdrowia lub życia. Po drugie, skrócić się mają kolejki do poradni specjalistycznych dla pacjentów po pobycie w szpitalu. Do tej pory musieli oni sami szukać opieki specjalisty. Teraz zorganizuje im ją szpital.

Drugim plusem ma być lepsza opieka. Z wielu małych powiatowych szpitali znikną specjalistyczne oddziały, np. dermatologiczne, alergologiczne, reumatologiczne, onkologiczne, które nie leczyły kompleksowo. Chorzy będą mieć dalej do szpitala, za to mają zyskać skuteczniejsze leczenie. – W szpitalu wielospecjalistycznym są lepsza diagnostyka i więcej możliwości konsultacji specjalistów, dlatego wyniki leczenia często są wyższe – zapewnia dr Jerzy Gryglewicz, ekspert organizacji ochrony zdrowia z Uczelni Łazarskiego.

Szpitale zostały podzielone na kilka poziomów. W placówkach I stopnia, powiatowych, mają być głównie oddziały podstawowe – chorób wewnętrznych, chirurgii ogólnej, ginekologii i położnictwa, neonatologii i pediatrii. Szpitale II stopnia muszą mieć dodatkowo co najmniej trzy oddziały specjalistyczne (m.in. chirurgia dziecięca, kardiologia, ortopedia, urologia), III stopnia – oddziały wysokospecjalistyczne (kardiochirurgia, transplantologia, neurochirurgia dziecięca). Są też osobno szpitale pulmonologiczne i onkologiczne, pediatryczne oraz ogólnopolskie (kliniczne).

LISTA ODWOŁAŃ

Po opublikowaniu pod koniec czerwca przez oddziały wojewódzkie NFZ list szpitali okazało się, że do sieci zakwalifikowały się 594 placówki (w tym 78 niepublicznych). Krytycy podkreślają, że wiele dobrych szpitali niepublicznych znalazło się poza nią.

Placówki „sieciowe" mają zapewnione finansowanie na cztery lata w formie ryczałtu, w ramach którego będą leczyć pacjentów. Co prawda, wielu dyrektorów obawia się, że ryczałty będą niskie, co zmusi ich do lawirowania, ograniczania skomplikowanych procedur i leczenia tak, by wystarczyło pieniędzy do końca roku. Nikt nie zwróci pieniędzy za „nadwykonania", bo w systemie ryczałtowym ich nie ma.

W dużo gorszej sytuacji są szpitale, dla których w sieci nie wystarczyło miejsca. Nic dziwnego, że od decyzji NFZ złożyły odwołanie aż 104 placówki, które albo nie znalazły się w sieci, albo nie są zadowolone z kwalifikacji (szpital na I poziomie nie dostanie pieniędzy na

eprasa.pl 1390f19820

FOT. MICHAŁ DYJUK/REPORTER

inne oddziały). Mogą co prawda przystąpić do konkursów na realizowanie konkretnych świadczeń, jeśli jednak nie uzyskają finansowania ze środków publicznych, wówczas będą musiały ograniczyć działalność, a część zapewne przestanie istnieć. Pacjenci czekający w nich na zabiegi stracą miejsce. Co prawda ministerstwo zapewnia, że będą mogli „wejść w środek" kolejki w innym szpitalu na podstawie daty zapisania się, jednak na pewno spowoduje to bałagan i wydłużenie czasu oczekiwania dla wcześniej zapisanych. Sieć nie likwiduje przecież głównego problemu polskiej ochrony zdrowia: niedostatku pieniędzy. I właśnie tego obawiają się eksperci. Pytanie też, czy na pewno odpadną słabe ośrodki, a pozostaną te najlepsze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Czeka nas zawał?

Ośrodek kardiochirurgiczny, który od kilku lat ma najlepsze wyniki w Polsce, znalazł się poza siecią

Gdańskie Centrum Sercowo-Naczyniowe, jeden z ośrodków American Heart of Poland (AHP), czyli Polsko-Amerykańskich Klinik Serca, od czterech lat zajmuje pierwsze miejsce wśród wszystkich klinik kardiochirurgicznych. Dane Krajowego Rejestru Operacji Kardiochirurgicznych pokazują m.in. statystyki dotyczące śmiertelności – w GCSN jest ona najniższa, mimo że wykonuje się tu najbardziej skomplikowane operacje. – Średnia śmiertelność wewnątrzszpitalna dla oddziałów kardiochirurgii w Polsce jest pięciokrotnie wyższa przy niższym wstępnym ryzyku. Gdyby wszystkie ośrodki kardiochirurgiczne w Polsce uzyskały tę jakość, można by uratować o 800 osób rocznie więcej – podkreśla prof. Paweł Buszman, prezes zarządu AHP.

WBREW EKSPERTOM

GCSN wykonuje rocznie 600–700 operacji kardiochirurgicznych – jedną trzecią wszystkich na Pomorzu. Kompleksowo leczy w oparciu o wieloletnie kontrakty z NFZ wszystkie choroby serca i naczyń. Szpital ma m.in. certyfikat Centrum Monitorowania Jakości w Ochronie Zdrowia „Szpital bez bólu", w 2015 r. znalazł się na pierwszym miejscu w rankingu szpitali prywatnych. Leczy chorych nie tylko z Pomorza, lecz także z województwa warmińsko-mazurskiego, gdzie wykonuje się zaledwie 25 proc. potrzebnych zabiegów kardiochirurgicznych. Z uwagi na innowacyjne, małoinwazyjne technologie ośrodek ma wyśmienite wyniki nawet u chorych poddawanych złożonym zabiegom zastawkowo-wieńcowym (śmiertelność jest tu nawet 8–10 razy niższa od średniej krajowej).

Ten wzorcowy pod względem organizacji szpital jest niezbędny na mapie Polski. Cieszy się też znakomitą opinią pacjentów. – Gdański oddział wyznacza standardy kardiochirurgii w kraju – podkreśla prof. Andrzej Bochenek, współzałożyciel Polsko-Amerykańskich Klinik Serca oraz członek zarządu głównego Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego.

Jak to się stało, że tak dobry ośrodek znalazł się poza siecią? W Gdańsku poza GCSN bardzo dobrze funkcjonuje też Klinika Kardiochirurgii i Chirurgii Naczyniowej przy Uniwersyteckim Centrum Klinicznym. Dla obydwu ośrodków znalazłoby się miejsce w sieci, gdyby nie pomysł stworzenia od podstaw oddziału kardiochirurgii w szpitalu w Wejherowie. – Nie ma tam jednak warunków do stworzenia osobnego traktu operacyjnego i pooperacyjnego dla kardiochirurgii, co jest niezbędne do uzyskania dobrych wyników – przekonuje prof. Buszman.

– Po co tworzyć kolejny ośrodek i dowozić chorych 100 km, a jednocześnie psuć coś, co znakomicie funkcjonuje? Upłynie dużo czasu, zanim od podstaw stworzy się ośrodek kardiochirurgiczny na wysokim poziomie – oburza się prof. Jacek Różański, konsultant krajowy ds. kardiochirurgii. Pisał w tej sprawie opinie do dyrektor pomorskiego NFZ, jednak opinia krajowego konsultanta nie została uwzględniona.

Pominięcie gdańskiego ośrodka, podobnie jak dwóch innych klinik American Heart of Poland (w podwarszawskim Józefowie i w Starachowicach), dziwi także z tego względu, że jeszcze w czerwcu, podczas konferencji w Zabrzu, minister Radziwiłł zapewniał, że wszystkie 159 ośrodków kardiologii interwencyjnej jest niezbędne.

NIE, BO PRYWATNY?

Polsko-Amerykańskie Kliniki Serca w ostatnich latach zainwestowały 800 mln zł w stworzenie ośrodków kardiologii inwazyjnej, głównie w małych miejscowościach. Wykonanie przez AHP badań przedklinicznych i klinicznych polskich stentów i dopuszczenie ich do obrotu na rynku krajowym oraz zagranicznym dało oszczędności polskiej ochronie zdrowia w wysokości 300 mln rocznie. – Czy to nie jest wystarczający powód, by całe AHP znalazło się w sieci jako prywatny instytut? – pyta dr hab. Krzysztof Milewski, dyrektor Centrum Badawczo-Rozwojowego AHP. – Zainwestowali więcej niż płatnik publiczny. Nie powinno się tego niszczyć jedną decyzją. To dobrze, że stwarzają konkurencję dla ośrodków publicznych i są blisko pacjenta. Nie mogą być postrzegani jako ktoś po drugiej stronie barykady. To partnerzy, z którymi trzeba wspólnie znaleźć rozwiązanie, tak by nie ucierpieli pacjenci – podkreśla prof. Piotr Hoffman, prezes Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego.

Profesor Buszman w ostatnim dniu czerwca wysłał pismo z kolejną interwencją do ministra zdrowia w sprawie GCSN. „Społeczna ocena reformy nie może być pozytywna bez włączenia tego ważnego ośrodka do sieci. Komu zależy na tym, żeby tak się stało?" – pyta w liście do ministra.

Katarzyna Pinkosz

eprasa.pl 1390f19820

Bunt beżowej garsonki

Joanna Bojańczyk

Kobiety w polityce nie chcą już być bezbarwnymi figurami na tle ciemnych garniturów. Chcą się wybić na niepodległość, pokazać osobowość, przekroczyć granice odwiecznej beżowej garsonki

Sukienka, w której Melania Trump wystąpiła w czasie wizyty w Warszawie, rozgrzała Internet. Pierwsza dama USA postawiła na kreację bez rękawów autorstwa hiszpańskiej marki Delpozo z dopasowaną górą w kolorze granatowym i rozkloszowanym dołem w pasy oraz abstrakcyjne wzory w kolorach różowym i pomarańczowym na granatowym tle. Komentarzy było mnóstwo, na ogół krytycznych.

„Melania jest piękna, ale protokół to protokół i nie pokazuje się ramion".

„Melania wyglądała elegancko i gustownie, to nie jest lekka i zwiewna sukienka".

„Macronowa – zła, bo za krótka spódnica, Melania – zła, bo nie pasuje, Dudowa – zła, bo w garsonce jak do biura. Ciekawe, jak ci eksperci się ubierają".

– Pierwsza dama Ameryki uznała chyba, że ta chwila nie jest zbyt podniosła dla Polaków lub dla niej samej, i wybrała na tę okoliczność sukienkę odkrywającą ramiona, w krzykliwe ornamenty i rozkloszowaną, jak krynolina niemalże – komentuje Agata Koschmieder, projektantka mody, wykładowca łódzkiej ASP. – To ubiór stosowny na garden party, a nie na oficjalną wizytę i wykład z historii martyrologii narodu polskiego pod pomnikiem Powstania Warszawskiego. Nie jestem konserwatystką, ale uważam, że są granice dobrego smaku i elegancji. A na dodatek pani prezydentowa wyglądała w tej kreacji nieatrakcyjnie, jej nienaganna sylwetka wydawała się przysadzista i ciężka – dodaje.

Bohaterka całego wydarzenia, nieświadoma komentarzy i chyba niespecjalnie nimi zainteresowana, zdawała się mówić: „Jestem piękną kobietą, noszę piękną sukienkę i mam w nosie, co o tym powiedzą eksperci protokołów dyplomatycznych".

Podobne reakcje wzniecił we Francji, w końcu ojczyźnie mody, która nie takie rzeczy widziała, styl Brigitte Macron. Narodowa dyskusja zogniskowała się tam głównie wokół tematu, czy 60-letniej kobiecie wypada mieć odkryte kolana. Oczywiście jeśli jest żoną prezydenta, bo w innym przypadku nikt by się problemem nie zainteresował. Fakt, że tak chodzi wiele Francuzek po pięćdziesiątce (wypada dodać, że raczej te, które dysponują ładnymi nogami), nie był brany pod uwagę. Jednak pani Macron, najwyraźniej dumna ze swoich nóg, nie ma zamiaru ich ukrywać przed światem, tylko dlatego że ma 64 lata. Dystansuje się od nakazów protokołu, choć nie wiadomo na pewno, czy ten określa szczegółowo długość spódnicy.

SŁABOŚĆ DO BUTÓW

Bunt kobiet? Może nie aż tak, choć nie trzeba być znawcą, żeby dostrzec, że w wyglądzie pań na eksponowanych stanowiskach zaszła ostatnio zmiana. Dotyczy ona zarówno tych, które są „tylko" żonami, jak i tych, które same sprawują wysokie stanowiska państwowe. Jedne i drugie nie chcą być już bezbarwnymi figurami na tle ciemnych garniturów. Chcą się wybić na niepodległość, pokazać osobowość, przekroczyć granice odwiecznej beżowej garsonki. Świadome są faktu, jak potężnym narzędziem kreowania wizerunku jest ubranie, i śmiało z tego korzystają.

Theresa May, zanim została premierem Wielkiej Brytanii, znana była z ekstrawagancji. Nie zrezygnowała z niej po objęciu stanowiska w rządzie, tylko jej wybory ubraniowe stały się bardziej luksusowe. Emocje wzbudzają kolorowe płaszcze od znanych brytyjskich kreatorów. Na skórzane spodnie za 995 funtów spadła mocna krytyka. „Nie mam skórzanych spodni, a nigdy nic poza suknią ślubną nie kupiłam sobie za 1000 funtów" – skomentowała zjadliwie posłanka Partii Konserwatywnej Nicky Morgan. Pani premier wytknięto zbyt wyrazistą biżuterię i czółenka w zwierzęcy wzór, uznając je za nieodpowiednie na jej stanowisku. „Wszyscy wiedzą, że mam słabość do butów. Nie określają mnie one ani jako polityka, ani jako kobiety, określają mnie tylko w oczach mediów" – odparowywała Theresa May w wywiadzie dla dziennika „Telegraph". W wywiadzie dla amerykańskiego „Vogue" wyjaśniła również: „Przez całą swoją karierę w polityce komentowano moje ubrania. Tak jest i akceptuję to. Jednak nie powstrzymuje mnie to od korzystania z przyjemności, jakie daje moda. Uważam, że to ważne, by pokazać, że kobieta może wykonywać taką pracę jak moja i wciąż interesować się ubraniem".

Jej poprzedniczka sprzed kilku kadencji, Margaret Thatcher, także prezentowała się dumnie. To działo się 30 lat temu, kiedy feminizm jeszcze się tak nie zradykalizował, ale już wtedy hasło: „Power dressing" obiegało świat. Na przełomie lat 70. i 80. publikacja „Dress for success" Johna Molloya uruchomiła falę mody na silne kobiety w marynarkach z mocarnymi, karykaturalnie rozszerzonymi ramio-

eprasa.pl 1390f19820

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

nami. Miały one udowadniać światu, że są równe mężczyznom.

Margaret Thatcher wpisała się w ten kierunek. Nie jako trendsetterka, była przecież konserwatystką, ale jako silna indywidualność. Kiedy w maju 1979 r. zadebiutowała na Downing Street jako świeżo wybrana premier, szafir jej kostiumu zawibrował na tle czarnego kamienia budynku i szarości londyńskiej ulicy. To było mocne wejście. Kanony przyjemnej i nieofensywnej kobiecości poprzednich lat zostały złamane.

I to trwało, choć w miarę upływu lat ubrania Thatcher się zmieniały. Jednak styl pozostawał wierny wartościom wyznawanym przez nią w polityce. Kontrastowe zestawienia bluzek i żakietów czy szersze ramiona szły zgodnie z wymaganiem mody. I te włosy, które sprawiały, że głowa pani premier była niezależnym od ciała bytem.

W zupełnie innym kierunku poszła Michelle Obama, także pionierka nowych zachowań. Wysoka, efektowna, promiennie uśmiechnięta, była pierwszą kobietą z tą pozycją, która przyznała, że nosi rzeczy z sieciówek. Podbiła publiczność sweterkami z sieci J.Crew, choć w rzeczywistości ubierali ją najlepsi i najdrożsi kreatorzy Ameryki: Thakoon Panichgul, Oscar de la Renta, Ralph Lauren. W 2008 r. Obama, wówczas żona kandydata demokratów na prezydenta, była gościem w programie znanego dziennikarza Jaya Leno. Właśnie prasa ujawniła, że stroje Sarah Palin na tę kampanię kosztowały 150 tys. dol.

– A pani ile na nie wydała? – dopytywał Leno.

– Spróbuję zgadnąć: 60, 70 tys.?

– Nie zgadł pan – odpowiedziała pani Obama. I pokazała jedwabną bluzkę, złotą spódnicę i sweterek marki J.Crew. W sumie za kilkaset dolarów.

Tą odpowiedzią pani Obama zapoczątkowała nową strategię – demokratyczny strój pierwszej damy. Przyznanie się do sieciówek dotychczas żadnej z pierwszych dam nie przeszłoby przez gardło.

KRYTYCY CZYHAJĄ

To – swoją drogą – dziwne, że w czasach walki o parytety w rządach i w pracy większość kobiet w polityce chce upodobnić się strojem do mężczyzn. Jest w tym osobliwy kompleks niższości: żeby zasłużyć na poważne traktowanie, trzeba ubrać się jak facet. W kostium lub co najmniej żakiet i bluzkę. Neutralnie, bezbarwnie. Sukienka, zwłaszcza kolorowa, podważa zaufanie.

Władzę nad ubraniem przejmują dziś nie tyle styliści, ile PR-owcy, którzy wiedzą, jakie znaczenie ma każdy szczegół. Człowiek – kobieta – jest ubezwłasnowolniony, gdy do akcji wkraczają sztaby fachowców: wizażyści, fryzjerzy, kosmetyczki. Krytycy czyhają na najmniejszy błąd VIP-a.

Jednak pani Barbara Bush pozostała odporna na krytykę swoich sztucznych pereł, Hillary Clinton nie ugięła się pod obstrzałem i zachowała pastelowe kostiumy, w których podobno „wyglądała jak klown", nie zrezygnowała z fryzur ani z naszyjników. Jackie Kennedy nosiła kostiumy Chanel, chociaż Amerykanie uznawali to za wysoce niepatriotyczne. Różowy kostium miała na sobie w Dallas, w momencie zabójstwa prezydenta. Jednak na ogół żony zachodnich mężów stanu zachowują regulaminową poprawność. Dobrze uszyte, gładkie kostiumy na dzień, z rzadka sukienki. Nic własnego, nic bardziej wyrazistego.

– Jeżeli my, kobiety, walczyłyśmy i walczymy wciąż o równouprawnienie, to nie zachowujmy się jak marionetki lub lalki z lokami – twierdzi Agata Koschmieder.

Nasze damy polityczne nie podzielają zainteresowania modą Theresy May, nie wykazują się indywidualnością Margaret Thatcher. Krajowy political dress jest na ogół bezbarwny i ciężkawy. Ewa Kopacz, Beata Kempa, Małgorzata Sadurska... Broszki stały się swoistym znakiem firmowym Beaty Szydło, ale nie pomogły zbudować jej stylu. Pochwaliłabym amarantową garsonkę, którą Agata Kornhauser-Duda miała na spotkaniach z amerykańską parą prezydencką; wspaniale leży na jej cudownej figurze, ale wpisuje się w gatunek estetycznej poprawności. Dobrze, że chociaż żona prezydenta nie przestraszyła się tego różu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1390f19820

Nida na Litwie
Śladami Tomasza Manna

Piotr Semka

To ukochane miejsce na ziemi niemieckiego noblisty przyciągało nietuzinkowych ludzi

Wielki niemiecki pisarz po raz pierwszy odwiedził Nidę w 1929 r., przy okazji swego wypoczynku w nieodległym wschodniopruskim kąpielisku Cranz (dziś Zielenogradsk).

Nida należała już wówczas do Litwy, choć Cranz leżał w autonomicznym okręgu Kłajpedy, zamieszkanym w większości przez Niemców i zgermanizowanych potomków bałtyckiego plemienia Kurów. Samo położenie Nidy do dziś zachwyca turystów. Wąska Mierzeja Kurońska ciągnie się przez ponad 100 km od Kłajpedy do Sambii, dziś najdalej na północ położonej części okręgu kaliningradzkiego w Rosji.

O ile Cranz był typowym modnym kurortem, o tyle Nida zachowała w tamtych latach urodę i spokój rybackiej wioski. To ściągnęło do tego malowniczego miejsca całą kolonię niemieckich ludzi sztuki na czele z malarzami impresjonistami i ekspresjonistami, m.in. Lovisem Corinthem i Maxem Pechsteinem.

Nagroda Nobla przyniosła Mannowi pewne środki pieniężne i pisarz, niewiele myśląc, postanowił kupić tu dom – piękną starą rybacką chatę na szczycie piaszczystego wzgórza z widokiem na Zalew Kuroński.

Tutaj wraz z żoną Katią i czworgiem dzieci spędził swoje trzy najszczęśliwsze lata: 1930–1932. To w Nidzie napisał trylogię „Józef i jego bracia", którą uważał za swe największe dzieło. Z perspektywy jego późniejszych losów były to ostatnie chwile szczęścia pisarza i jego rodziny przed brunatną nocą Niemiec. W 1933 r., wraz z dojściem do władzy hitlerowców, pisarz jako przeciwnik nazizmu udał się na wygnanie, które trwało będzie do końca życia. Barwnie opisał te słoneczne nidzkie lata wnuk pisarza, Frido Mann, w książce „Mein Nidden" („Moja Nida").

1. Spacer zaczynamy oczywiście od domu pisarza, który dziś jest jego muzeum (adres: Skruzdynės gatve 17, czynne w godz. 10–18).

Z oryginalnego wystroju niewiele zostało. Nic dziwnego. Gdy pisarza pozbawiono obywatelstwa Rzeszy, jego willę przejął sam Hermann Göring, który umieścił tu swego łowczego przygotowującego dla marszałka Rzeszy polowania na łosie w tutejszych lasach. W 1945 r. dom zdewastowali sowieccy żołnierze i dopiero w latach 60. budynek zaczęto remontować, by zrobić w nim muzeum pisarza. Odnaleziono fotel, w którym Mann pisał swoje dzieła w nidzkim zaciszu. Resztę eksponatów ofiarowały władze NRD, której wódz Erich Honecker spędzał tu wakacje w 1973 r.

2. Z muzeum udajmy się do małej salki muzealnej w dawnym hotelu Hermanna Blonde (adres: Skruzdynės gatvė 2, czynne w godz. 9–17). To tu mieszkała awangardowa „malaria", która często płaciła właścicielowi i mecenasowi swoimi obrazami, osiągającymi dziś niebotyczne ceny. Kto tu bywał? Gwiazdy niemieckiego filmu z lat 20., sam Zygmunt Freud i ulubienica Hitlera – Leni Riefenstahl.

3. Naprzeciw znajduje się muzeum historyczne miasta Nidy (adres: Pamario gatvė 53, czynne w godz. 10–18), a w górę ulicy dochodzimy do wzgórza ze starym kościółkiem protestanckim i cmentarzem pełnym „Krištas" – desek nagrobnych o pogańskiej jeszcze symbolice typowej dla plemienia Kurów.

eprasa.pl 1390f19820

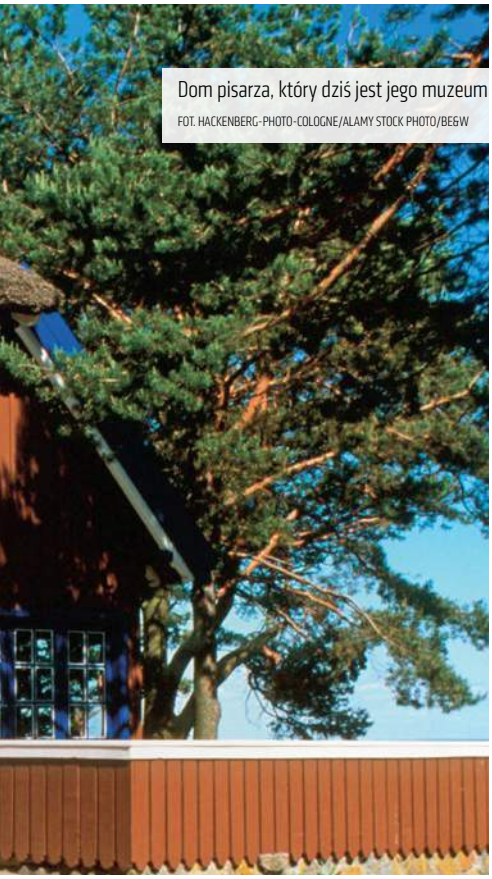

Dom pisarza, który dziś jest jego muzeum

FOT. HACKENBERG-PHOTO-COLOGNE/ALAMY STOCK PHOTO/BEGW

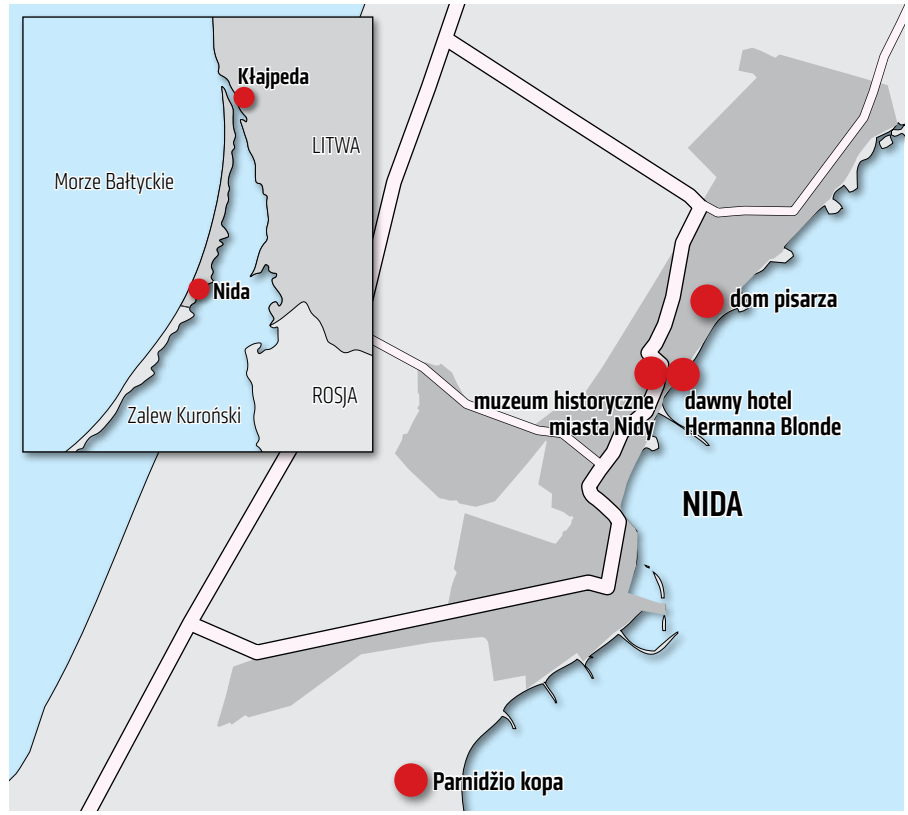

RYS. PEGAZ

Stąd już prosta droga do muzeum etnograficznego (Naglių gatvė 4, czynne w godz. 10–18) poświęconego kulturze tutejszych rybaków, którą wyniszczyły wojna i sowieckie rządy.

4. Po czterech muzeach pora na spacer do sporej wydmy Parnidžio kopa. W jej okolicy wybudowano wielki zegar słoneczny. Niedaleko stąd do Mirties slėnis (Doliny Śmierci) – piaskowej doliny, w której po wojnie 1870 r. marli z powodu ciężkiej pracy i chorób francuscy jeńcy zmuszani do zalesiania wydm. Jeszcze kilometr i dochodzimy do granicy Rosji. Lepiej tu uważać. Pogranicznicy Putina nie znają się na żartach.

Jeśli komuś mało wydm, to niech jedzie 18 km na północ za wieś Pervalka i uda się dość długą drogą w głąb rezerwatu aż na szczyt wydmy Naglių kopa (53 m n.p.m.). Długa droga przez piaskowe doliny przypomina fragment książki Manna „Józef i jego bracia" o trudzie badania wydarzeń sprzed wieków: „Podobnie dzieje się z człowiekiem idącym wzdłuż wybrzeża: jego wędrówka nie ma kresu, gdyż za każdą kulisą piasku, do której doszedł, nowe przestrzenie wzywają ku nowym wzgórzom".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tomasz Mann *– (1875–1955) jeden z największych pisarzy niemieckich, laureat Nagrody Nobla w 1929 r. Urodzony w Lubece w rodzinie podupadłych patrycjuszy. Wbrew oczekiwaniom ojca zerwał z karierą kupiecką i wybrał drogę literatury. W 1901 r. wyszła jego debiutancka powieść „Buddenbrookowie" – obraz schyłku hanzeatyckiej rodziny z Lubeki. W 1924 r. ukazała się kolejna wybitna książka Manna – „Czarodziejska góra". Lata 30. przyniosły z kolei najbardziej wyrafinowane dzieło pisarza – opartą na motywach biblijnych trylogię „Józef i jego bracia". W 1933 r., po dojściu NSDAP do władzy, wyjechał z Niemiec i już nigdy potem nie mieszkał w nich na stałe. Otwarcie atakował Hitlera, za co władze nazistowskie w 1936 r. odebrały mu obywatelstwo. W czasie wojny mieszkał w USA, a po wojnie, w 1952 r., osiedlił się w Szwajcarii. Mimo wizyty w NRD w 1949 r. z okazji 200. rocznicy urodzin Goethego nie przyjął oferty zamieszkania w komunistycznej części Niemiec.* ©℗

Coś na ząb – po kurońsku

Nida to przeciwieństwo niektórych naszych hałaśliwych kurortów bałtyckich. „Bałtyk bez szyldów, straganów i chaosu". Płaci się za to pewną cenę. Na całej Mierzei Kurońskiej stosunkowo niewiele jest tanich smażalni ryb. Na turystów z grubymi portfelami czekają restauracje w stylu Don Vito w Nidzie, gdzie kucharze silą się na kuchnię włoską. Są też nastawione na Niemców grill-steak-fish bary, gdzie nietrudno zostawić w jeden wieczór we dwoje ponad 100 euro.

Ja polecam małe lokale rodzinne, gdzie za dobrą kolację dla dwóch osób z dzieckiem zapłacimy najwyżej 30–40 euro.

Mój „tajny" adres w Nidzie, gdzie można zjeść zjawiskową flądrę z cebulą, to restauracja Po vysniom pana Antanasa Markevičiausa. Adres: Naglių gatvė 10, Nida, tel. +370 469 52906.

Jeśli jednak ktoś liczy każde euro i omija restauracje, to niech pamięta: na całej Mierzei Kurońskiej – od Juodkrante do Nidy – wyżywią was stoiska z pysznymi wędzonymi rybami. Rozpoznać je można po dużych napisach „Žuvys". Tutaj ryby wędzi się po mistrzowsku. Najłatwiej znaleźć niezłe stoisko handlowe tuż przy dworcu autobusowym w Nidzie, na Naglių gatvė. ©℗

eprasa.pl 1390f19820

JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Z zaściankowej miski

Zaścianek szlachecki, zwany na kresach „okolicą", był spotykany tylko w dawnej Rzeczypospolitej. Wyglądem nie różnił się od chłopskiej wioski; tylko gdzieniegdzie znaleźć można było dworki lub ganki przy chałupach, jednak drobna szlachta za wszelką cenę starała się wyróżniać ubiorem. Jak podaje Kajetan Koźmian, można ją było poznać „po kroju sukien, po kolorze, a szczególniej po szabli przy boku, której nawet na jarmarku nieodpasywała". „Bydło pasą nie w łapciach z kory, lecz w trzewiczkach i żną zboże, a nawet przędą – w rękawiczkach" – pisał o zaścianku w Dobrzyniu Mickiewicz. Szaraczkowie chadzali w butach na obcasach dla odróżnienia od chłopskich podkutych wysoką podkową.

Zagonowy szlachcic zawsze jechał konno na lichej szkapie lub pod koniec XVIII w. „bryczką kutą, jeżeli jej nie miał, przysiadał się do sąsiada; miał za ubliżenie godności szlacheckiej jechać wozem niekutym [...]. Wolał Żyda spędzić z kutego wozu i przymusić, aby go wiózł, gdzie mu kazał; gdy szlachecka bryczka zaturkotała, chłopi zwykle ustępowali i zdejmowali czapki".

Cóż jadano na zaścianku? Zazwyczaj potrawy mączne, z plonów własnego pola i ogrodu. Na stół trafiały: flaki, zrazy, kasza ze skwarkami, tłuste pierogi, barszcze, a także ser. Do picia zaś były miód i piwo. Inne potrawy to oczywiście groch z kapustą i ze słoniną, czyli praprzodek dzisiejszej grochówki, rosoły, sporo jarzyn, kapusty, marchwi, rzepy. Mięso jadali zapewne częściej niż chłopi, ale przeważnie na święta, choćby w Wielkanoc (kiełbasy, pasztety, pieczyste), a w okresie postu – ryby. Wszystko to uzupełniano ptactwem – kaczkami, kurami, gęsiami z własnego podwórka i bardzo rzadko dziczyzną.

Najczęściej jednak, jak podają ks. Jędrzej Kitowicz i Kajetan Koźmian, drobna szlachta żywiła się na dworach magnatów, a w zamian odwdzięczała się poparciem w czasie sejmików, elekcji i zjazdów. Historiografia komunistyczna czyniła z niej tępą, bezmyślną i wiecznie pijaną rzeszę wzniecającą bójki oraz zwady, bezapelacyjnie rządzoną przez magnatów. Uważna lektura dawnych pamiętników pokazuje jednak, że pomiędzy bogatą szlachtą a szaraczkami istniała ścisła wspólnota interesów. Każdy zaścianek wybierał sobie spośród posesjonatów patrona, którego wspierał na sejmikach gardłem i szablami, ale pod byle pretekstem przyjeżdżał, wstępował na święta, aby skosztować dobrego jadła, wina, miodu i piwa; po radę, protekcję albo z prośbą o darowanie wołu, owiec, pozwolenie na wyrąb lasu lub skorzystania z pastwiska. „Niechże Bóg zachowa odmówić którego żądania, zabór uczynić w trzodzie, siekierę lub strzelbę zabrać, zemsta nieubłagana i odpłata obelgami na sejmikach" – podaje Koźmian. Drobna szlachta była ponadto czuła na zniewagi. Kiedy Prażmowski, starosta mszczonowski, kazał szlachetce z Sobieszczan zdjąć w przedpokoju śmierdzący kożuch, nigdy już nie mógł pokazać się na sejmikach, a wioskę mijał z dala.

Szaraczkowie spoufaleni z posesjonatami często przywłaszczali sobie ich rzeczy. Będąc na dworze czy w pałacu, niejeden raz szlachcic spostrzegłszy leżącą na wierzchu czapkę, wkładał ją, mówiąc: „Nieprawda, panie sędzio, że by mi było pięknie w tej czapce?". Trzeba mu było odpowiedzieć: „Niech ci służy, panie bracie" lub jeśli była za droga: „Ta jest za ciasna na twoją głowę, oto masz wygodniejszą i lepszą". To samo tyczyło się leżących na wierzchu szabel, tabakierek, pasów, pistoletów, flasz i innych drobiazgów. ©℗

FOT. FOTOLIA

Kasza Maćkowa

Bierzemy ćwierć litra dobrej słodkiej śmietany, 12 łyżek odlewamy do garnuszka i podgrzewamy, aż zacznie wrzeć. Do pozostałej części wsypujemy dwie łyżki pszennej mąki, dodajemy cukru i mieszamy. Kiedy stojąca na ogniu śmietana zacznie wrzeć, wlewamy do niej resztę. Mieszamy wszystko, a kiedy znowu zawrze, dolewamy kieliszek różanej wódki, mieszamy i podajemy na stół. Jemy z jednej miski dla zaściankowego klimatu.

Frykas z kurcząt

Rozbieramy kurczaka na kawałki, usuwając kości, moczymy go w wodzie przez godzinę. W rondlu rozpuszczamy masło i smażymy na nim cząstki. Dodajemy pokrajaną w kostkę cebulę i pietruszkę, podsmażamy, dolewamy trochę ciepłej wody albo rosołu i dusimy. Dorzucamy cztery żółtka, zaprawiamy pieprzem, imbirem, kilkoma kroplami octu winnego.

eprasa.pl 1390f19820

Z SEJMU DO KUCHNI, CZYLI ODSKOCZNIA ELŻBIETY ZIELIŃSKIEJ

Gotowanie traktuję jako odskocznię od polityki i sposób na odstresowanie. Lubię zwłaszcza piec ciasta, bo jakoś nie wyobrażam sobie, żeby poczęstować kogoś ciastem kupionym w cukierni. Na szczęście mam w rodzinie wielu mężczyzn, którzy nie mają problemu z uporaniem się z tym, co upiekę.

Byłoby mi trudno powiedzieć, co jest moim daniem popisowym, ale jeśli jednak miałabym wskazać na coś, co warto polecić, to zdecydowanie jest to żurek owsiany, bardzo popularny w moim regionie. Reszta Polski zazwyczaj je żytni i jest to raczej danie wielkanocne. U mnie w domu natomiast jest to typowo wigilijna potrawa, która kojarzy mi się ze świętami Bożego Narodzenia. Je się go ze świeżo ugotowanymi ziemniakami. Taki żurek robi się bardzo prosto, ale musi być kilka dni wcześniej zakiszony w naczyniu kamionkowym.

Żur owsiany:

zakwas na 1 l:
- pół słoika płatków owsianych
- 2 ząbki czosnku
- letnia woda (do ¾ kamionka)
- garść mąki żytniej
- liść laurowy

Przygotowanie zakwasu:

Do kamionki wsypujemy płatki, dodajemy czosnek, liść laurowy i wlewamy letnią wodę. Delikatnie przykrywamy talerzem i ściereczką, odstawiamy na trzy–cztery dni w ciepłe miejsce.

Składniki do gotowania:

- 2 liście laurowe
- 5 ziaren ziela angielskiego
- sól
- pieprz

Do wersji wigilijnej dodajemy jeszcze własnoręcznie zebrane leśne grzyby.

Przygotowanie: do wrzącej wody wrzucamy przyprawy. Gotujemy ok. 10 min. Nad garnkiem ustawiamy sitko i przecedzamy zakwas do gotującej się wody. Zupę solimy. Gotujemy na małym ogniu jeszcze kilka minut, cały czas mieszając.

Można podawać także z podsmażonym boczkiem z cebulką i kwaśną śmietaną. Podajemy z całymi świeżo ugotowanymi ziemniakami.

Smacznego! ©℗

oprac. raw
Elżbieta Zielińska (z d. Borowska) jest posłanką klubu Kukiz'15.

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

Designer w kuchni

OPRACOWANIE ZBIOROWE „WZORNICTWO" WŁOCHY 2010, WYD. POL. SLOVART

Gruby, ciężki, ale ciekawy album „Wzornictwo" poświęcony jest przeglądowi XX-wiecznego designu. Sporą grupę omawianych przedmiotów stanowią sprzęty kuchenne. Widać, jaka nastąpiła tu zmiana. Pamiętam, jak po epoce zgrzebnego emaliowanego garnka z Olkusza zdobytego w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego zachwyciliśmy się designerskimi gadżetami Alessi. Firma weszła na polski rynek na początku lat 90. i skutecznie się wypromowała, zanim podbiła nas Ikea. Marzenie o włoskim luksusie, jeśli ktoś takowe posiadał, łatwiej było zaspokoić czajnikiem Michaela Gravesa niż włoską kanapą za ileś tam tysięcy.

„Wzornictwo" przypomniało mi przedmioty, które wówczas pożądliwie oglądało się na wystawie sklepu Alessi przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Dzisiaj to antyki nowoczesności, prawie sentymentalne, chociaż mają ledwo po 30–40 lat. Miałam jeden z nich: ikoniczny i bardzo niewygodny czajnik Gravesa z gwizdkiem, a także ohydną metalową cukierniczkę bodajże projektu Mendiniego. Za każdym razem, gdy brało się cukier, wywracała się na swoich cherlawych trzech nóżkach. Niedawno wyrzuciłam ją, nie żywiąc ani żalu, ani szacunku do tego już dziś całkiem zwietrzałego sposobu myślenia o przedmiotach.

W tej książce jest ich cała defilada. Ilustrują ideolo projektantów z lat 50., 60. i 70.: co zrobić z funkcjonalnym przedmiotem, żeby go udziwnić tak, żeby nie można było zgadnąć, do czego służy. Bo po wojnie, gdy trzeba było rozruszać przemysł, funkcjonalizm przestał wystarczać. Trzeba było wymyślić coś innego. A jak wiadomo, nic lepiej się do tego nie nada niż ekstrawaganckie nowinki. Designerzy ruszyli więc do akcji. Oto widelce Brunona Munariego z zębami tak poprzekrzywianymi, jakby mocował się z nimi jakiś strongman. Oto nóż, którego ostrze wygięto pod kątem prostym (projektu Karin Schou Andersen). Oto zastawa stołowa projektu Karima Rashida. Kubek przyrośnięty do płaskiego talerza, głęboki talerz zespolony z ogromną podstawką. Czy pan Rashid kiedykolwiek coś jadł lub pił?

Powyższe przedmioty znajdują się w muzeach – dwa pierwsze w nowojorskim MoM-ie. I lepiej, żeby muzealnych murów nie opuszczały... W książce znalazłam również dwie plansze z zestawami szczotek. Zwykłych szczotek. Wachlarz pędzli do malowania na jednej stronie, na drugiej rewia sprzętu sprzątającego. Miotły, szczotki do podłogi, paznokci, WC... Szczotka ryżowa, mop. Drewno, włosie. Anonimowe, funkcjonalne i piękne przedmioty, które nie muszą się popisywać znanymi metkami, ale których przydatność i urodę skutecznie zweryfikował czas. ©℗

eprasa.pl 1390f19820

NASZ TEST: INFINITI Q60

Są samochody przeciętnej urody. Są auta piękne. Zdarzają się wreszcie takie, na które wystarczy spojrzeć, aby poczuć nie tylko zachwyt, lecz wręcz pożądanie. Testowane japońskie coupé należy do tej ostatniej kategorii. Nietypowy wygląd natychmiast przyciąga wzrok i sprawia, że serce zaczyna bić szybciej. Szkoda jednak, że sama jazda tą zabawką, chociaż przyjemna, nie budzi aż tak wielkich emocji, jak można by się spodziewać po sportowym wozie.

W KABINIE

Uwiedzeni wyglądem zewnętrznym w środku samochodu możemy przeżyć rozczarowanie. Wprawdzie użyte materiały są w większości dobrej jakości, jednak wnętrzu brakuje charakteru, który pozwoliłby się poczuć jak w aucie prawdziwie luksusowym, a nie lepiej dopracowanej odmianie Nissana. Na desce rozdzielczej wyróżniają się dwa duże ekrany dotykowe – można je pokochać albo znienawidzić.

Z przodu miejsca jest sporo. Na wygodnych, dobrze podpierających ciało skórzanych fotelach dwie osoby mogą więc całymi godzinami podróżować bardzo komfortowo. Z tyłu miejsca na nogi jest co prawda wystarczająco dużo ale nie trzeba być koszykarzem, aby siedząc na tylnej kanapie, poczuć bliskość opadającego dachu. Miejsca na bagaż też nie ma zbyt wiele, pojemność kufra wynosi 342 l.

JAZDA

W najszybszej wersji z trzylitrowym silnikiem z 405 konikami pod maską auto do pierwszej setki dociera zaledwie w 5 s. W testowanej wersji z dwulitrowym silnikiem o mocy 211 KM na przyspieszenie od 0 do 100 km/godz. Q60 potrzebuje 7,3 s. Całkiem nieźle, ale podczas sprintu na zielonym w fotel nic nas zbyt mocno nie wciska.

Na pochwałę zasługuje bardzo dobrze zestrojone zawieszenie. Auto pewnie trzyma się drogi, a jednocześnie zawieszenie przyjemnie tłumi nierówności. Plusem jest też świetne

wyciszenie kabiny, które pozwala na szybką, komfortową i cichą jazdę autostradą.

Na trasie rozczarowujący jest jednak nowoczesny układ kierowniczy: informacje zwrotne, które otrzymuje kierowca, są co prawda lepsze niż w modelu Q50, ale wciąż na tyle nienaturalne i mało precyzyjne, że czaem można odnieść wrażenie, jakbyśmy zamiast naprawdę siedzieć za kierownicą sportowego wozu, grali na konsoli u sąsiada. I chociaż autem steruje się pewnie, to więcej frajdy z prowadzenia ma w tym przypadku komputer niż kierowca.

Średnie spalanie wyniosło podczas testu 8,7 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

Model Q60 naszpikowany jest nowoczesnymi systemami, które zwiększają bezpieczeństwo kierowcy i pasażerów. I chociaż brzmi to jak marketingowy bełkot, to w tym przypadku w niezamierzony sposób mogłem sprawdzić skuteczność jednego z nich. Gdy na długiej prostej z podwójną ciągłą rozkojarzony romantycznymi myślami na kilka sekund oderwałem wzrok od drogi, auto nagle samo mocno przyhamowało – jak się wkrótce okazało, kierowca samochodu jadącego przede mną postanowił wykonać niespodziewany manewr i nagle zahamował, aby skręcić w miejscu niedozwolonym. Gdyby nie system autonomicznego hamowania awaryjnego, prawdopodobnie pierwszy raz od 20 lat spowodowałbym stłuczkę. Auto potrafi też samodzielnie trzymać się toru jazdy – może więc na autostradzie autonomicznie pokonywać nawet ostre zakręty.

W modelu Q60 kierowca może też liczyć na ostrzeżenia przed samochodami znajdującymi się w martwym polu lusterka czy podpowiedzi dotyczące ostatnio mijanych znaków drogowych. Poruszanie się po parkingach ułatwiają zaś system panoramicznych kamer 360, a także system zapobiegania kolizjom z tyłu, który ostrzega, gdy przy marnej widoczności próbujemy wycofać z miejsca parkingowego.

CENA

W tej kategorii Infiniti ma przewagę nad niemieckimi rywalami. W najtańszej wersji auto kosztuje 185 tys. zł. Za wersję Premium Tech – wyposażoną we wspomnianych asystentów bezpieczeństwa i panoramiczną kamerę – trzeba już zapłacić 212 tys. zł. Najdroższa opcja Sport Tech to zaś wydatek co najmniej 217 tys. zł.

KONKURENCI

Audi A5, BMW 4, Lexus RC, Mercedes klasy C Coupé ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1390f19820

TEST „DO RZECZY": LOGITECH ARTEMIS SPECTRUM SNOW G933

Gdy za oknem szaleją letnie burze lub upał nie pozwala zbyt długo wysiedzieć na dworze, nie ma powodu do smutku. Wystarczy z realu przenieść się w świat elektronicznej rozrywki.

Testowany gadżet może znacząco uprzyjemnić godziny spędzone przed komputerem i ułatwić komunikację z zawodnikami z innych części globu podczas wspólnego wykonywania trudnych wojskowych misji.

Na pierwszy rzut oka nauszne słuchawki Logitecha wyglądają na urządzenie zaprojektowane z myślą o geekach zakochanych w futurystycznych bajerach. Po włączeniu natychmiast podświetla się bowiem nie tylko logo, lecz także świetlne paski, których wzór dokumentu można zaprogramować. Można się wówczas poczuć niczym bohater filmów science fiction lub – w zależności od gustu – najoryginalniej ubrana postać podczas wiejskiego festynu ochotniczej straży pożarnej.

Słuchawki mogą działać w sposób przewodowy lub bezprzewodowy (akumulator wystarcza na ok. 8–12 godzin bezprzewodowego słuchania muzyki lub wsłuchiwania się w wystrzały karabinów wroga).

Miękkie materiały na nausznikach i pałąku sprawiają, że słuchawek Logitecha można używać długo bez uczucia, że zaraz odpadną nam uszy. Zaletami konstrukcji są również: możliwość schowania nieużywanego mikrofonu w bryle słuchawek (jest on wówczas niemalże

niewidoczny), trzy programowane przyciski, a także zdejmowane panele boczne, za którymi ukryte są bateria oraz adapter USB.

Największym plusem testowanego gadżetu jest bardzo dobra jakość dźwięku. A po uruchomieniu oprogramowania Logitecha przyzwoita jest również jakość dźwięku przestrzennego 7.1 Dolby – prawda jest taka, że nawet w dobrych słuchawkach trudno o uzyskanie rewelacyjnego efektu dźwięku przestrzennego. W G933 na uszach bez problemu można jednak rozpoznać np., czy uzbrojeni wrogowie atakują od lewej czy od prawej.

Dzięki zastosowanym membranom audio Pro-G (40 mm, pasmo przenoszenia: 20 Hz–20 kHz, impedancja: 39 omów) gadżet Logitecha dobrze sprawdza się również jako słuchawki do muzyki. Wyraźnie brzmią w nich nie tylko głębokie basy, lecz także tony wysokie. Trzeba jednak pamiętać, że są to słuchawki gamingowe, więc jeśli ktoś szuka gadżetu dla typowego audiofila, to powinien przetestować modele innych producentów.

Mikrofon z funkcją niwelacji szumów rejestruje czysty, wyraźny dźwięk, co ułatwia komunikację z innymi graczami, a także prowadzenie długich, „cywilnych" telekonferencji poprzez Skype'a.

Wady? Biorąc pod uwagę wysoką cenę testowanych słuchawek, nie sposób nie przyczepić się do braku jakiegokolwiek futerału do ich przenoszenia, a także stojaka umożliwiającego wygodniejsze trzymanie ich na biurku czy stoliku RTV.

Cena: 769 zł. ©℗

Jacek Przybylski

SZCZOTKA, PASTA...

... kubek, ciepła woda, tak się zaczyna wielka przygoda. Myję zęby, bo wiem dobrze o tym, że kto nie myje, ten ma kłopoty. Szczotko, szczotko, hej, szczoteczko...". Kto z pokolenia 30-, 40-latków nie wychował się na owej prohigienicznej piosence Fasolek puszczanej do znudzenia czy to w „Sobótce", „Teleranku" czy „Domowym przedszkolu"? Sęk w tym, że szczotka do zębów niebawem może stać się rekwizytem cokolwiek zabytkowym. A wszystko dzięki Amabrush, czyli czegoś na kształt myjącej zęby sztucznej szczęki. Bez obaw, nie namawiamy tu do wymiany uzębienia w stylu lidera Platformy Obywatelskiej. To wykonany z bakteriobójczego silikonu i uzbrojony w dziesiątki małych wypustek ze sztucznego tworzywa gadżet przypominający ochronny ustnik na zęby. Do tego jeszcze dochodzą mocowana magnetycznie końcówka z silniczkiem wprawiającym wkładkę w wibrację i dozownik pasty. W ciągu 10 s wypustki czyszczą wszystkie 32 zęby (w przypadku mniejszej liczby gadżet też się sprawdza) ze wszystkich stron i to – jak podaje producent – aż ośmiokrotnie skuteczniej niż zwykła szczotka do zębów. Minus – pastę trzeba kupić w specjalnych kapsułkach dostępnych u producenta w cenie ok. 15 zł za jedną sztukę wystarczającą na miesiąc. Urządzenie na portalach crowdfundingowych kosztuje ok. 320 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

INTELIGENTNA WALIZKA

Najpierw nerwowe pakowanie. Później nerwowa podróż z partnerką na lotnisko (lub dworzec) pytającą wciąż, czy niczego nie zapomniała („Oj, po co się denerwujesz, przecież ja tylko mówię do siebie... Ale czy na pewno zapakowałam puder?"). Wreszcie podróż pełna stresu, czy obsługa linii lotniczych nie zapodzieje gdzieś naszego bagażu. Lato w pełni, niektórzy, może większość naszych czytelników, ruszą gdzieś w Polskę lub świat, więc warto pomyśleć też o Bluesmart 2 stworzonej przez firmę Bluesmart specjalizującą się w produkcji inteligentnych walizek. Urządzenie oczywiście nie jest na tyle inteligentne, by konwersować o wynikach spotkań Ligi Mistrzów, nie pokieruje nas najkrótszą drogą do hotelu i nie powie, jaka będzie pogoda, ale za to owa 38-litrowa walizka naszpikowana elektronicznymi czujnikami zawsze poinformuje, gdzie się znajduje, w jakim stanie, czy zapakowane w niej rzeczy są nienaruszone. Ma też całkiem solidną baterię przenośną pozwalającą na naładowanie smartfona czy laptopa. Cena: Ok. 1 tys. zł. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 1390f19820

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Historyczna wizyta Trumpa

MARCIN MAKOWSKI: Jak oceniasz wizytę Donalda Trumpa w Warszawie?

MATTHEW TYRMAND: Oceniam ją jako bardzo udaną dla obu stron. Polski rząd uzyskał potwierdzenie swojego demokratycznego mandatu przed całym światem, Trump wskazał również, jak wiele ideowo łączy Amerykę i Polskę. Obie atakowane przez media, które zostały wywołane po imieniu i nazwane „fakenewsowymi". Dobrze, że zagadnienie podjął również Andrzej Duda, ponieważ dzisiaj globalne koncerny szerzą te same rodzaje kłamstw w celu oddziaływania na opinię publiczną, więc również walka z nimi jest globalna. Samo przemówienie Trumpa na pl. Krasińskich moim zdaniem przejdzie do historii jako programowe, choćby ze względu na bardzo stanowcze wyartykułowanie pryncypiów cywilizacji Zachodu i konieczności walki w ich obronie. Również walki militarnej. I w tym zakresie Polska może liczyć na sojusz z Ameryką, której będzie zależało na obronie swojego sojusznika także ze względu na powiązania gospodarcze, czyli planowaną intensyfikację dostaw LNG. Te dwa aspekty: wojskowy – czyli zakup systemu rakiet Patriot oraz ekonomiczny – czyli dywersyfikacja dostaw gazu, stanowią główną oś całego spotkania. Oczywiście podobne ustalenia działają przede wszystkim na niekorzyść Rosji, w jakiejś mierze również Niemiec, które pokładały wiarę w Nord Stream 2. Wygra za to Europa Środkowa, która wreszcie zyska realny wybór odnośnie do źródeł swojego bezpieczeństwa.

A może to piękne słowa i wyjaśnienie do pragmatycznego interesu? Przyleciał Trump i – jak przystało na biznesmena – po prostu domknął deal z rakietami i gazem. Bartosz Wieliński z „Gazety Wyborczej" mówił w CNN, że był rozczarowany przemówieniem Trumpa, bo nie usłyszał „światowego przywódcy".

A co miał powiedzieć dziennikarz z mediów, które nigdy nie pogodziły się z utratą wpływów politycznych i zrobią wszystko, aby podkopać znaczenie Polski za granicą, bo jedyna Polska, którą akceptują, to ta, w której rządzą „ich" ludzie i „ich" idee? Wieliński to przedstawiciel współczesnej targowicy, który mówi tym samym głosem co amerykańskie lewicowe media w kwestii Trumpa. Nic dziwnego, że oni wszyscy się teraz zapraszają, cytują, publikują swoje teksty. Tak się tworzy wrażenie, że „cały świat" krytykuje sytuację polityczną w Polsce czy odlicza dni do impeachmentu prezydenta USA. Niech sobie żyją w tej bańce nadal.

Oglądałeś wizytę prezydenta i pierwszej damy z Ameryki. W jaki sposób krajowe telewizje i portale internetowy omawiały słowa i decyzje Trumpa?

Przemówienie w Warszawie było transmitowane wszędzie, a wizyta, ponieważ została połączona w logiczny sposób ze szczytem G20, obserwowana była uważnie jako pewna spójna całość. W moim odczuciu słowa Trumpa świadczyły o zainteresowaniu Polską jako lojalnym i odważnym sojusznikiem USA oraz społeczeństwem, które w kontrze do światowych trendów potrafi walczyć o wartości i nie boi się mówić o swojej tożsamości. W naszej książce „Patrzeć, jak świat płonie" opowiadamy właśnie o tych podobieństwach pomiędzy naszymi społeczeństwami, na które prezydent Trump zwrócił uwagę w Warszawie i wprowadził ten wątek do debaty publicznej.

Wspomniałeś o szczycie G20. Czy obrazki z płonącego Hamburga zestawiano ze spokojną sytuacją w Warszawie?

Jak najbardziej. W jakimś sensie ci lewaccy zadymiarze stanowili idealne potwierdzenie słów Trumpa, że tam, gdzie Zachód jest silny i pewny swoich pryncypiów, tam może się rozwijać, a obywatel czuć bezpiecznie na ulicach. Na przykładzie Polski i Niemiec widzimy, gdzie rządy prawa są w rzeczywistości zagrożone. Jeśli Oettinger i Timmermans byliby w swoich działaniach szczerzy, to błyskawicznie powinni rozpocząć procedury wyjaśniające względem Niemiec zamiast Polski, gdzie – jak widzieliśmy w zeszłym tygodniu – rządy prawa mają się dobrze. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

eprasa.pl 1390f19820

republika

TERAZ TV REPUBLIKA
NA ŻYWO I ZA
DARMO ONLINE

TELEWIZJAREPUBLIKA.PL

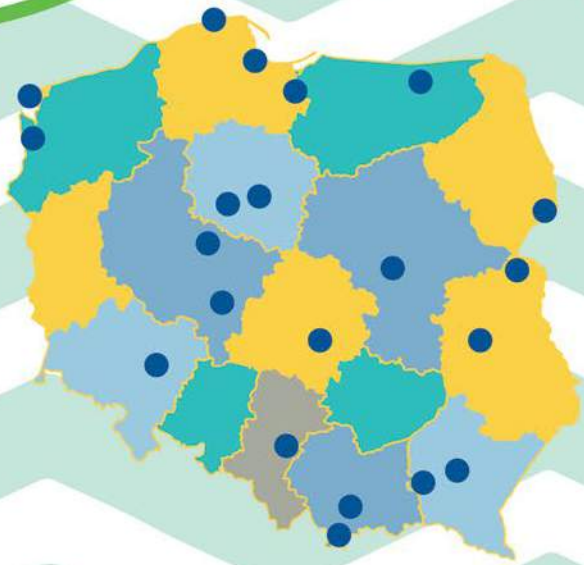

RUSZAMY
1 SIERPNIA

#RepublikaNaWakacje

SPONSOREM
WAKACJI JEST

Energa

eprasa.pl 1390f19820

OKIEM BLOGERKI

Niebezpieczne książki

KATARYNA

Rok 2009. Paweł Zyzak, wówczas szeregowy pracownik Instytutu Pamięci Narodowej, wydał swoją głośną książkę pt. „Lech Wałęsa, idea i historia". Książka była jego pracą magisterską, napisaną, jeszcze zanim dostał pracę w IPN. Instytut nie miał w niej najmniejszego merytorycznego, organizacyjnego ani finansowego udziału. Zyzak wydał ją w niezależnym wydawnictwie, a cały związek z IPN sprowadzał się do tego, że w momencie ukazania się książki Zyzak w nim pracował, zresztą na kończącej się właśnie umowie. Nie przeszkodziło to jednak ówczesnemu premierowi Donaldowi Tuskowi kierować publicznych i nawet niespecjalnie zawoalowanych gróźb pod adresem instytutu.

„Chcę zaapelować do pracowników IPN i historyków, aby nie nadużywali środków publicznych, bo nie będą mogli ich w przyszłości używać, jeśli tak to będzie dalej wyglądało. Nie dziwię się, że dziś w Polsce narastają coraz większe emocje wokół IPN. Ci, którzy nadużywają cierpliwości Polaków i pieniędzy publicznych, sami stanowią dla tej instytucji największe zagrożenie. Jeśli to się nie zmieni, to takie zagrożenie może stać się faktem". Był nawet pomysł zwolnienia prezesa IPN, Janusza Kurtyki, ale ostatecznie ograniczono się do publicznego zrugania. Oberwało się też Uniwersytetowi Jagiellońskiemu, na którym Paweł Zyzak obronił swoją pracę magisterską. Minister szkolnictwa wyższego wysłała do Krakowa nadzwyczajną kontrolę mającą sprawdzić magisterkę Zyzaka. „Nikt nie ma prawa zatruwać życia publicznego za pieniądze podatnika" – tak o kontroli na uniwersytecie mówił premier. Rząd Tuska próbował też obciąć uniwersytetowi dotację o 200 mln, nieoficjalnie mówiło się, że ma to być kara za Zyzaka. Ostatecznie Senat obronił 200 mln dla uniwersytetu, ale – tak jak w starym dowcipie – „niesmak pozostał".

Rok 2017. Tomasz Piątek wydaje swoją głośną książkę pt. „Macierewicz i jego tajemnice". Nie czytałam, nie oceniam, mam świadomość licznych zastrzeżeń do tej publikacji, podnoszonych choćby przez mojego redakcyjnego kolegę Wojciecha Wybranowskiego w poprzednim numerze. Tym bardziej dziwi, że mogąc podważyć wiarygodność publikacji, minister wybiera podobną drogę jak Wałęsa i Tusk kilka lat temu. Zamiast merytorycznego odniesienia się do przekłamań i – ewentualnie – skierowania sprawy na drogę cywilną, tak jak musiałby zrobić każdy z nas w podobnej sytuacji, minister nasłał na autora podległą swojemu koledze z rządu prokuraturę. Bo książka podobno godzi w obronność Polski, tak jak wcześniej godziły w obronność Polski publikacje o Bartłomieju Misiewiczu, bo je też minister Macierewicz zgłosił do prokuratury.

Chciałabym dostrzec zasadnicze różnice między zachowaniami tych polityków, z których każdy by się zapewne obraził za takie zestawienie. Jednak czy nie jest uderzające, z jaką łatwością każda władza sięga po knebel, jeśli tylko ma go pod ręką? ©℗

Mogąc podważyć wiarygodność publikacji, minister wybiera podobną drogę jak Wałęsa i Tusk kilka lat temu

PODSŁUCHANE

Groszy żal

No dobra, Joachim, ale co ja mam mówić, jak mi będą zarzucać, że przez ten podatek ceny na stacjach wzrosną?
Zbysiu, przede wszystkim nie mów „podatek". Tego słowa nie używamy. Mów „opłata drogowa", jak stoi w projekcie, a najlepiej „solidarnościowa składka na drogi dla najuboższych".

No dobra, czekaj, zapiszę tu sobie... Ale to nie rozwiązuje problemu.
OK. Pamiętasz, co Owsiak mówi, jak mu różne zarzuty stawiają?

No jasne. Mówi, że nie chcą ratować chorych dzieci. I co z tego?
To ty będziesz mówił tak samo.

Mam mówić, że jak krytykują poda... no, tę opłatę, to nie chcą chorych dzieci ratować?!
Metodę tę samą zastosuj. Mów, że nie chcą, żeby Polacy jeździli po dobrych drogach. Aha, „zwykli Polacy". Dodawaj zawsze „zwykli". A, i jeszcze możesz coś takiego powiedzieć, tu ci napisałem, żebyś nie zapomniał.

„Ci, którzy krytykują, nie chcą, żeby drogi były dobre, bo ich stać na drogie SUV-y i nie potrzebują mieć dobrych dróg, a 25 groszy im żal". Dobre to jest, sam bym nie wpadł!
Wiem, dlatego ci napisałem. No i ten projekt weź w końcu przeczytaj.

Dobra, ale później. Teraz muszę kilometrówkę odebrać. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To bezpieka służyła mnie, a nie ja im. Oni wykonywali wszystko, co chciałem. Chciałem mieszkanie, musieli mi dać. Chciałem pieniądze, musieli mi dać [...]. Czy większego bohatera chcecie? Oni sami mnie robią bohaterem. Jako jedyny pokonałem bezpiekę".

LECH WAŁĘSA w TVN24

eprasa.pl 1390f19820

fot. Jerzy Gumowski

Fałsz

Jednym z czołowych przemysłów jest fałszowanie wszystkiego. Od żywności i leków, przez buty i ciuchy, po elektronikę. Przemysł wydobywczy generuje mniej zysków, a dla stref egzotycznych (Azja i Ameryka Łac.) fałszowanie światowych marek to fundament *„dochodu narodowego”*. Wszelakie fałsze powodują rokrocznie śmierć milionów użytkowników/konsumentów (w samych Chinach 300 tys.). Ale że przynajmniej 10% handlu światowego stanowią zyskowne podróbki, proceder będzie się rozwijał. Tępiony jest słabo, za to ma już muzea, gdzie eksponaty pochodzą m.in. z Antyku (korki do amfor ze sfałszowanym greckim winem). Grecy zresztą lubią dalej fałszować, choćby statystyki budżetowe (dzięki którym przyjęto ich do strefy euro), równie sprytnie jak kiedyś mitologię prehellenistyczną.

Lecz bądźmy szczerzy: który naród nie fałszował swych dziejów mitologicznie? Od Polaków (vide triumfy naszych praprzodków nad legionami Cezara, które opiewał kronikarz Kadłubek), po Jankesów (vide ich lukrowana mitologia Dzikiego Zachodu). Całe europejskie Średniowiecze jest zafałszowane nonsensownym folklorem tudzież pseudofaktografią (wszystkie te *„pasy cnoty”*, *„prawa pierwszej nocy”*, okrucieństwa Świętej Inkwizycji, itp.). Pełne fałszów są opisy wszelkich zbrojnych konfliktów (Bonaparte ma u salonowców opinię wojennego nałogowca–agresora, chociaż nie wypowiedział ni jednej wojny, a wszystkie, które toczył, były kontruderzeniami), II Wojny Światowej nie wyłączając, czego świadectwem choćby *„Bitwa o Anglię”*, w istocie wygrana nie przez sławionego Churchilla, tylko przez innego pana Ch, piętnowanego pacyfistę Chamberlaina, bo to on zbudował Anglikom potężną flotę hurricane'ów i spitfire'ów. Polakom doskwierają rozmaite zachodnie fałszerstwa tyczące naszego udziału w tamtej Wojnie, jak minimalizowanie wagi polskiego Państwa Podziemnego, roli korpusu Andersa pod Monte Cassino, czy sukcesu poznańskich matematyków (Rejewski, Różycki, Zygalski), którzy *„złamali”* „Enigmę”. Mnożą się na Zachodzie pseudoscjentyczne rozprawy okradające polską trójkę geniuszy, exemplum **„The Ultra Secret”** E. W. Winterbothama (że mechanik z niemieckiej fabryki produkującej maszynę szyfrującą uciekł do Paryża i tam odtworzył jej model dla wywiadu brytyjskiego) czy **„Bodyguard of Lies”** A. C. Browna (że wywiad brytyjski przekupił pewnego Żyda i ten zdobył „Enigmę” dla Anglików).

Kiedy już mowa o książkach, to trzeba skonstatować, iż fałszowanie literatury było pasją ludzkości zawsze, tak literatury pięknej, jak i scjentycznej bądź faktograficznej. Na Zachodzie furorę robiły fałszywe późnośredniowieczne rymy celtyckie Osjana i fałszywe późnośredniowieczne ballady Chattertona, a w Polsce próbowano fałszować (nieudolnie) choćby poezje Adama Mickiewicza, exemplum wiersz **„Do Wielkopolanek”**, rzekomo z roku 1831, karcący damy wielkopolskie za to, że ze swymi dziećmi *„szprechają”* po niemiecku, wydrukowany w czasopiśmie **„Strzecha”** (1871) i mający nadtytuł: **„Wiersz Adama Mickiewicza niedrukowany dotąd”**. Grafomaństwo tego rodzaju nie przynosiło wieszczom szkód, natomiast obecne w każdej epoce szamaństwo historiograficzne bywa groźne, zwłaszcza gdy atakuje młode mózgi. Białoruskie książeczki dla dzieci głoszą dziś, że *„rycerstwo białoruskie pokonało Krzyżaków pod wioską Grunwald”*, a żydowskie książeczki dla dzieci robią z Polaków demony Holocaustu. Te fałszywe narracje żydowskie wędrują wokół całego globu, m.in. za pośrednictwem Hollywoodu, exemplum film Edwarda Zwicka **„Opór”** (2008) z Danielem Craigiem, nakręcony według fałszujących rzeczywistość relacji żydowskich tyczących bandy leśnej Tewje Bielskiego udającej antyhitlerowską partyzantkę. Żydzi mieli sołidną tradycję takich fałszerstw, by wspomnieć prof. Bernarda B. Marka, który w rozprawie **„Walka i zagłada warszawskiego getta”** (1959) zmyślił rzekomy kontrżydowski „cytat” z akowskiego **„Biuletyny Informacyjnego”**.

Wyspiański: „Podłe maski, farbowany fałsz!”

Kiedyś próbowano karać fałszerstwa surowo (m.in. śmiercią, vide XVI–wieczny edykt króla Francji Karola IX), a dzisiaj została tylko surowość wobec fałszerzy banknotów, bo ich robota psuje krew banksterom. Próbowano też przejawiać nieufność wobec różnych rewelacji i odkryć, ale ten kij miał dwa końce i czasami przynosił skutek katastrofalny, czego najlepszy dowód to tzw. *„Zwoje znad Morza Martwego”* vel *„Zwoje Shapiro”*. U schyłku XIX stulecia niejaki Mojżesz Shapiro przywiózł z Jerozolimy do Londynu starodawne zwoje, twierdząc, że to prastara wersja Testamentu, i chciał je sprzedać. Żądał miliona funtów, sumę astronomiczną. Brytyjscy i niemieccy eksperci uznali, że *„Zwoje Shapiro”* są fałszerstwem. Gość wylądował w więzieniu, później został zwolniony, ale szczuty przez prasę popełnił samobójstwo, a jego skarb, zlicytowany za psi grosz (10 funtów!), przepadł. Nie odnaleziono już tych zwojów, czego dzisiaj nauka bardzo żałuje, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa papirusy, które przywiózł Shapiro, nie były fałszerstwami. Zachowało się dużo notatek z prób ówczesnego ich odczytania, i te facsimile oraz treści wykazują wielkie podobieństwo do *„Zwojów Qumrańskich”*, czyli do autentycznych, znalezionych kilka dekad później nad Morzem Martwym pism esseńczyków.

Miast kwestionować wiarygodność pana Shapiro — eksperci tamtej epoki winni byli kwestionować raczej wiarygodność innego starozakonnego, Karola Marksa, który swymi fałszerstwami (cytaty, liczby, statystyki, fakty) mocno oddziałał na politykę XX wieku. W owym stuleciu faszyści, naziści, komuniści, kapitaliści ścigali się ze sobą fałszerstwami, i konkurencję tę wygrali bezapelacyjnie czerwoni, dla których żadna autentyczność nie była świętością, sfałszowali nawet tekst wydanych po wojnie **„Czerwonych maków na Monte Cassino”**. Fałszują zresztą historię do dzisiaj, chociażby w Italii odkąd wróciła tam lewacka władza, czyli od paru lat. Raptownie historycy włoscy piszą na nowo dzieje czerwonego italskiego terroru 1944–47. Piotr Kowalczuk depeszuje z Rzymu: *„Rozpoczęła się gigantyczna akcja fałszowania historii, zacierania śladów i zakłamywania rzeczywistości, zupełnie jak w Ministerstwie Prawdy u Orwella (...) Na ołtarzu budowania fałszywego rodowodu włoskiej lewicy złożono z premedytacją prawdę”* (2015). U nas to samo zrobiono z Anną Walentynowicz (która nie zezwoliła Wałęsie zakończyć strajku po trzech dniach), wstawiając na jej miejsce fałszywkę (niejaką Krzywonos, nomen omen), a Salon dla pewności przyklepał ten trik manipulatorskim filmem Wajdy. Nie oszczędza się nawet żydowskich bohaterów getta: całą chwałę buntu getta warszawskiego propaganda Salonu przypisała lewackiej Żydowskiej Organizacji Bojowej Edelmana i Anielewicza, choć ciężar walk spoczywał na prawicowym Żydowskim Związku Wojskowym Wdowińskiego i Apfelbauma (po szczegóły tego fałszu odsyłam do mojej książki **„Mitologia świata bez klamek”**, 2008).

Fałszerstwa źle służą wszelkim ważnym przedsięwzięciom, instytucjom, obchodom, sztukom i pomnikom. Żydzi nie potrzebują fałszerskich relacji ze swej martyrologii (jak książka Mishy Defonseca **„Surviving with Wolves”**), chrześcijanie nie potrzebują oszukańczych wizji życia pozagrobowego (jak książka Alexa Malarkeya **„The Boy Who Came Back From Heaven”**), Latynosi nie potrzebują wyssanych z palca introspekcji swego znoju (jak książka Danny'ego Santiago **„Famous All Over Town”**), narkomani nie potrzebują lipnych wiwisekcji swych uzależnień (jak książka Jamesa Freya **„A Million Little Pieces”**) — wszystko to były bestsellery, których demaskacja kompromitowała tzw. *„przesłanie”*. A bibliofile (tu już mówię *„pro causa sua”*) nie potrzebują szarogęszącego się dzisiaj na polskim rynku antykwarskim męta, który masowo fałszuje (przy kooperacji introligatorów) dawne oprawy artystyczne ksiąg i wciska to frajerom (laikom, pasjonatom dyletanckim) za ciężki grosz. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 1390f19820

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

V EDYCJA

PATRONAT HONOROWY

SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Marszałek Sejmu Marek Kuchciński

PARTNERZY STRATEGICZNI:

ORLEN

Energa

PARTNER GŁÓWNY:

PGNiG

PARTNER WYDARZENIA:

LOTTO

MECENAS:

PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

WIĘCEJ INFORMACJI NA

www.dorzeczy.pl/straznik-pamieci/

eprasa.pl 1390119520